

**Niall Williams**

**Dotknięci miłością**

*(Four letters of love)*

*Przełożyła Małgorzata Grabowska*

Listami zakochani ścieżkę do się przecierają.  
Owidiusz *Sztuka kochania*

# Część I

# 1

Kiedy miałem dwanaście lat, Bóg po raz pierwszy przemówił do mojego ojca. Wiele nie powiedział. Kazał ojcu zostać malarzem i na tym skończył, po czym wrócił na tron pośród aniołów i patrzył przez chmury na szare miasto, żeby zobaczyć, co będzie dalej.

W owym czasie ojciec pracował w urzędzie. Był wysoki, szczupły, żyłasty, aż kości rysowały mu się pod skórą. Osiwiał, mając dwadzieścia cztery lata, co przydało mu powagi i surowości, te cechy zaś z wiekiem się pogłębiły i nasiliły do tego stopnia, że zwracał na siebie uwagę, kiedy szedł ulicą. Wyglądał jak człowiek nawiedzony, a wrażenie to potęgowały olśniewająco niebieskie oczy i milkliwość. Chociaż nie miałem rodzeństwa, niewiele pamiętam z tego, co do mnie mówił przez pierwsze dwanaście lat mojego życia. Słowa zatarły się, a mnie pozostały głównie obrazki z wczesnego dzieciństwa: oto mglisty listopadowy wieczór, ojciec w szarym garniturze otwierający drzwi po powrocie z biura, teczka plaskająca o podłogę koło stolika z telefonem, skrzypienie schodów i sufitu nad kuchnią, gdy ojciec wkładał sweter przed zejściem na podwieczorek. Stromizna czoła wysuwająca się zza gazety w odpowiedzi na jakieś pytanie. Noworoczne kąpiele w lodowatym morzu w Greystones. Trzymam ręcznik ojca, a on wchodzi do wody, tyczkowaty, kruchy, z żebrami i ramionami jak płatanina wieszaków w pustym pokrowcu na garnitury. Podkurcza palce stóp na kamieniach i napina ręce, jakby niósł niewidzialne torby. Mewy nie uciekają przed nim, gdy stoi nad szaroniebieskim morzem, błądy połysk jego nagości mógłby być kolorem wiatru. Mój ojciec jest nikły jak powietrze, wysoka fala, uderzająca w brodzące uda, mogłaby go przełamać jak cienki wafel. Myślę, że morze go zabierze, ale nigdy tak się nie dzieje. Ojciec wylania się z wody i bierze ręcznik. Stoi przez chwilę, nie wycierając się. Choć jestem zakutany w kurtkę z kapturem, czuję ziębiący ojca wiatr. A on wciąż stoi i rozgląda się po szarej zatoce, jakby zwlekał z ubraniem się i wkroczeniem w Nowy Rok, ani się spodziewając, że przemówi do niego Bóg.

Malował od zawsze. W letnie wieczory, po ścięciu trawy, siadywał w głębi ogrodu ze szkicownikiem i ołówkami, rysował i ścierał linie w gasnącym świetle dnia, a chłopcy z sąsiedztwa grali w piłkę na ulicy. Ja zaś, piegowaty ośmiolatek o słabym wzroku, patrzyłem na to z góry, z okna swojego pokoiku, i wczółgiwałem się pod koc z uczuciem, że ta nieruchoma kanciasta sylwetka w głębi ogrodu ma w sobie coś równie czystego, spokojnego i dobrego jak wieczorna modlitwa. Moja matka zanosila mu herbatę. Podziwiała wówczas jego talent, a krewni i sąsiedzi nieraz dostawali w prezencie obrazy, chociaż żaden nie ozdobił ścian naszego niedużego domu. Słyszałem, jak ojca chwalono, z chłopięcą dumą zerkałem na małe literki W. C, którymi sygnował w rogu każdy obraz, i jeździłem kolejką po dywanie, w głębi ducha przekonany, że nikt nie ma takiego taty jak ja.

Kiedy miałem dwanaście lat, świat się zmienił. Pewnego wieczoru ojciec w szarym garniturze wrócił do domu, wysłuchał opowieści matki o tym, że przez cały dzień czekała na

człowieka, który miał zreperować przeciekający nad kuchnią dach, że przyszedłem ze szkoły z rozdartymi na kolanie spodniami i że pani Fitzgerald nie będzie mogła w ten czwartek zagrać w brydża. A on siedział z tym swoim słamszonym, kanciastym spokojem i słuchał. Czy jego oczy zalśniły jakimś niezwykłym blaskiem? Długo sobie wmawiałem, że tak właśnie było. To nie mogło wyglądać tak zwyczajnie i nieefektywnie, jak teraz to widzę – ojciec wypija drugą filiżankę herbaty z mlekiem, zjada kawałek keksu i mówi:

– Bette, będę malował.

W pierwszej chwili, oczywiście, nie zrozumiała. Myślała, że ojciec ma na myśli ten wieczór, więc powiedziała, że świetnie, ona posprząta po podwieczorku, a on niech idzie się przebrać.

– Nie – odparł spokojnym, stanowczym głosem, który zawsze sprawiał, że wypowiedane przez niego słowa wydawały się większe, pełniejsze niż on sam, jakby nadrabiał rozmiarami ich znaczenia swoją fizyczną nikłość, jakby cały był umysłem. – Skończyłem z pracą w biurze oznajmił.

Matka akurat zakładała fartuszek do zmywania. Była drobna i miała bystre brązowe oczy. Znieruchomiała, popatrzyła na ojca, raptem pojmując sens jego słów, jak elektryczna maszyna przemierzyła kuchnię, ścisnęła niechęć za mocno moje ramię i odciągnęła mnie od stołu, żebym poszedł na górę odrabiać lekcje. Wyniosłem jej nagromadzoną furję z kuchni do chłodnego mroku korytarza i poczułem napływ krwi i bólu od sińca wywołanego nadejściem Boga. Wszedłem sześć stopni w górę i usiadłem. Wymacałem dziurę w spodniach na kolanie i ściągnąłem postrzępione brzegi rozdartego sztruksu, jakby mogły się same szczepić. Potem, opierając głowę na zaciśniętych pięściach, wysłuchałem końca swojego dzieciństwa.

## 2

– Zajmę się wyłącznie malowaniem – oświadczył ojciec.

Pełne zdumienia milczenie, cisza po ciosie. Zza drzwi, przycupnięty na schodach, widziałem twarz matki, jej przestraszony skaczący wzrok, nagle zatrzymanie energicznej krzątającej, oszołomienie i wreszcie:

– Nie mówisz tego poważnie, Williamie. Nie mówisz tego poważnie, powiedz, że nie...

– Będę sprzedawał obrazy. Już sprzedałem samochód – oznajmił.

Znów milczenie, cisza ładowana jak broń.

– Kiedy? Dlaczego?... Jak możesz?... Nie mówisz tego poważnie.

– Mówię poważnie, Betty.

– Nie wierzę. Jak... ?

Urwała. Może usiadła. Kiedy znów się odezwała napiętym głosem, połykała tłuczone szkło łez.

– Jezu, Williamie. Nikt nie przychodzi, ot tak, do domu i nie mówi, że rzuca pracę. Nie wolno ci, nie możesz tak powiedzieć na poważnie.

Ojciec milczał. Przetrzył słowa w wąskiej, szczupłej klatce piersiowej, opuszczając na otwartą dłoń kopułę głowy.

– Nie sądzisz, że i ja powinnam mieć coś do powiedzenia? – usłyszałem podniesiony głos matki. – A co z Nicholasem? Nie możesz...

– Muszę – rzekł z uniesioną głową.

Oświadczenie to spadło na nasze życie jak trup dziecka i otoczyła je chora cisza. Głosem, który ledwie słyszałem – a później wmawiałem sobie, że nie słyszałem, a tylko wyobraziłem sobie w półmroku mojego pokoju po odmówieniu wieczornego pacierza, gdy latarnie złościły brzegi zasłon – dodał:

– Muszę to zrobić. Bóg mi tak nakazał.

W ciągu najbliższych dni wracałem ze szkoły do domu, który raptownie się przeobrażał. Bóg wprowadził się z dnia na dzień. Meble z salonu wypełniły garaż, zdjęto żaluzje, żeby wpuścić więcej światła, zwinięto dywany, a w kącie zamiast telewizora stanął na betonowych płytach ogromny drewniany stół. Odłączony telefon przez miesiąc poniewierał się na podłodze w hallu przy wejściu. Matka polegiwała w łóżku. Ojciec nie udzielił mi żadnych wyjaśnień, tylko smażył jajka na bekonie, a ja zanośłem to danie na górę dla matki niczym zakodowaną wiadomość po zwodzonym moście do obłożonego zamku. Przyjechał wóz meblowy i opróżniono garaż. Dzieci sąsiadów zebrały się przed bramą i patrzyły, jak dawne życie opuszcza nasz dom. „Nie masz telewizora” – wykpił mnie jakiś chłopak. „Coughlanowie nie mają telewizora!” „Bo go nie chcemy” – odkrzyknąłem, podszedłem do dwóch rzuconych na trawę swetrów, udających słupki bramki, stanąłem z wyciągniętymi rękami i mrużyłem oczy przed przelatującą koło mnie piłką.

Zbliżało się lato. Matka wstała z łóżka, a ojciec wyruszył na pierwszą z wielu wiosenno-letnich wypraw, znikając w nienamalowanym płótnie panującej pory roku i pozostawiając matkę i mnie w barwnym, z lekka rozkładającym się bałaganie, który był naszym domem cztery tygodnie po nadejściu Boga.

– Twój ojciec, malarz, opuścił nas – mówiła do mnie matka i dodawała z gorzką ironią: – Bóg jeden wie, kiedy wróci. – Albo: – Twój ojciec, malarz, nie wierzy w rachunki do zapłacenia – kiedy przyszedłem od dentysty i niewyraźnie mamrocząc dałem jej małą brązową kopertę.

Przez tydzień uporządkowaliśmy dom. W małym pokoju koło hallu zachował się dywan i krzesła i tam właśnie wieczorami, kiedy położyłem się spać, przesiadywała samotnie matka, patrząc na światła w domach sąsiadów i zastanawiając się, co będzie z rachunkami, gdy skończą się pieniądze za meble. Po drugiej stronie hallu był teraz pokój ojca. Przez ten pierwszy miesiąc ani razu tam nie wszedłem. Tylko gdy uchylał na chwilę drzwi, wypatrzyłem rolki płótna, blejtramy, stos częściowo wyciśniętych tubek z ciemnymi farbami olejnymi i zużyte tubki, poskręcane jak zdychające ślimaki, na gołej podłodze pod stołem. Leżąc na łóżku w letnią nigdy nie ciemniejszą noc, wędrowałem myślami do tego pokoju i przez pierwsze dwa miesiące nieobecności mojego ojca, malarza, wyobrażałem sobie, że tam jest, pracuje bez wytchnienia i wcale nas nie opuścił.

Z nadejściem wakacji szkolne świadectwo wykazało, jak bardzo opuściłem się w nauce. Nie zaliczyłem nic oprócz angielskiego, a na angielskim, jak stwierdzono, miałem zbyt wybujałą wyobraźnię. Napisałem wypracowanie pod tytułem „Słoń w naszym domu”.

Któregoś sobotniego ranka matka, siedząca naprzeciw mnie przy kuchennym stole, wyszeptła gorączkowo, że teraz ja jestem małym panem domu. Musiałem przyłożyć się do nauki w szkole, dostać dobrą pracę i zacząć zarabiać. Miałem dwanaście lat i siedem miesięcy i patrzyłem, jak jej ładną okrągłą twarz wykrzywia ogromna troska i niepokój, których sprawcą był

Bóg. Cały urok mojej matki, wesołość orzechowych oczu i prędkie śmiech otaczający moje dzieciństwo zniknęły tego lata. Raptem stała się zmęczoną kobietą jak wysłużona maszyna. Kiedy jedna z jej rąk wyzwoliła się z kurczowego uścisku, ulatywała ku twarzy, pocierała policzek i przeskakiwała na cienką kreskę ust. Nasi sąsiedzi nie dzwonili ani nie przychodzili. Przez pewien czas nasz dom był wyspą przy ulicy, miejscem, z którego William Coughlan wyruszył, by malować. Wysłany do sklepiku, docierałem tam umyślnie tuż przed zamknięciem, gdy już opustoszał, a pani Heffernan, cierpiąca na zadyszkę sklepikarka o obfitym biuście, spoglądała na mnie znad półokrągłych okularów i dodawała darmową paczuszkę galaretek w cukrze do puszki fasoli lub zupy, o którą prosiła matka. „Weź, kochanie – mówiła przez perfumowe opary – i sam wszystko zjedz”.

Nie minął miesiąc, a ja nauczyłem się, żeby na zakręcie przed sklepikiem zmierzić włosy, wyciągnąć koszulę ze spodni i wetrzeć sobie trochę kurzu w szyję i wokół ust. Działo to niezawodnie: pani Heffernan, cmokając i głośno wzdychając, wychodziła zza lady, unosiła do ust rąbek fartucha, czyściła mnie i dawała torbę jabłek i pomarańczy, żebym sobie podjadł na zdrowie.

Tego pierwszego lata nie byliśmy pewni, czy ojciec kiedykolwiek do nas wróci. Matka, oczywiście, zapewniała mnie, że tak, że znów będziemy szczęśliwi i ojciec bardzo się ucieszy, gdy się dowie, że przez całe wakacje czytałem podręczniki i tak zmadrzałem. Im częściej to powtarzała, tym gorliwiej czytałem, odłożyłem rękawice bramkarza na komodę koło okna i pochłaniałem książki, daremnie szukając w nich chłopca, który miał ojca malarza.

Dni były złote tego słynnego irlandzkiego lata. Sprzedaliśmy kosiarkę i w naszym ogrodzie wyrosła dzika łąka usiana stokrotkami. Trawa wybujała po pas. Czasami wieczorem kładłem się w niej, chowałem i czując wokół łagodne kołysanie morza roślinności, patrzyłem, jak błękit nieba ciemnieje i wypuszcza na wolność gwiazdy. Nie zamykając oczu, myślałem o ojcu, który gdzieś, hen, malował osłaniający mnie kaptur nocy.



Do połowy sierpnia dostaliśmy dwie widokówki. Jedną z Leenane w hrabstwie Mayo, drugą z Glencolumbkille w Donegal. W obu ojciec pisał, że dobrze się miewa, dużo maluje. W obu zapowiadał rychły powrót do domu. Widokówki, odwrócone tekstem na wierzch, stały na parapecie koło kuchennego stołu i każdego ranka przed pójściem do szkoły odczytywałem je po kilka razy, popijając z kubka herbatę z wydzielonym dodatkiem mleka i dotykając z lekkim niepokojem szarej łąty na spodniach.

A potem, w dżdżysty wrześnieowy pierwszy dzień szkoły, zszedłem na dół i usłyszałem łomot i stukanie dobiegające z pokoju ojca. Wrócił w nocy – chuda postać w kapeluszu, z małą torbą, podchodząca pod górę ścieżką, żeby zapukać do drzwi własnego domu. Matka wzięła go pewnie za złodzieja lub żebraka. Usłyszała pukanie, ale nie wstała z łóżka, myśląc na wpół przytomnie, że przysniły jej się te z dawna oczekiwane odgłosy, które ją zbudziły. Kiedy dostał się do domu od tyłu i usłyszała jego kroki w kuchni, a potem w korytarzu, wiedziała, że to on. Zostawił torbę przy schodach i wszedł na górę. Zajrzał do mnie – tak myślę i wyobrażam sobie, jak wyciąga rękę w ciemności i długimi, chłodnymi palcami gładzi mnie po głowie. Potem wycofał się z mrocznego pokoju na mroczny podest i otworzył drzwi sypialni. W mokrym płaszczu i kapeluszu, w wysokich butach, które przywiodły go z zachodu, stanął w progu i spojrzał na moją matkę. Spodziewał się wyrzutów, złorzeczenia, jakiegoś okazania nieprzychylności. Matka podparła się na łokciu, żeby na niego popatrzeć – w nocnej, koszuli była plamą księżycowej bieli na łóżku. Odczekała chwilę, aby upewnić się, że nie śni, a potem powiedziała „Dzięki Bogu” i wyciągnęła rękę do nadchodzącego ojca.

Ja wówczas o tym wszystkim, oczywiście, nie wiedziałem. Tego dżdżystego ranka, kiedy dobiegły mnie hałasy z pokoju ojca, pomyślałem ze strachem, że sprzedajemy jego rzeczy. Uchyliłem drzwi, zajrzałem, a on przybijał listwy do wielkiego blejtramu. Nie zobaczył mnie ani nie usłyszał. Otworzyłem usta, żeby zawołać do niego, ale straciłem głos. Stojąc w drzwiach z rozdziawionymi ustami, przyglądałem się, jak pochylony w skupieniu nad robotą wali w drewno, podobny w tym zapamiętaniu do znieruchomiałej postaci na obrazie, niepomnej na cały świat. Cofnąłem się i zamknąłem drzwi. Poszedłem do kuchni i w milczeniu zrobiłem sobie śniadanie, czując kłębiące się we mnie przerażenie i radość. Gdy chciałem zabrać się do jedzenia, uczucia te rzuciły się do gardła i zatkały mnie, aż nabrzmiała mi twarz. Płynął we mnie strumień niewypowiedzianych słów. Czy naprawdę wrócił? Czy znów miał zapanować w naszym życiu pokój i porządek? A może ojciec nie zbijał blejtramu, tylko go rozwaliał? Czy skończył z malowaniem? Czy Bóg znów do niego przemówił?

Odruchowo przeczytałem widokówki na parapecie, jak robiłem to od tygodni, i w chwilę potem poczułem na ramieniu rękę ojca.

– Tato – powiedziałem i obracając się, poczułem, jak pęka nadmuchany przez emocje balon łoż. Przytuliłem się do pachnącej terpentyną szczupłej piersi ojca i płakałem, a on po chwili

poklepał mnie po plecach i przytrzymał przed sobą. Oglądał mnie od stóp do głów, a ja, ocierając łzy strzępiącym się rękawem szarego swetra, miałem nadzieję, że dostrzeże promieniejącą ze mnie wakacyjną naukę. Miałem nadzieję, że dostrzeże, jaki ze mnie mały mężczyzna i głowa domu, jak sprytnie naciągałem panią Heffernan na słodycze i owoce i cały czas wiedziałem, że on do nas wróci.

Trzymając mnie na odległość wyciągniętych rąk, wodził po mnie plamkami niebieskich oczu nieskończenie długo. Włosy mu odrosły i w porannym świetle wydawały się białe, a nie szare. Nawet brwi mu zjaśniały. Zrobił się taki blado-przejrzysty, a gdy się w niego wpatrywałem, zdawał się znikać, jakby był utkany ze światła, jakby nie był człowiekiem, a kimś – jak to sobie wyobrażałem – podobnym do Boga.

– Nie musisz w tym tygodniu chodzić do szkoły – oznajmił. – Co ty na to? Odpowiada?

Pewnie, że odpowiadało. Cudownie. Matka zesła z góry w zielonej sukience, której nigdy przedtem nie widziałem. Posłała mnie po ziemniaki i marchew, a ja przyniosłem jeszcze rzepę.

Ojciec wysłał namalowane tego lata obrazy pociągiem do Dublina i tego samego dnia zabrał mnie ze sobą na stację, żeby je odebrać. To pierwsza prawdziwa podróż do miasta, jaką pamiętam. Siedziałem na górze piętrowego autobusu, na samym przodzie, cienkie gałęzie sykomor i kasztanowców ocierały się o okno, a kiedy nas minęły, oswobodzone liście opadały na uliczki między domami. Położyłem ręce na kolanach, zapominając o łacie, i zerkalem na nieruchomego, milczącego ojca. Nie wyglądał na uszczęśliwionego tym, że do nas wrócił. Patrząc na niego – na ten chudy, ogołocony bezruch – odniosłem wrażenie, że uczucia ojca odrywają się od niego i wirują miękko i bezszelestnie jak małe niewidzialne liście, opadające spiralnie w półmroku jesiennego popołudnia. Jego uczucia były niewidoczne, ale kiedy odchodził, można było zobaczyć je wszędzie w pozostawionych przez niego śladach. Mogę więc powiedzieć, że w tamtej chwili nienawidził miasta. W głębi duszy nie mógł się pogodzić z tym, że urodził się w mieście, chodził tam codziennie do biura i stracił tyle dni pełnych światła.

Od ojca właśnie, w czasie podróży autobusem, przejąłem gniew na miasto. Cóż to za bezlistne, szare szkaradzieństwo, ogromna, zmienna, betonowa łamigłówka, zabałaganiona kreskami śpieszących się ludzi w brązowych płaszczach i ze spoconymi twarzami. Chciałem chwycić ojca za rękę, kiedy wysiadaliśmy z autobusu, ale zamiast tego wepchnąłem zimne zaciśnięte ręce do kieszeni budrysówki i starałem się stawiać takie same długie zdecydowane kroki. Ojciec nie golił się od tygodnia, miał posrebrzone zarostem policzki, a spod rozwiewanych przez lekki wiatr białych kosmyków przebierała różowa skóra głowy. Idąc ulicami bez kapelusza, ścigał na siebie spojrzenia przechodniów na nabrzeżach, jakby dziwny wygląd, włosy prawie do ramion, i błękitne kamyki oczu pasowały go na jakąś znakomitość. Wydaje mi się, że w drodze na stację nie zwracał na nic uwagi, ani na płaczące na rękę matki dziecko z lepką buzią, ani na tłuste plamy, które namalował nam na spodniach nadjeżdżający autobus. Wyobrażałem sobie, że tak jak ja i pozostała w domu matka, maluje w myślach obrazy. Może znalazł się z powrotem w otwartej przestrzeni, pośród brązów, zieleni i fioletów, stał w tych samych

miejscach, gdzie próbował dzień po dniu uchwycić i przenieść na płótno wielobarwne światło.

Weszliśmy pod łukowate sklepienie pełnego przeciągów dworca i serce skoczyło mi z radości na widok pociągów. Przy barierce przed lokomotywą ojciec powiedział, że mogę postać i popatrzeć, a on pójdzie dowiedzieć się o swoje pakunki.

Powolne przyjazdy ciężkich pociągów, mundury, głośnie, zniekształcone zapowiedzi, nazwy miejscowości leżących hen, daleko, za długimi peronami.

– Załatwione.

Tylne siedzenie i bagażnik taksówki załadowano już zawiniętymi w papier pakowy obrazami. Wtłoczyliśmy się na przednie siedzenie obok kierowcy. Usiadłem na kościstych kolanach ojca, a on pochylił się, starł z przedniej szyby zamróz naszego podekscytowania, robiąc małe, okrągłe, nieco zamazane okienko, przez które widzieliśmy pokonywane w pędzie ulice. Przepelniała mnie duma; wiezione do domu obrazy miały zadośćuczynić smutkowi minionego lata. Spodziewałem się, że matka spojrzy, klaśnie w ręce i uniesie dłonie do ust. Obrazy w ciągu tygodnia zostaną sprzedane, będziemy mieli dywan w hallu i czerwony samochód w garażu. Buzowało we mnie szczęście, a taksówka tymczasem wjechała w cichą serpentynę uliczek z domami bliźniakami, skąd wszyscy mężczyźni wyszli do pracy, a dzieci do szkoły.

Nasza rodzina nie była, w zwykłym rozumieniu tego słowa, religijna. Do czasu, gdy skończyłem dziesięć lat, ojciec i matka chodzili ze mną w niedzielę rano do kościoła. Siedzieliśmy w gładkich, cedrowych ławkach razem z naszymi sąsiadami i we właściwych momentach mszy wstawaliśmy, klękaliśmy i siadaliśmy. Czasami, gdy kazanie było zbyt nudne lub ksiądz przesadnie szafował inwektywami, ojciec zaczynał głośno i głęboko oddychać, żeby nic nie słyszeć, ale przez to siedzący koło nas myśleli, że śpi z otwartymi oczami. Wcale nie spał; słyszałem, jak tłumaczy matce, że tylko hamuje wściekłość. A zresztą oddychanie, mówił, to najczystsza forma modlitwy.

– Bóg, Nicholasiu, nie mieszka w podmiejskich kościołach z czerwonej cegły – powiedział kiedyś do mnie.

Było letnie popołudnie. Wybraliśmy się na spacer, a matka ucięła sobie drzemkę. Poszliśmy ulubioną trasą ojca, stromo pod górę, uliczkami prowadzącymi za miasto. Kiedy wydostaliśmy się z zabudowań – pierścieni, pętli i labiryntów nowych domów – zmieniło się powietrze. Ojciec wyprostował się i w oczach urósł, spotężniał, stał się dobrodusznym olbrzymem, cicho kroczącym obok zwisających czerwonych kwiatów dzikiej fuksji i żółtych wiciokrzewów. Służyła mu szeroka połać nieba, wydłużał krok w słońcu. Urwał z żywopłotu lepki liść wawrzynu i miał go w palcach jak okruch wspomnienia. Wiedziałem, że jest szczęśliwy. A kiedy powiedział te słowa o Bogu i kościołach, prowadząc mnie za słoneczny róg żywopłotu gęstego od ptasich świergotów, uwierzyłem mu bez wahania.

W jakiś czas potem przestaliśmy chodzić do kościoła. A jeszcze trochę później, jak mi się zdaje, Bóg zamieszkał w naszym domu. Nieczęsto mówiło się o Nim i nikt nie zwracał się do Niego wprost. A jednak wiedzieliśmy, że jest. Wyczuwaliśmy nie świętość, nie cel modlitw, ale swoistą obecność. Jak centralne ogrzewanie, powiedziała matka. Kiedy ojciec wyjechał, On został.

Siedząc w taksówce z opakowanymi w papier obrazami na tylnym siedzeniu, byłem przekonany, że wieziemy do domu dowód na istnienie Boga.

Kiedy przyjechaliśmy, matka była na górze, cała w nerwach. W sytuacji krytycznej reagowała na dwa sposoby: kładła się do łóżka albo mobilizowała siły do bezmyślnych, machinalnych, pośpiesznych porządków, czyszczenia, zamiatania i odkurzania. Tym razem przecierała okno w sypialni, nawet przez nie nie patrząc, nie widząc parady brązowych kwadratów i prostokątów, sunących od taksówki do pokoju obok hallu. Była pewna, że od tych delikatnych, kolorowych dzieł sztuki zależy przyszłość naszej rodziny, że pod brązowym papierem pakowym są obrazy, które od ostatniej nocy mąciły i wzburzały morze jej bezsennego umysłu. Niewidoczne, były źródłem udreki, a mimo to w momencie kiedy mogła zbiec na dół, otworzyć nam drzwi, zderzyć opakowanie, cofnąć się i poddać napływającej fali spokoju, nie ośmieliła się tego zrobić. Zapamiętała przecierała i tak już czyste okno.

Po opłaceniu taksówkarza, gdy wciąż zakryte obrazy opierały się o ściany pustego pokoju jak przechylone nagrobki, ojciec przez chwilę stał i patrzył na nie ze zwieszonymi długimi rękoma. Była za dziesięć trzecia. Czekając na polecenia, przyglądałem się ojcu w słabym świetle i wdychałem zapach pociągów i farb olejnych. Za plecami miał okno. Niesforne kosmyki włosów jaśniały wokół jego głowy jak aureola. Pomyślałem, że może czeka na matkę.

– Mam pójść po mamę?

Drgnął i wówczas zdałem sobie sprawę, w jakim trwał bezruchu.

– Nie – rzekł – przydasz mi się. Składaj papier, który będę ci podawał, dobrze?

Przykłękał przed obrazem, długimi kościstymi palcami rozpakowywał go powoli i tak odsłaniał jeden po drugim, obchodząc pokój. Słyszałem, jak matka zeszła na dół i zaczęła energicznie zamiatać hall. Podążając krok w krok za ojcem, w milczeniu składałem płachty brązowego papieru. Bałem się odezwać; zerkalem kątem oka. Gdy odsłoniliśmy ostatni obraz, ojciec wziął krzesło i postawił je pośrodku. Usiadł, założył ręce i oddychając głęboko, oddalił się w mgłę milczenia. Wyszedłem z pokoju i zamknąłem za sobą drzwi.

Matka wciąż zamiatała hall. Z braku śmieci i pyłu, które dałyby się zgarnąć na kupkę, zamazyście szurała szczotką w tę i nazad, w tę i nazad, odsuwając od siebie moment, kiedy będzie musiała wejść do pokoju i obejrzeć obrazy. Nawet na mnie nie spojrzała, gdy wyszedłem, tylko zamiatała i minęła mnie ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakby spodziewała się ciosu w głowę.

Poszedłem na górę do swojego pokoju. Przysiadłem na łóżku i dopuściłem do siebie przygniatające wrażenia. Obrazy ojca nie przedstawiały tego, czego się spodziewaliśmy: widoków na pola, góry i morski brzeg. Ani krów na zielonych pastwiskach, ani szarych szczytów wjeżdżających w chmury nad Connemara. Na trzydziestu płótnach otaczających milczącego na krześle ojca moje dwunastoletnie oczy zobaczyły mieszaninę kolorów, dziki, dziwaczny szal bezkształtnych pociągnięć pędzlem, wykonanych z taką siłą, tak nieoczekiwanych i pełnych energii, że właściwie to nie były obrazy. Czy naprawdę on je namalował? Spojrzałem i odwróciłem oczy, nie chcąc patrzeć na tak jawnie zademonstrowaną zapowiedź szaleństwa, które – jak się obawiałem – miało nas teraz ogarnąć. Po pierwszym wstrząsie umyślnie unikałem wzrokiem obrazów, powtarzając sobie w duchu, że nic nie rozumiem, że w gruncie rzeczy są wspaniałe; i w skupieniu, równiusieńko składałem brązowy papier, znajdując pocieszenie w schludności. Szare i brązowe smugi, zderzające się krechy wściekłych fioletołów i czerni wciąż wpadały mi w oko, więc się gapiłem. To były brutalne kompozycje, u góry czarne, ochlapane, zakapane brązem, wypunktowane błękitem i fioletem, przemyte falą bieli. Na innych, w tonacji zielono-czerwonej, szerokie łuki koloru spływały poza brzeg płótna, wszędzie szalała żółtość i znów czerni. Tyle czerni i brązu. To były malunki obłąkanego dziecka; nie mogłem niczego dojrzeć w pełnym furii splocie barwnych krzywizn i po chwili przestałem patrzeć. Kiedy stamtąd wyszedłem i udałem się na górę, wmówiłem sobie, że to jakiś kaprys światła nie pozwolił mi dojrzeć tego co trzeba. Usiadłem na łóżku i uczepliłem się resztek wiary, jaką miałem, wracając z

dworca. Mój ojciec był geniuszem. Wielkim malarzem. Będziemy szczęśliwi, bogaci i sławni.

Wreszcie matka opanowała się, wkroczyła do pokoju, w którym ojciec nie ruszył się z krzesła, i pchając przed sobą szczotkę do zamywania, pokonała pół drogi do przeciwległej ściany, nim się zatrzymała. Miała na sobie żółty fartuch. Popołudniowe światło szybko przygasło i obrazy rozstawione wokół pokoju nabrały posępności gasnącego dnia. Stała, jakby chciała, żeby kurz osiadł przed szczotką, i zaryzykowała spojrzenie, na które czekała przez całe lato. Jej małe brązowe oczy przefrunęły po obrazach jak ptak, nigdzie się nie zatrzymując, sunąc szybko od jednego do drugiego i do następnego. Nie ruszając się z miejsca, obleciała cały pokój. W ogromnej, naładowanej ciszy poczuła, że się załamuje, upada i zostaje z niej tylko mała kupka pyłu. Ścisnęła kij szczotki do zamywania, złapała oddech i poruszyła nogami. Bez słowa, bez żadnego znaku odwróciła się i wymiotła sobie z pokoju.

Ojciec, patrzący na nią z tronu absolutnego bezruchu i milczenia, nie zrobił żadnego gestu ani nie podjął próby wyjaśnienia. Siedział nieruchomo, pochylony lekko do przodu, z dłońmi wciśniętymi między stulone kolana, przygarbiony, z łokciami sterczącymi jak skrzydła. Poruszały się tylko jego oczy, tylko oczy mówiły jej, że wszystko będzie dobrze.

Isabel urodziła się na wyspie na zachodzie.

Kiedy później o tym myślałem, dodając wyrywkowe opowieści Isabel do moich wyobrażeń, jej dzieciństwo jawiło mi się jako delikatny materiał utkany z morskiego światła i piasku, postrzępiony i przybrany wstążkami piękna i smutku. Otaczały ją krajobrazy, które w mojej chłopięcej wyobraźni malował ojciec, wielkie przestworza nieba, pola z kamiennymi murkami, zatrzymującymi swawolną letnią bryzę, nieustannie wyczuwalna obecność wyciszonego lub wzburzonego morza. Isabel biegała, skakała i ścigała się na białym zakolu piasku swojego wschodniego brzegu, a gdy uniosła głowę, widziała spiętrzoną szarą krawędź Irlandii i zastanawiała się, co ją czeka.

Wyspa była mała i cicha, bez samochodów. Wczesnym rankiem od prymitywnego pomostu odbijały łodzie rybackie; sunąc po mlaskających wodach, okrążały wysepkę i wypływały na morze samotności i deszczu, aż znikwały na zachodzie, zbliżając się ku niewidocznej za horyzontem Ameryce, i tam, na rozkołysanych falach, chwytaly w sieci ryby, a potem przywoziły je do domu.

Czasami po szkole Isabel przemierzała wyspę razem z bratem. Ojciec był nauczycielem i porządkował klasę albo wstępował do Comana na dwie szklaneczki irlandzkiej whiskey, a oni wtedy przerzucali tornistry przez wyrwę w murku i wyprawiali się na wzgórze za wioską. Isabel miała jedenaście lat, a brat dziesięć. Schodzili płataniną kamiennych ścieżek, które trudno byłoby pokonać rowerem, przez szare wapienne rumowisko nad spienione u zachodniego brzegu morze. Docierali na skraj wyspy, ostry występ skalny nad przepaścią. W dole lśniły czarne skały, zatapiane przez kłębiące się wody przypyływu. Linia brzegu, o który rozbijały się fale, to pojawiała się, to znikwała jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Tam mieli swoje ulubione miejsce zabaw, małą nadmorską galerię kamiennych schodków i wielopoziomowych platform. Tam byli królem i królową. W majestatycznej ciszy i pięknie krańca ziemi wyobrażali sobie, że rządzą baśniowym królestwem skrzypków i poetów. Mężczyznami podobnymi do ojca, kobietami podobnymi do matki. Mówili po irlandzku i w wypowiedziach w zabawie frazach ożywał mały gaelicki świat. Przydzielali sobie mnóstwo ról, odgrywając to kapitana, to barda, to znów kowala albo piekarza. Isabel tańczyła na wysokiej płaskiej skale przy akompaniamencie niewidzialnych skrzypek Seana. Wydawali polecenia i sami je wykonywali. Czasami, we wczesnowiosenne popołudnia, gdy zdawało się, że znad morza biegnie ku nim w podskokach nowe życie, udawali najeźdźcę i obrońcę wyspy, na niby walczyli wręcz, wzywali wyimaginowane armie wojowników i rabowali skarbcę królestwa. W górze darły się gromadnie ptaki, a fantastyczne światło wiosennego nieba tkało nad ich głowami gobelin. Białe, szybkie obłoki były żaglami okrętów przybyłych z dalekich stron.

Kiedy Isabel tańczyła na skraju skały, czuła, że wiatr tańczy razem z nią; czuła, jak dotyka jej nóg i przeszywa ją dreszczem zagrożenia. Paliły ją policzki, wbijała wzrok w morską dal, ręce

trzymała opuszczone. Przycupnięty z tyłu Sean rznął od ucha na nieistniejących skrzypkach, idealnie trzymając rytm jiga. Znał dobrze tę i dziesiątki innych melodii, które wygrywał w sobotnie wieczory dla tłumu bywalców pubu Comana. Wyglądał zwyczajnie, jak chłopiec w tym wieku: piegowaty, z zadartym nosem i odstającymi uszami, ale należał do tych dzieci, które zdają się służyć samemu Bogu do muzykowania. Grał na czym popadnie – na skrzypkach, gwizdku, flecie, bębenku bodhranie, banjo, łyżkach – z jednakową lekkością i wprawą, a kiedy wydobywał dźwięki z martwego instrumentu, rozglądał się lekko zdziwiony po tańczących lub obstepujących go ciekawie dorosłych. Dla tańczącej siostry Isabel chętnie grał na niby, zmieniając co chwila instrumenty, aż kręciło mu się od tego w głowie. To przygrywał na skrzypkach, to gwizdał, po kolei udając wszystkie instrumenty, ale ani razu nie pomylił melodii, a Isabel kroków.

– Sean! – wykrzykiwała z udaną irytacją i nie patrząc na brata, przemierzała skałę tanecznym krokiem. Uwielbiam to, myślała, podskakując na szarym brzegu Atlantyku.

Bawili się tak z godzinę na skałach górujących nad morzem. Sean zaczął się droczyć z siostrą, wypominając jej, że tańczy dalej od krawędzi skały.

– *Is meatachan tusa* – powiedział, nazywając ją tchórzem.

Przy kolejnej melodii przyśpieszył tak, że wypadł z rytmu, grał coraz szybciej, przeplatając dźwięki muzyki śmiechem, potrząsając głową.

– Sean! – zawołała Isabel, usiłując nadażyć za rozpędzoną muzyką, przemierzała nagą skałę w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, jak miotająca się marionetka, tańczyła tak szybko, jak on grał, w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, coraz szybciej i szybciej, aż nagle przestała. Wyczerpana, odetchnęła głęboko. Cudownie! Boże, jak uwielbiała tańczyć. Cisza zagarnęła piętrzące się nad nimi urwisko, a gdy Isabel odwróciła się, zobaczyła, że brat dostał ataku.

Twarz mu niezdrowo pobladła, oczy się wywróciły, a zeszywniałym ciałem wstrząsały drgawki. W pierwszej chwili myślała, że udaje, że opanował jakąś nową sztukę, nauczył się tak okropnie straszyć, toczyć pianę z ust. Ale kiedy dotknęła jego czoła, jej palce zrozumiały; choroba przykleiła się do nich warstewką potu, którą Isabel uniosła do warg, a potem krzyknęła.

Atak zdawał się ciągnąć w nieskończoność, choć trwał tylko kilka minut. Potem Sean opadł bezwładnie na skałę, wiotki i śliski jak ryba. Jego oczy powróciły z innego świata zaszkłone. Oddychał ciężko. Chciał coś powiedzieć, ale nie mógł, a kiedy wreszcie udało mu się wymówić jej imię, wybełkotał je tak, jakby przeszkadzał mu wetknięty w usta cudzy język.

Isabel podniosła brata. Był lekki i słaby, wiatr mógłby go zanieść do morza. Skalną platformę nad ich głowami obsiadły czujne mewy, czekając na nadchodzący deszcz. Kiedy Isabel, otoczywszy brata ramieniem, pomagała mu posuwać się chwiejnie naprzód po kamienistej dróżce, prowadzącej przez wyspę, niebiosa się rozwarły. Deszcz spadł tak jak zawsze, zasnuwając horyzont szybkimi, miękkimi welonami wody, łącząc niebo i morze w szary materiał bez szwu, zasłaniając wyspę przed światem. Lały się na nich potoki wody. Sean, drżący u boku siostry, stąpał powoli, jakby każdy krok był osobnym dziełem. Szli do domu przez ciszę panującą na wyspie. Zostawili tornistry pośród kałuż pod murkiem i podążali do domu, gdzie już zaczęli



się o nich martwić rodzice.

Sean, pozbawiony podtrzymującego ramienia Isabel, osunął się na kamienną podłogę w kuchni. Margaret Gore krzyknęła. Nachyliła się, żeby pomóc, ale mąż ją uprzedził, podniósł syna i zaniósł go szybko do łóżka. Przez chwilę Isabel siedziała zgarbiona i przemoczona na podłodze w kuchni, z opadającymi na twarz długimi zmierzwionymi włosami. Matka podbiegła do niej. Co się stało? Na miłość boską, co się stało?

Rozebraną, owiniętą w ręczniki i drżącą Isabel posadzono przed kominkiem. Ojciec wyszedł na deszcz, żeby z poczty zadzwonić na sąsiednią wyspę po doktora. Matka siedziała obok, ale co chwila wstawiała i wchodziła do pokoju, gdzie leżał, przykryty kocami, półprzytomny chłopiec. Deszcz padał i padał. Co się stało? Co się stało? Jedenastoletnia Isabel Gore nie miała pojęcia.. Wpatrywała się w ogień, gdy wioząca doktora łódź parła naprzód przez rozgniewane morze. Zbliżyła twarz do płomieni, aż poczuła pieczenie i ból. Nic nie mówiła, tylko wpatrywała się w pomarańczowy żar torfu i myślała: to przeze mnie, skrzywdziłam brata.

Tamtą zimę, którą ojciec spędził w domu, matka spędziła w łóżku. Nie było pieniędzy na centralne ogrzewanie i na naszych trzech łózkach piętrzyły się koce, płaszcze, zapasowe ręczniki i wszystko, co tylko udało się znaleźć w domu. Rano budził mnie chłód na twarzy, drżąc, naciągałem na siebie zimne wilgotne ubranie i schodziłem na dół z uczuciem, że wieje mi po uszach. Ojciec zasiadał do śniadania w płaszczu, a czasem w kapeluszu. Jeżeli coś mówił, to najwyżej moje imię albo „proszę”, albo „to dla twojej matki”, albo „weź to na górę”. Nie był posępny ani nieczuły, nic z tych rzeczy. Wszedł w zimową fazę natchnienia, następujący po powrocie z pleneru chłodny sezon, który wszyscy troje z czasem tak dobrze poznaliśmy. Listopadowanie, grudniowanie, czas wewnętrznego ochłodzenia, noce i dni, gdy przesiadywał w pracowni, patrzył na obrazy z lata i zaczynał wątpić, czy Bóg był z nim naprawdę.

Obrósł od środka białym szronem i chodził łamliwie chudy z pokoju do pokoju, poruszając się niezmiernie delikatnie, powoli, ostrożnie i cicho, jakby mógł popękać, rozpaść się pod naporem duszy.

Z braku rozmowy jedynym dostępnym matce luksusem było radio. Wyznała mi w zaufaniu, że woli je od dwóch filiżanek kawy, i każdego ranka, kiedy szedłem do szkoły, sadowiła się wyżej na łóżku i wsłuchiwała w zanikające dźwięki ze świata, napływające z trzeszczącego tranzystora, w którym siadały baterie. Rano nadawali wesołe pogawędki. Miły gospodarz programu miękkim głosem wypowiadał charakterystyczne kwestie, cały szereg retorycznych pytań, mnóstwo „sami państwo wiedzą, prawda?” i „słyszeli państwo coś podobnego?” i tak dalej. Matka nauczyła się udzielać w takich chwilach odpowiedzi. Oparta bokiem na garbie poduszki, nachylała się nad radiem i mówiła wyraźnie jak do aparatu słuchowego głuchawej przyjaciółki.

Zostawiałem więc rano w domu matkę, rozmawiającą z radiem, milczącego i zmrożonego po odpływie natchnienia ojca i przyłączałem się do wężyka pedału do szkoły chłopców. Nikomu nie wspominałem o rodzicach ani nie okazałem śladu zdziwienia, kiedy na lekcji religii brat Maguire stanął przed klasą i poprosił, żebyśmy zamknęli oczy i w skupieniu pomyśleli o tym, jak Bóg wkracza w nasze codzienne życie.

Na wyspie ciszy i spokoju Isabel zaczęła czuć się więźniem tego, co zrobiła. Uważała, że jej taniec w niewytłumaczalny sposób wywołał chorobę brata, więc codziennie prosto ze szkoły przychodziła czuwać przy jego łóżku. W wilgotnym pokoiku Sean leżał nieruchomo na wznak pod stertą wełnianych koców, wpatrzony w towarzyszącą mu od ataku jasną biel, jakby świat odsłonił przed nim nagle swoje tajemnice. Po odejściu muzyki był bezużyteczny niczym porzucony instrument, a Bóg poszedł grać na kimś innym. Kiedy jadł, co przychodziło mu z trudem, papkowaty pokarm wyciekał z jego ust na podłożoną pod brodę pieluchę. Potem kładł się i pogrążał w głębokiej ciszy, nie dostrzegając, że przez drzwi zaglądają grupki smutnych mężczyzn w mokrych płaszczach i kobiet w chustkach na głowie. Unosił się nad nim szmer odmawianych wspólnie modlitw i różańców.

Isabel, siedząca samotnie przy jego łóżku, szeptała mu do ucha. Z początku tylko „wyzdrowiej, Sean”, „poczuj się lepiej” albo słowa smutku „*Sean, ta aifeala orm*”. Lecz kiedy pierwsze tygodnie przeciągnęły się w miesiące i zanosiło się, że Sean już nigdy nie przyjdzie do siebie, próbowała mu to wynagrodzić szeptanymi sekretami.

Pewnego błękitnego wrześniowego dnia Muiris Gore zabrał córkę promem na ląd, żeby zapisać ją do szkoły z internatem w Galway. Isabel od dawna wiedziała, że kiedyś wyjedzie, ale gdy obwarowane murkami poletka na rodzinnej wyspie zlały się w oddali w jednolity szary garb, poczuła się w podskakującej na wodzie łodzi jak wygnaniec. Siedziała na ławce przy burcie, obok ojca, opryskiwał ich delikatny wodny pył, a za promem ciągnęło wrzaskliwe stado mew. Isabel ścisnęła rączkę torby i zastanawiała się: gdyby wypadła za burte, czy torba unosiłaby się na wodzie?

Ojciec pociągnął trzy łyki z piersiówki, a potem ostrzegł ją przed zakonnikami. Mówił po angielsku i jej też kazał.

– Issy – rzekł. – Dobrze się sprawisz, prawda? Pokażesz im, co potrafisz, pokażesz im, że my też coś umiemy. Będą tam dziewczęta z miasta, z całej okolicy, ale ty będziesz od nich wszystkich mądrzejsza i lepsza. – Spojrzał na morze, które zostawało za nimi. – Nie jesteśmy głupi ani zacofani, nie jesteśmy ignorantami, pamiętaj o tym, Issy. Będziesz najlepsza z nich wszystkich.

Nie mogła na niego patrzeć. Znała na pamięć tę przemowę, razem z kolegami i koleżankami ze szkoły wysłuchiwała jej w dziesiątkach wersji w małej zielonej klasie, gdzie na ścianie wisiała mapa Irlandii. Ojciec wciąż podejmował ten wątek, wpajał im dumę z rodzinnej wysepki, niepodważalne przekonanie, kim są, nawet gdy wyprawia się dalej w świat, opuszczając swojski zakątek ziemi. Whiskey i przeprawa promem sprawiały, że przemawiał z większym niż zwykle naciskiem. Jeszcze chwila, myślała, a ojciec wstanie i zacinając się, wygłosi tę mowę do garstki pasażerów, dobierając słowa powoli i z rozmysłem, aż rozkołysana łódź ciśnie nim o barierkę i wyrzuci, jękającego się, do morza.

Kiedy na nią spojrział, kiwnęła głową. Nie wspomniał o Seanie. Od dnia wypadku nie bardzo wiedział, co o tym myśleć. Bóg jeden wie, co stało się na skalnej platformie nad morzem, dlaczego jego jedyny syn utracił mowę i władzę w członkach. Przez pierwsze kilka dni siedział w kuchni i słuchał, jak Isabel opowiada w kółko o tym samym, że tańczyła tak jak zwykle na skale, że Sean dla zabawy grał coraz szybciej, a ona starała się nadążyć, przemierzając przed nim skałę, skacząc na wietrze, aż muzyka raptem ucichła. Muirisowi brakowało w tym jakiegoś ogniwa, a gdy zdarzyła mu się chwila słabości u Comana, płakał z żalu i smutku, że nie jest w stanie tego pojąć. Przez pewien czas myślał, że to kara za próżność, dumę z syna, muzycznego talentu, cudownego dziecka, które leżało teraz, śliniąc się i bełkocąc, w pokoju bez pieśni, gdzie przez okno dolatywał cichy szum morza. Czy nie było czegoś jeszcze, czegoś, o czym Isabel nie wspomniała? – zastanawiał się czasem. Patrzył ponad klasą na swoją córkę, przyglądał jej się, kiedy szła do domu. Jak bardzo różniła się od innych dziewcząt. W jej urodzie było coś dzikiego, co tłumaczył sobie jako dumę i niezależność. Będzie uparta, przewidywał, tak jak matka, w której ognisty temperament łączył się z brutalnym zdrowym rozsądkiem w takich proporcjach, że dawno zrezygnował z prób wdawania się z nią w dyskusje. Był panem nauczycielem. Był kimś na wyspie. To jemu przypadała ogromna odpowiedzialność za urabianie, formowanie, kształtowanie umysłowego surowca wyspy. Przeczytał więcej książek niż inni, łącznie z księdzem. Recytował z pamięci poematy irlandzkie po sto albo więcej wersów, nieraz na weselu czy pogrzebie proszono go o przypomnienie starych wierszy, przy których cały dom zamierał, zasluchany wieczorową porą, a kobiety płakały. Kochał siebie za to. Starał się przekazać swoim dzieciom umiłowanie poezji i pieśni; do tej zabawy na brzegu wyspy właściwie sam je zachęcił. Teraz, siedząc na promie przepływającym się do Galway pod wrześnieowym niebem, patrzył na córkę – swoje dzieło – rumieniąc się z przestachu i dumy. Będzie piękna, to pewne, myślał. Już teraz miała niezwykle oczy, gęste ciemne włosy, a gdy szła, nawet będąc małą dziewczynką, unosiła głowę wysoko, jakby zaznaczając swoją niezależność. Odnosiła się do niego uprzejmie. Mówiła niewiele. Jednak wyraz jej twarzy napęłniał go uczuciem, że kryje przed nim tajemnice, których on nigdy nie pozna.

Jego żona uważała to za bzdury. Dziewczyna była po prostu cicha i tyle. Przeżyła chwile strachu, ale niedługo na pewno dojdzie do siebie. Zresztą, Galway ją zmieni, zapewniła męża. Życie na łodzi zmieniało wszystkie dziewczęta. Opuszczały wyspę, będąc jeszcze dziećmi, i nigdy nie wracały takie same. Zostawiały na wyspie dzieciństwo i przyjeżdżając tu ponownie, mogły je co najwyżej odwiedzać, mówiła, przyprasowując żelazkiem każde słowo, podczas gdy mąż siedział w milczeniu przy piecu. Może powinna zostać jeszcze przez rok w mojej szkole, myślał, ale nie powiedział tego na głos. Wiedział, co odparłaby żona. A Isabel, siedząca cicho i dumnie w ławce, była inteligentna, bystra i należała do najlepszych uczennic w klasie.

Rodzice zdjęli więc ze stryszku brązową walizkę i spakowali rzeczy Isabel, kiedy spała. Rano pani Gore upiekła świeże bułeczki i zapakowała je na drogę do dwóch papierowych torebek. Mocno uścisnęła córkę i tuliła ją do siebie tak, że Isabel nie widziała jej twarzy,

napływających do oczu łez ani lekko zadartej głowy, żeby łzy ściekły po cichu, niezauważone, z powrotem do głębokich, pełnych żalości studni oczu. Ojciec stał przez chwilę obok, trochę jakby niepotrzebny. W czapce na głowie, z walizką w rękę, z bułeczkami wypychającymi jedną kieszeń płaszcza i z flaszeczką whiskey w drugiej wyglądał, jakby tu nie pasował, jakby był wyłączony z zamkniętego kręgu uczuć splatających ramionami matkę i córkę. Z trudem przełknął ślinę i patrzył. Isabel i matka zamieniły raptem kilka słów na temat wyjazdu; to on posadził córkę przed sobą w salonie, żeby o tym porozmawiać, to on spacerował z nią w lecie białym łukiem plaży i radził myśleć o Galway. Teraz jednak, patrząc na cichy pożegnalny uścisk bez słów, Muiris Gore stwierdził ze zdumieniem, że ludzki umysł nie jest w stanie ogarnąć cudu miłości. Kiedy Isabel wypuściła z objęć matkę i zwróciła się do ojca, wydała mu się starsza, jakby przez dziesięć sekund przybyło jej dziesięć lat. Nie miała twarzy mokrej od łez, ciemne, zadziwiająco piękne oczy nie były zaczerwienione ani zapuchnięte, a jednak miała w sobie smutek wyjazdu, w którym było jej do twarzy jak w czarnej etoli. Po raz ostatni spytała, czy może jeszcze zobaczyć się z Seanem, i pobiegła do jego pokoju. Była tam nie dłużej niż minutę. Kiedy go pocałowała i uściśniła rękę, wydobył z siebie przeciągły, załamujący się jęk i wywrócił oczy. Nachyliła się do jego ucha i zanuciła kilka taktów melodii, a potem pośpiesznie wróciła do czekającego ojca.

Przeszli kamienną dróżką od domu do pomalowanej na biało żelaznej furtki, którą ojciec stale obiecywał naoliwić, i zaczęli schodzić z boczem do przystani. Odprowadzało ich troje sąsiadów. Dwie inne dziewczynki też jechały do zakonnicy. Nauczyciel miał się nimi zaopiekować w podróży. Pofrunęły w powietrzu irlandzkie słowa – ostatnie odgłosy wyspy, a potem zaryczał silnik.

Gdy prom stuknął w nabrzeże portu w Galway, Muiris Gore otrząsnął się ze wspomnień. Córka stała obok i patrzyła, jak przewoźnik rzuca węzlastą linę i wiąże ją do pachołka. Ojciec podniósł się, przybierając postawę człowieka ważnego i cieszącego się autorytetem, położył dłoń na ramieniu córki, cofnął się o krok, konstatuując nagle, że whiskey i nostalgia odebrały mu pewność w nogach, po czym wyszedł na brzeg, trzymając się Isabel jak koła ratunkowego.

Usiedli na pomoście. Dwie współpasażerki cieszyły się, jakby wolność uderzyła im do głowy. Wciąż się trącały i chichotały. Isabel, jak to ona, w obecności ojca nic nie mówiła. Czekala, aż powietrze go otrzeźwi; widywała go nieraz w takim stanie i wiedziała, że mu przejdzie. Ale kiedy w końcu stanął prosto, uśmiechnął się i poprowadził swoje podopieczne do miasta, gdzie miała spędzić kolejne sześć lat życia, Isabel umocniła się w przekonaniu, że mężczyźni to blade, rapsodyczne, nawiedzone przez Boga istoty o słabych, chorowitych ciałach i muzycznych, nieśmiertelnych duszach.

Szkolne lata nie były najszcześniejszym okresem w moim życiu. Pan Curtin, sześćdziesięcioletni zastępca dyrektora, o rzednących siwych włosach i gęstych ciemnych brwiach zaczesanych na boki w dziwaczne skrzydła, położył się na nich głębokim cieniem. Nie potrafił usiedzieć w miejscu, lubił przechadzać się z rękoma założonymi do tyłu, poruszając lekko dłońmi, a kiedy obrócił groźne brwi na ucznia, wtedy ten drżał, jakby atakowały go czarne ptaszyska gniewu lub oskarżenia. Pan Curtin przechadzał się wokół nas, przestawał na chwilę straszyc brwiami, wysłuchiwał odpowiedzi, ale za plecami wciąż skakały mu niespokojnie dłonie. Zatrzymywał się tak blisko, że czuło się jego kwaśny oddech i widziało żółty osad między zębami. „Pójdiesz ze mną” – rozkazywał i wyprowadzał wybraną ofiarę.

W dużych białych salach o popękanych sufitach i zabitych gwoździami oknach rozpoczęło się moje dojrzewanie. Brwi pana Curtina fruwały nad nami. Niezmordowanie podejrzliwy, skrzypiał lśnącymi butami, krążąc bezustannie. Zmuszał nas, abyśmy demonstrowali komiczną bezradność w rozumieniu irlandzkiego języka. Byliśmy niemożliwymi chłopakami z czwartej b, którzy zdumiewali go swoją głupotą i popychali jego brwi do góry absurdami swoich odpowiedzi. „Jak mogliście tak pomyśleć, no powiedzcie, proszę, jak mogliście!”

W sali klasy czwartej b, pod groźnym wejrzeniem pana Curtina, nabrałem przekonania, że Bóg wyznaczył mi jakieś szczególne zadanie.

Tamtej zimy ojciec został w domu. Wstawał rano przede mną, kręcił się po zimnej kuchni w kamizelce i spodniach, szykował herbatę i grzanki, które zanosilem na górę do matki i jej radia. Nie odzywał się do mnie prawie wcale, z tego co pamiętam. Nie straciłem do niego całkowicie zaufania, ale od czasu jego powrotu pod koniec lata rozumiałem, że szczęście nie przyjdzie nam łatwo, że nasza mała rodzina została w jakimś sensie wyróżniona. Wyobrażałem sobie, że jesteśmy dla Boga swego rodzaju doświadczalnym poletkiem, trójosobowym Mojżeszem, Hiobem lub kimś takim, że postanowił nałożyć na nasz mały dom ciężary swojej obecności, ponieważ mój ojciec był wybrany. Kiedy marzliśmy albo przeziębialiśmy się, kiedy byłem głodny albo miałem już dość cienko posmarowanych masłem grzanek, siadałem na górze w swoim pokoju i powtarzałem sobie, że nie ma sprawiedliwości na tym świecie. Uroda, talent, mądrość czy głupota rozdzielane są bez względu na zasługi, myślałem; kochająca się rodzina może iść spać, zgasic światło w sielankowym, przytulnym gniazdku i obudzić się rano wśród ruin wszystkiego, co najdroższe. Jak to się działo, pozostawało dla mnie tajemnicą. Coraz częściej jednak zastanawiałem się, jakie w tych tajemniczych wyrokach jest moje przeznaczenie.

Kiedy wychodziłem do szkoły, ojciec szedł do swojego pokoju. Czasami, gdy wracałem w smętnej pomroce zimowego popołudnia, pedałując w zadymionym powietrzu między drzewami jak szkielety drapiące niebo, obawiałem się, że znów wyjechał. Wchodziłem do domu i nasłuchiwałem, przytykałem ucho do drzwi, żeby usłyszeć cichy szmer pędzla wodzącego po

płótnie. Słyszałem stukot i szelest mieszania w słoiku z terpentyną i odsuwałem się od drzwi. Ojciec był w środku. Malował. Spod drzwi wydostawało się światło. W ciemnym domu, w którym ledwie starczało pieniędzy na opłacenie elektryczności za podgrzewanie posiłków, ojciec przebywał w pokoju oświetlonym co najmniej pięcioma żarówkami, pracował po osiem godzin w jaskrawej bieli sztucznego światła i podsyczał w sobie wiarę, że jego rękę prowadzi natchnienie.

Nie wchodziłem więcej do jego pokoju. Nie miałem wówczas pojęcia, że wciąż pracuje nad płótnami, które przywiózł z zachodu. Nie przypuszczałem, że widzieliśmy razem z matką zaledwie surowe szkice, prymitywne odzwierciedlenia, nad którymi miał pracować całą zimę, żeby wydobyć z nich zapamiętaną wizję boskiej chwały. Nie wiedziałem. Domyślałem się chyba tylko, że ojciec się z czymś zмага, nic więcej. Właściwie to wystarczyło. Jego zmagania, jak wszystko inne z nim związane, w moich chłopięcych oczach przybierały monumentalne rozmiary.

W weekendy zabierał mnie czasem na spacer. Nie pamiętam dokładnie, jak to się zaczęło; nie pamiętam, żeby mnie zapraszał, ale jakoś do tego doszło i stało się zwyczajem, wychodziliśmy we dwóch na kilkugodzinne wyprawy, gdy tymczasem matka podnosiła się z łóżka i schodziła na dół w różowym szlafroku, żeby raz na tydzień odbyć rekonesans po pobojowisku, w jakie zamienił się nasz dom.

Ojciec i ja wyruszaliśmy dziarskim krokiem, kierując się zawsze w stronę wzgórz za zabudowaniami. Szliśmy tak szybko, że nie starczało nam tchu na rozpoczęcie rozmowy. Po powrocie widzieliśmy ślady bytności mojej matki, pozostałości jej energii w dopieszczonych martwych naturach z filiżanek na spodkach, talerzach ustawionych jeden na drugi, odłożonych do szuflady sztuccach.

Nie wiedziała, że odchodzi od zmysłów, że zbyt kurczowo, maniakalnie wręcz trzyma się małego zamkniętego świata we wnętrzu naszego domu. Odkładała rzeczy na miejsce z tak skupioną, nagłą energią, jakby co tydzień, odstawiając filiżanki na spodki, chwytając się ostatniej deski ratunku przed szaleństwem. W gruncie rzeczy był to sygnał czegoś wręcz przeciwnego. Ta kobieta w sobotnie popołudnie spływała ze schodów z okrutnym błyskiem w oku, zawzięta na nieporządek. Zupełnie jakby przez cały tydzień bałagan naszego wspólnego życia wpychał się do saloniku jej umysłu, wyłączając białą przestrzeń, w której mogłyby swobodnie krążyć myśli, i w końcu tygodnia zmuszał ją do zbiegnięcia po schodach, żeby opróżnić głowę. Prała, prasowała z genialnym zacięciem, spychając zagniecienia materiału w najdalsze zakątki świata, składała postrzępione i pobrudzone farbą koszule ojca, jakby przygotowywała go do wyjścia w poniedziałek do biura. Szorowała zlew, aż pulchne palce jej lewej ręki puchły i złota obrączka wtapiała się w jasnoróżowe ciało. Prasowała skarpety i slipy, wszystko składała, zmiatała wyimaginowane sterty brudu ze wszystkich podłóg prócz pracowni, a gdy zapadał zmierzch, dochodziła do stanu radosnego wyczerpania, wolnego od kurzu nieba idealnego porządku. Szła na górę do swojej sypialni, z umysłem oczyszczonym i wymiecionym ze śmieci teraźniejszości. Siadała na brzegu łóżka z błogim wyrazem twarzy, z anielskim

spokojem spoglądała przez okno, ponad dachami domów, na odległe wzgórza i zapadała na powrót w słodkie marzenia o przeszłości.



Moja matka poznała ojca mając szesnaście lat. Był cztery lata od niej starszy i już zaczął się wspinać po szczeblach urzędniczej kariery. Dobrze ułożony młody człowiek, powiedziała mojej matce babka. Uczciwy i pracowity, tak jak jego rodzina. Był cichy, ale dziadkom się podobał, a jakże. Podobała się punktualność, z jaką przychodził po moją matkę, granatowy garnitur, starannie ogolona chłopięca twarz i zaczesane do góry rzednące włosy, odsłaniające masywne wypukłe czoło. Pani Conaty podobało się, że przynosił córce kwiaty. Stawał na oświetlonym ganku, chudy, wysoki, z naręczem tulipanów, i wypowiadał obowiązkowe formułki z takim namysłem, że od razu można było poznać, jaki jest zakochany. Córka była jeszcze za młoda dla tego cichego księcia, ale za kilka lat mogliby się pobrać; babka podjęła tę decyzję, jakby wybierała nową tapetę do pokoju. Zachęcała moją matkę i werbowała do pomocy dziadka. Bardzo miły człowiek ten William Coughlan, mówiła. Dziadek pytał go o pracę i nie słuchał odpowiedzi, wesołym uśmiechem tuszując początki głuchoty. Kiwał głową i nie przestawał się uśmiechać, choć myśl o dorastającej córce kąsała mu serce.

Moja matka, opromieniona aprobatą rodziców, z dnia na dzień przestała odczuwać podekscytowanie, które towarzyszyło jej od chwili, gdy po raz pierwszy ujrzała Williama w drzwiach sali balowej. Czegoś się bała. Jego cicha nieśmiałość przyciągała ją i odpychała zarazem. Zakochała się w samym pomysle rozruszania go i, podobnie jak wiele szkolnych koleżanek, mylnie sądziła, że przyjemność, z jaką rozbudza męskie uczucia, jest euforią zakochania. Siedząc w szkole, nie mogła się doczekać piątkowego wieczoru, kiedy znów będzie się przekomarzać z tym sztywnym milejącym dryblasem. Jak przyjemnie paliły ją policzki, kiedy patrzył na nią błagalnie, a ona mówiła, że go nie kocha.

Nastał w jej dziewczęcym życiu czas spacerów. W piątkowe i sobotnie wieczory przechadzała się z milkliwym Williamem pod wiosennymi drzewami o migdałowym zapachu. Drażniła się z nim bezlitośnie, kokietowała żółtą sukienką i czerwonymi pantoflami, odrzucała do tyłu loki, zerkając z ukosa, i ujawszy pasmo długich włosów, sunęła palcami na wysokości twarzy, pytając, czy bardzo ją kocha.

Uwielbiał jej śmiech. Wyprzedzała go w podskokach, a on niezdarnie szedł za nią i wołał, żeby się zatrzymała. Nudziarz z ciebie, mówiła, kiedy w jasny letni wieczór zamiast tańców proponował spacer aż nad morze. Wciąż chciał spacerować. Przez dwa lata flirtowania ona dyktowała tempo, pozwalała bądź zabraniała się całować, kierowała jego dłonią i ustami, ale w gruncie rzeczy nie znała go dobrze.

William Coughlan był naprawdę zakochany. Po raz pierwszy odczuł odmieniającą życie potęgę miłości. Uroda dziewczyny działała na niego piorunująco, przeganiała wszelką myśl o pracy, rozpaliała serce, które nie dawało mu spokoju dzień i noc. Siedział w biurze rozkojarzony i przez dwa lata wykonywał swoje obowiązki z otępiłą obojętnością. Dziw, że uszło to uwagi jego przełożonych. Tydzień zajmowało mu pisanie listu; godzinami przesiadywał w bibliotece

lub archiwum, przewracał kartki i zdawało mu się, że na każdej widzi twarz ukochanej. Chorował z pragnienia, by ją ujrzeć, tęsknota wypełniała jego chude ciało, tak jak powietrze rozdyma balon, aż musiał zamykać oczy i czekać, żeby mu przeszło. Siedzący naprzeciw pracownik, niejaki Flannery, myślał, że ojciec cierpi na jakąś śmiertelną chorobę, i któregoś dnia po pracy postawił mu małą whiskey. Jemu pierwszemu ojciec zwierzył się, że jest zakochany. Kiedy powiedział o tym na głos w barze „Pod Flotą”, uczuł taką ulgę, że wracając potem do domu śmiał się, podskakiwał na chudych nogach i tańczył pod rozgwieżdżonym grudniowym niebem. Był zakochany. Kiedy przekręcał klucz w drzwiach małego domku rodziców na przedmieściu, czuł, że on i ona są jednym. W ten piątkowy wieczór poprosił ją o rękę.

Odmówiła. Wymigiwała się od prawdziwych wyjaśnień; nie lubił tańczyć, był za wysoki, nie lubił przyjąć i nie poznał jej ze swoimi przyjaciółmi. (To ostatnie miała mu za złe aż do dnia ślubu, kiedy idąc środkiem kościoła, rozejrzała się i nagle pojęła, że w ogóle nie ma przyjaciół). Nie, nie mogła za niego wyjść. Cofnęła się pod latarnię ocienioną sykomorą i przygryzła wargę. Nie była zdecydowana na ten wielki skok w jego życie. Oczy napełniły jej się łzami, gdy ujrzała, że serce młodzieńca legło w gruzach jak wysadzony wieżowiec. Nie mógł wykrztusić słowa, zdobyć się na błaganie, przechylił się niepokojąco, jakby miał się przewrócić, i zimny pot wystąpił mu na czoło.

– Przepraszam cię, Williamie – powiedziała. – Po prostu nie mogę powiedzieć tak.

Stał niemy i bezradny jak drzewa, życie z niego uciekało i tylko duże lśniące buty nie pozwalały upaść.

– Nie powinienes tak mnie zaskakiwać – rzekła do niego z pretensją, choć sama czuła się winna. Czemu nie mogła zwyczajnie się zgodzić i położyć kres cierpieniu? Westchnęła, zaszemrały liście. Ależ nie, nie mogła, jeszcze nie była gotowa, nie nadszedł właściwy moment. Mój ojciec z trudem oddychał. Wydawało mu się, że w tej jednej chwili zawalił się cały świat. Nie wyobrażał sobie życia, szeregu następujących po sobie dni, bez tej dziewczyny, bo choć sam jeszcze o tym nie wiedział, związał z nią całą swoją przyszłość. Ta dziewczyna w żółtej sukience stała się kobietą, wokół której osnawał wszystkie marzenia. Nie mógł zejść z obranej drogi. Mijały ich samochody.

Pierwsza ruszyła z miejsca, wzięła go pod rękę i poprowadziła ulicą pod latarniami i drzewami. Szli w sztywnym niezręcznym milczeniu. Pod drzwiami swojego domu wspięła się na palce, cmoknęła zziębnięty policzek i powiedziała dobranoc. Ruszył jak na szczydłach ścieżką i wyszedł z ogródka do swojego świata, który legł w gruzach.

Nazajutrz nie poszedł do pracy, następnego dnia także. Kiedy wreszcie pojawił się w biurze, Flannery od razu spostrzegł, że mojemu ojcu tkwi w żebrach sztylet nieodwzajemnionej miłości. Nos miał spuszczone na kwintę, usta zaciśnięte w rozpacz. Pan Flannery pośpieszył z radą, by strzelił sobie coś mocniejszego w przerwie na lunch i posłuchał Bacha, gdyż – dowodził z miną mędrca – nie warto tak cierpieć dla żadnej kobiety, a on sam nie miał najmniejszego zamiaru dać się złapać, okiełznać, zaprząć czy zakuć w jakiegokolwiek dyby.

Ojciec nie mógł dojść do siebie. Głęboko zraniony, rozpamiętując swój ból, snuł się po korytarzach z błyszczącym czołem i utkwionym przed siebie spojrzeniem pielgrzyma. Nie mógł pracować, pióro drgało w jego dłoni jak sejsmograf, biły na niego poty, to znów odczuwał dziwną suchość, bezgłośnie wymawiał swoje imię, naśladowując jej sposób mówienia.

Kiedy wreszcie mógł się zdobyć na pisanie, wypychając kościstymi kolanami zaprasowane w kant szare spodnie i podtrzymując lewą ręką ciężką głowę, zaczął od razu, bez adresu i nagłówka, od dwóch słów, które krążyły mu po głowie, doprowadzając do szaleństwa: kocham cię.

Tylko tyle. *Kocham cię*. Może nie zamierzał napisać nic więcej, bo potem jest wyraźna przerwa, zmienia się kolor atramentu, a pismo pochyla się w prawo, jakby słowa kreślone na papierze uginały się pod naporem uczuć.

*Kocham cię. Musisz o tym wiedzieć. Kocham cię tak, że nie mogę sobie wyobrazić życia bez ciebie. Nie mogę spać, przez całą noc przewracam się z boku na bok, powtarzając twoje imię. Jeszcze nigdy tak się nie czułem i rozumiem teraz, że człowiek udreńczony tak jak ja mógłby odciąć sobie rękę albo poderznąć gardło. Kocham cię. Powtarzam te słowa w myślach wciąż na nowo, widzę cię stojącą pod drzewem w świetle latarni i nagle zaczynam się dusić. Wszystko, co piękne, widzę w tobie. Jesteś i światłem, i drzewami, i całą urodą świata, więc mówiąc nie, wszystkiego mnie pozbawiasz. Wmawiam sobie, że w tamten piątkowy wieczór, kiedy dzwoniło mi w uszach i zaschło w gardle, powiedziałaś: „Jeszcze nie, Williamie”. Może to nieprawda. Ja jednak całym sercem wierzę, że się nie przesyłałam, i zapewniam cię, że będę czekać na ciebie tak długo, jak zażądasz.*

*Nie będę cię odwiedzał ani pisał, dopóki się nie odezwiesz.*

*Kocham cię  
William*

Podpisawszy się drżącą ręką, włożył list do urzędowej koperty i poszedł go nadać. Kroczył jasną hałaśliwą ulicą, patrząc prosto przed siebie, nie wiedząc, że niesie coś, co zadecyduje o jego dalszym życiu.

O tym wszystkim dowiedziałem się od matki. Widziałem ten list i słyszałem, jak matka powtarza z pamięci jego fragmenty, przekonana, że w sypialni słuchają jej tylko duchy przeszłości. Swego czasu list podbił jej serce. Wzięła go od matki, poszła do siebie na górę i wtuliła weń uśmiechniętą twarz. Tak cudownie napisany! I to właśnie do niej! Przeturlała się na łóżku i niespodziewanie wybuchnęła płaczem. Po chwili rozległo się ciche pukanie do drzwi. „Wszystko w porządku, mamol!” – zawołała, wstała, ściskając list w rękę, i podeszła do drzwi, uzmysławiając sobie z okrutną wyrazistością, że właśnie postanowiła wyjść za Williama.

Ślub odbył się w małym kościółku Świętego Józefa w pewną deszczową kwietniową sobotę. Drużbą ojca był Flannery. Matka miała przy sobie, w białej torebce, list od ojca – niepodważalny dowód miłości.

Samotna w swojej sypialni, w wysprzątanym domu, matka oddawała się wspomnieniom. Tylko wtedy wyłączała radio, a ja nauczyłem się wsłuchiwać w tę wspomnieniową ciszę. Po powrocie ze szkoły stawałem koło schodów i – jeśli radio było wyłączone – słyszałem głosy z przeszłości, szepczące matce do ucha, gdy przed zamyślonymi oczyma stawały jej sceny z lat dziewczęcej miłości.

Nie od razu to zrozumiałem. Na początku przerywałem jej, wpadając po spacerze do sypialni z zaczerwienionymi policzkami i zapachem świeżego, podmiejskiego powietrza we włosach. Siedząc, w półmroku, wyglądała przez okno; zwracała się do mnie zawsze z tym samym uśmiechem, uśmiechem z czasów, gdy jeszcze nie było mnie na świecie, i – zdarzało się – jakieś zdanie przylatywało z tej łąki niewinności i nadziei, gdy jej życiu nadawały barw kwiaty, czekoladki i cudowność mężczyzny tęskniącego do jej pocałunku... Czy czeka na mnie na dole?

Mój ojciec nie wspominał o tym ani słowem, choć musiał coś zauważyć. Czekał, aż sam dojdę, co się dzieje, a potem zachowywał się tak, jakbyśmy przeprowadzili długą rozmowę i osiągnęli pełne porozumienie. Nasze wspólne spacerki odbywały się przeważnie w milczeniu. Na wzgórzach, z dala od domów, popołudniowe światło kładło się wzdłuż dróg przejrzystą smugą spokoju. Dziecięce głosy zamierały w oddali, uliczne mecze piłkarskie, w których mógłbym stać na bramce, zostawały w tyle, gdy pośpiesznie, aż do zadyszania, odchodziliśmy na milę od katastrofy, w jaką zamieniło się nasze rodzinne życie. Prawie nigdy z nikim się nie spotykaliśmy. Jakby ktoś to tak zaaranżował. Drzewa pamiętam zimą, wznoszące nagie gałęzie w niemym błaganiu, jakby bały się, że nigdy nie nadejdzie wiosna i żaden liść ani ptak nie ożywi sennego kwietnia. Szliśmy przez bladą nieruchomą pustkę, która udzielała się i mnie, rozplątując ścisły kłęb zmartwień i wyobrażeń, namotanych we mnie przez cały tydzień. Czułem się oczyszczony. Mój ojciec rzadko się odzywał i nie zachwalał dobroczynnego działania tych marszów, ale czułem, że oczyszczający wiatr też przewiewa go na wskroś.

Tak wiele chciałem mu powiedzieć. Czułem nieodparty urok jego wielkiego spokoju i

wyciszenia, które tak się kiedyś spodobały mojej matce. Ta milkiwość zdawała się skrywać niezmierną mądrość lub smutek; milczenie wywoływało chęć, aby o wszystkim opowiadać, chciało się przerwać to milczenie i przywrócić ojca do normalnego życia. Ale ja się nie odzywałem. Nie mówiłem, jak mi idzie w szkole, jak prześladowają mnie na korytarzu brwi i założone do tyłu ręce pana Curtina, jak pan Curtin krąży po szkolnym podwórku, gniewnie machając dłońmi za plecami, a my po kolei przedrzeźniamy z tyłu jego gesty, no i że najpewniej nie zdam letnich egzaminów.

Niczego ojcu nie mówiłem. W weekendy chodziłem z nim na piesze wycieczki, a zimą zanosłem na górę śniadanie, które przygotował dla matki. I to wszystko. A jednak, kiedy na ostatnim zakręcie przed domem kładł rękę na moich plecach, delikatnie naprowadzając mnie na drogę albo pomagając przejść przez krawężnik lub furtkę przed domem, drżałem od stóp do głów, oblewała mnie fala ciepła i całym chłopięcym sercem czułem ojcowską miłość.

Po trzech miesiącach Isabel wróciła na wyspę. Były święta Bożego Narodzenia, a wzburzone morze bardzo utrudniało przeprawę. Starsze kobiety i dzieci, jedyni pasażerowie promu, kulili się w osłoniętej z trzech stron kabinie, gdzie na podłodze leżały rozrzucone bezładnie kamizelki ratunkowe. Masyw lądu został z tyłu i rozmył się w szarości, rozkołysana łódź zaś brnęła coraz dalej w Atlantyk, wioząc pasażerów do domu. Cumowanie przy pomoście zajęło pół godziny, a wejście z pokładu na nierówne, wytarte kamienne stopnie wydawało się zdradliwą pułapką. Łódź zakolebała się i odsunęła od muru, odsłaniając głęboką szczelinę. Dzieci lekko ją przeskakiwały i śpieszyły w zacinającym deszczu do stojących nieopodal rodziców w ociekających płaszczach. Wiatr niósł irlandzkie powitania. Na mokre ramiona narzucano dodatkowe okrycia i grupki ludzi – pod czarnymi osłonami przypominające odwrócone do góry dnem łożynowe łodzie – rozchodziły się drózkami po wyspie do małych białych domów, gdzie płonął już świąteczny ogień.

Na Isabel czekał ojciec. Wypił trochę, więc nie zwracał uwagi na siekący deszcz, który przenikał płaszcz i odbierał czucie zaczerwienionym policzkom. Gdy patrzył przez okno pubu na płynący do brzegu prom, rozgrzewając się trzecią szklaneczką whiskey, czuł się jak ranny generał z dumą oglądający powrót swojej zwycięskiej armii. Uczył wszystkie dzieci, które płynęły na wyspę. Były jego emisariuszami na Wielkiej Wyspie, więc wyszedł z pubu na niepogodę i zszedł do przystani powitać je jak najserdeczniej. Ścisnął każdemu rękę, zwracając się po imieniu i uśmiechem wyrażając zdziwienie, że tak wyrosły i nie są już chudymi bladymi maluchami, którym udzielał pierwszych w życiu lekcji, kiedy chodzili jeszcze w krótkich spodenkach i podkolanówkach.

Wreszcie nadeszła Isabel. Muiris objął ją i przycisnął do piersi. Wtuliła się w niego i w znajome zapachy – dymu, kredy, whiskey, cebuli – nagle zrozumiała, jaka była nieszczęśliwa, i poczuła wzbierające łzy. Oboje długo trzymali się w objęciach.

Gdy prom odbijał od przystani, ruszyli do domu. Był to pierwszy powrót Isabel – kiedy poczuła pod stopami ostry żwir ścieżki, chłód i czystość morskiego wiatru smagającego bezdrzewną wyspę, powiedziała sobie przez łzy, że nie chce już nigdy stąd wyjeżdżać. Wieczorem oznajmiła matce, że wyjdzie za mąż za chłopca z wyspy. Galway wcale nie było takie wspaniałe, jak ludzie to sobie wyobrażali, mówiła, świadomie wprawiając w zachwyt ojca, który przysłuchiwał się ze swego stałego miejsca przy kominku, rozkoszowała się prostotą i wygodą irlandzkich słów, od których aż kręciło jej się w głowie. Zakonnice były surowe, karmiły z byle powodu. A najbardziej nie znosiły dziewcząt z małych wysp, nie podobała im się jej wymowa, domagały się, żeby obcięła włosy. Twierdziły, że wygląda nieporządnie, gdy wkłada na mundurek długi bordowy sweter, zrobiony na drutach przez matkę. Nauczyciel irlandzkiego był beznadziejny, do jedzenia dostawała brązową breję, która bulgotała w wielkich czarnych garach z włóknistym mięsem, i rozgotowane ziemniaki. Isabel opowiadała jak najęta,

zamieniając radość z powrotu do domu w tyradę skierowaną przeciwko życiu na Wielkiej Wyspie.

Później tego samego wieczoru usiadła na krześle koło łóżka Seana i opowiedziała inną historię. Nic nie było takie, jak się spodziewała. Miasto nie było przyjazne, tylko brudne i hałaśliwe. Ludzie wciąż gdzieś pędzili. Ale przy tym wszystkim miasto jest ekscytujące, zwierzyła się szeptem Seanowi, patrząc na refleksy światła w jego oczach. Wiele razy wymykała się z klasztoru i wędrowała po Galway to tu, to tam, przyglądając się przechodniom, których tylu śpieszyło ulicami. Z radosnym biciem serca wychodziła furką od wschodniej strony podczas ostatnich dwu lekcji w-f. we środę. Radość wypełniała ją, gdy znalazła się poza murami szkolnego więzienia z zakonnkami czatującymi jak sroki i nudnymi zajęciami. Poza szkołą czuła ogrom świata, jego wielką, przyprawiającą o zawrót głowy różnorodność.

– A raz – szepnęła – to nawet pojechałam pociągiem do Dublinu. Spodobałoby ci się w pociągu, Sean. Zabiorę cię w podróż pociągiem, kiedy lepiej się poczujesz. Zobaczysz.

Siedziała przy oknie i patrzyła na przesuwany się w porannym świetle krajobraz – jak namalowany – góry, jeziora, rzeki, pola. Wszystko ją zachwycało: małe stacyjki z rzędkiem ludzi na peronie, walizki wrzucane z łomotem na wąską półkę nad głową, mężczyźni z gazetami, kobiety gawędzące przy robótkach, chłopak w białej koszuli i czarnych spodniach, który pchał wózek środkiem wagonu i spytał ją, czy życzy sobie kawy lub herbaty. Podróż zdawała się nie mieć końca; szyny były takie długie, ciągnęły się daleko, zakrzywiały, a pociąg wybijał cichy rytm, przemierzając zaczarowaną krainę. Marzyło jej się, że nigdy nie dotrze do celu. Marzyło jej się, że pociąg będzie jechał i jechał, turkotał na torach tata, tata, że świstem wpadał w tunele i z nich wypadał, pędził przez pola, na których ludzie stawali, żeby popatrzeć, i czasem machali ręką. Ona też do nich machała przez szybę.

Zakonnice, oczywiście, nie posiadały się ze złości. Hurmem wyruszyły do Galway na poszukiwania. Kilka innych dziewczynek z wysp przyprowadzono przed oblicze matki przełożonej i zapytano, czy wiedzą, dokąd wybrała się uciekinierka. Z każdą godziną rosła czekająca ją kara. Kiedy siostra Agnes powiedziała, że należałoby dziewczynę wyrzucić ze szkoły, siostra Mary przez chwilę potraktowała tę propozycję całkiem poważnie. Nie mogła zrozumieć, skąd ten tupet i śmiałość u wychowanki, dlaczego umyślnie robi rzeczy, które gniewały i denerwowały jej opiekunki. Jest zepsuta jak nadgniły owoc, zawyrokowała i umilkła dopiero, gdy z korytarza dobiegł cichy szelest powolnych kroków matki przełożonej. Drzwi otworzyły się i padło pytanie, czy dziewczynka się znalazła. Nie pierwszy raz jej się to zdarza, rzekła matka przełożona powoli i łagodnie, jakby pozwalała słowom niczym ptakom wzlecieć z pooranego bruzdami czoła. Siostry wyliczyły zaniedbania uczennicy, a potem czekały na odpowiedź, patrząc przez pokój zalany łagodnym złotym światłem jesieni na przygarbioną staruszkę w bieli, ale ona tylko skinęła głową, złożyła przed sobą ręce i powiedziała:

– Musimy się za nią pomodlić, siostry. Zdrowaś Mario...

Po powrocie Isabel wysiadła z pociągu jak we śnie. Wyszła z dworca na gładkie zimno

popołudnia w Galway i ruszyła drogą do klasztoru. Wrażenia z odbytej podróży nie opuściły jej nawet w chwili, gdy dotarła do bramy, gdy chude białe palce siostry Concepty zacisnęły się na jej ramieniu i poprowadzono ją z jedną ręką uniesioną wysoko, a drugą dyndającą jak u szmacianej lalki do drzwi frontowych. Z początku nikt nie wiedział, co jej powiedzieć, zwierzała się Seanowi. Wprowadzono ją do sali i tam zamknięto. Podeszła do dużego okna, wychodzącego na boisko i zrzucające liście kasztany pod wysokim murem. Wyobraźnią mogła wybiec za ten mur, kiedy tylko chciała. Po upływie prawie godziny weszła siostra Agnes i wyliczyła rozmaite kary i zawieszenia, jakie ustalono, a mówiąc, przygryzała od środka prawy policzek i kurczowo zaciskała przed sobą ręce, ale Isabel nie czuła gniewu, wstydu ani wyrzutów sumienia. Ogarnęło ją radosne uczucie wolności. „Jak w tańcu” – szepnęła.

    Nie było jej na wyspie zaledwie trzy miesiące.



Seanowi Isabel opowiadała wszystko. Zżyła się z nim tak, że w ciągu następnych kilku lat najczęściej ze względu na niego pragnęła wrócić do domu. Wykonywał nagłe ruchy głową i palcami, a z głębi jego gardła wydobywał się krótki zduszony bełkot. Wraca do zdrowia, powiedziała córce matka. Któregoś dnia odzyska pełnię sił, mówiła, i właśnie po to Margaret Gore klęczała co wieczór przy kominku, wznosząc do nieba spiralne schody modlitwy.

Któregoś popołudnia po Bożym Narodzeniu, siedząc w pokoju Seana, Isabel wzięła jego stary gwizdek i zaczęła obracać w dłoniach. Podsunęła gwizdek bratu i obserwowała jego oczy. Najpierw spojrział dalej, a potem zahaczył wzrokiem o gwizdek, jakby chciał go do siebie przyciągnąć. Więc podsunęła jasny ustnik do wykrzywionych w tępych uśmiechu ust, do zaczerwienionego kącika, skąd spływała ślina.

– Dmuchnij, Sean – zachęciła.

Czekając, czuła wysiłek, na jaki się zdobywał, niewiarygodne napięcie, z jakim całym swoim jestestwem zawisł na krawędzi instrumentu – moment poza muzyką.

– Dmuchnij, Sean, dmuchnij – powtórzyła i zaraz potem spadła z krzesła, uderzona w twarz ręką brata, która szarpnęła się gwałtownie, szukając oparcia dla palców. Brat z jękiem przekreślił się bezwładnie na łóżku.

– Nie szkodzi, Sean, nic mi nie jest – zapewniła, wstając i opierając brata na poduszkach.

Głowa opadła mu na pierś, nie podnosił oczu. Isabel stała przez chwilę w małym wilgotnym pokoiku, słuchając jak wiatr ciska deszczem w okno. Potem zaczęła od nowa. Ujęła głowę brata dłońmi i przytrzymała tak, żeby popatrzeć mu w oczy. Wyczytała w nich błaganie, ponownie wetknęła mu gwizdek w usta, tym razem odpowiednio układając również jego ręce. Przez moment Sean trzymał się gwizdka jak barierki albo liny, nie pozwalając rękom odpaść. Naprężył się jak łuk, opadając cło przodu i nieco w bok, całe ciało naginając ku gwizdkowi, który tak mocno przycisnął do dziąsła, że je rozkrwawił. Omal nie spadł na podłogę. Isabel go przytrzymała.

– Spróbuj dmuchnąć, Sean – powiedziała.

Dmuchnął i gwizdek upadł. Tego popołudnia próbował jeszcze z dziesięć razy. Raz tylko, kiedy wczesny zmrok ogarnął wyspę i za oknem rozpostarł się jednolitą płachtą najciemniejszy granat, przytrzymał gwizdek, wyrzucił z siebie oddech i unosząc wskazujący palec prawej ręki, wydobył z instrumentu pojedynczy wibrujący ton, który wzniósł się w powietrzu dostoyny, zadziwiony jak cudowne hosanny.

A więc Bóg istnieje, myślała Isabel Gore, płynąc po Bożym Narodzeniu z powrotem do Galway. Dostrzegła promyk nadziei dla brata i czuła mniejszy ciężar winy.

Mężów tworzą żony. Na początku jest surowy, nieobrobiony materiał – młody, przystojny, pełen dobrych chęci niezgrabiasz, w którym ona się zakochała – i wtedy zaczyna się te czterdzieści lat harówki, by zrobić z niego mężczyznę, z którym da się żyć.

W pierwszych latach małżeństwa moja matka urabiała swojego męża, opierając się na niepodważalnej zasadzie: kobieta powinna sprzątać, a mężczyzna zapewniać utrzymanie. On całował ją w policzek i szedł do pracy, ona zaś zostawała w niedużym domku z dwiema sypialniami przy Sycamore Road. Później wspominała pierwsze spędzone tam miesiące jako najszcześniejszy okres w swoim życiu. W żółtym fartuszkach, podśpiewując nadawane przez radio piosenki, przez jakąś godzinę odkurzała i sprzątała czysty dom, a potem czesała się i szła na zakupy taka lekka i szczęśliwa, że nowi sąsiedzi widzieli w niej po prostu zakochaną dziewczynę. Uważała, że zachowuje się tak, jak przystało na żonę, a kiedy ojciec wracał wieczorem, odpinał klipsy przy nogawkach, bo w owych czasach jeździł do biura rowerem, i wchodził z zimnymi policzkami, by uściskać ją w lśniącym czystością przedpokoju, czekała tam na niego przebrana w inną sukienkę i pachnąca eukaliptusem. Przygotowany dla niego posiłek stawiała w kuchni na małym stoliku z plastikowym blatem i z uwagą wysłuchiwała banalnych historyjek z życia biurowego. Raptem stała się przy nim poważna. Była przecież żoną, a nie dziewczyną, i ledwie minął pierwszy rok małżeństwa, zupełnie zarzuciła zaczepny, figlarny sposób bycia z czasów, gdy się poznali.

Zachęcała męża do wyteźonej pracy. Kiedy pojawiły się pierwsze bóle głowy i niepokojąco zaczęły mu się przerzedzać włosy, tłumaczyła sobie, że to nieodłączne atrybuty każdego urzędnika państwowego, wspinającego się po szczeblach zawodowej kariery. Mówiła mu, że wygląda jak dyrektor, nie dopuszczając do świadomości dowodów jego zniechęcenia i niemej furii, narastającej w tym szczupłym mężczyźnie, z którym dzieliła łóżko. Zaprowadziła wokół niego jeszcze większy ład, a któregoś pamiętnego dnia zmieniła w domu wszystkie zasłony i sama wytapetowała w odcieniu bladego różu małą łazienkę, ponieważ, jej zdaniem, żaden inny kolor nie działał równie uspokajająco. Oczywiście mąż nie zauważył zmian, kiedy wszedł do schludnego saloniku z brązową sofą i fotelami do kompletu, z obszytymi koronką poduszkami pod głowę i ręce. Usiadł, zagłębiając się w przepastnym znużeniu, jakie niesło ze sobą życie, i wypadło mu kilka siwych włosów, które ona miała nazajutrz rano sprzątnąć.

Nie mieli dzieci. Pieniądze wydawali na dom, który w ciągu pięciu lat przeszedł serię wymyślnych odnowień, za każdym razem zaprojektowanych z większymi niż poprzednio ambicjami. Gdyby zadrapać ścianę w łazience, ukazałaby się pastelowa tęcza, świadcząca o podejmowanych przez matkę dwa razy do roku daremnych próbach podtrzymania marzeń o idealnym domu. Ona sama, naturalnie, nie myślała o tym w ten sposób. Prowadziła dom i jednocześnie, zgodnie ze swoimi wyobrażeniami, powoływała do życia męża, z którym mogłaby żyć. Kupowała mu ubranie, wyrzucała znoszone niedzielne spodnie, w których było mu

najwygodniej, upominała, żeby w dni wolne od pracy też się golił, wyperswadowała mu rower i namówiła do kupna pierwszego samochodu, niemożliwie małego czarnego volkswagena, którym w niedzielne popołudnia jeździli do Wicklow – ojciec zgarbiony, pochylony do przodu, z kolanami objadającymi się o kierownicę, a obok matka, dumnie wyprostowana i piękna jak królowa.

Po trzech awansach ojca matka uznała zapewne, że nie musi już pracować nad mężem. Już nie wyciskał pasty do zębów, nagniatając tubkę w połowie jej długości, nigdy nie wchodził w butach prosto z ogrodu na kremowy dywan, którym wyłożyła przedpokój, tylko najpierw je zdejmował, nigdy nie próbował nosić przez dwa dni z rzędu tych samych skarpetek i slipów, nie kąpał się rzadziej niż cztery razy w tygodniu ani nie zostawiał podniesionej deski od sedesu. W pracy dobrze sobie radził, był sprytny i szybki, a jeżeli nie pozostało śladu po zakochanym chudeuszu, który cierpiał czyścicowe męki w oczekiwaniu na piątkowy wieczór, to zdaniem Flannery’ego nie było czego żałować, zważywszy na odnoszone sukcesy.

Nadeszło takie lato, gdy wyładowany nowy ford odjechał sprzed nowego domu przy Mulberry Lane i pomknął za miasto na wakacje. Byłam szczęśliwa, byłam taka szczęśliwa, mówiła potem matka do tapet i zasłon. Jaka ja byłam wtedy szczęśliwa! Ojciec szkicował pola i góry. Urządzali sobie długie popołudniowe pikniki na ciepłych rozslonecznionych łąkach; matka pozwoliła, aby ich życie wymknęło się na krótko spod jej ścisłej kontroli, i uległa ogromowi błękitnego nieba i ptasim śpiewom. Dziewięć miesięcy później przyszedłem na świat.

Ta opowieść, podobnie jak inne, docierała do mnie kawałkami. W maju ojciec znów wyjechał, a matka zeszła na dół. Oczyszcziliśmy dom ze wszelkich śladów po nim i tydzień po jego zniknięciu nie pozostał po ojcu nawet najlżejszy zapach. Matka, krzątając się, mówiła. Z początku rzucała ze złością kilka urwanych słów, a to o brudzie w zlewie, a to o liściach herbaty, które pośpiesznym wirem zatykały odpływ. Puszcząłem mimo uszu jej uwagi i robiłem dalej swoje, uprząając gromadzący się bezustannie, choć niewidoczny, brud życia.

Dopóki mówiła, towarzyszyłem jej, udając, że sprzątam, chodząc za nią krok w krok i słuchając. Milkła dopiero późnym popołudniem. Doprowadzony do porządku dom przez moment zawisał nad przepaścią czystości absolutnej i moja matka, nieomal szczęśliwa, stała przez tę ulotną chwilę bezruchu, nim kolejna drobina kurzu wzleciała i miękko opadła.

Zbliżał się wrzesień, a mój ojciec wciąż nie wracał. Nie mogłem iść do szkoły i zostawić matki samej, przesiedziałem więc koniec lata w małym pokoiku od frontu, wypatrując jego chudej sylwetki na zakręcie drogi. Teraz nie wybaczę mu tak łatwo, obiecywałem sobie. Lato upłynęło wśród mąk rozbłyskującego i gasnącego światła – słońce ukazywało się na krótko. Jednego dnia matka wydawała się zupełnie normalna, krzątała się i przygotowywała dla mnie posiłki, częściowo z puszek, podśpiewując Gilberta i Sullivana, a na drugi dzień kłóciła się z radiem, wykrzykiwała coś pod adresem programu o ogrodnictwie, a w okno zacinął deszcz ostry jak demencja.

Przez trzy miesiące mieszkałem w półmrocznym domu bez ojca i dzień po dniu gromadziłem kamienie gniewu. Jak on śmiał coś takiego nam zrobić? Jakim prawem wyszedł z domu pewnego wiosennego dnia i zostawił nas na pastwę losu? Wybuchalem niemym szałem, wyglądając przez okno. Przekląłem ojca. Najpierw przyrzekłem sobie, że potraktuję go jak powietrze, kiedy wróci, a potem postanowiłem, że rzucę się z pięściami na tego chudego samoluba. Wyszedłem frontowymi drzwiami, spodziewając się go lada chwila tego wrześnieowego wieczoru, i stanąłem z bezsilnym gniewem wyjętym z kabury i odbezpieczonym przed westernową konfrontacją o zachodzie słońca, jaką podsuwała mi chłopięca wyobraźnia. Czy jakiś chłopiec miał kiedyś takiego ojca? Z okna na górze spoglądała nieobecny wzrokiem matka, a ja stałem przy furcie i patrzyłem, jak mężowie i ojcowie ze zwyczajnych rodzin skręcają samochodami na swoje podjazdy, wysiadają, zatraskują drzwiczki, wytrząsają właściwy klucz i wchodzą przez te same co każdego wieczoru drzwi, z teczką albo gazetą w ręku i „cześć, już jestem” na ustach.

– Cześć, Nicholas.

Jego ręka spoczywała na moim ramieniu, gdy obracałem się, żeby go zobaczyć, i kiedy szliśmy do domu – chudy, zamasyście kroczący mężczyzna w długim płaszczu z rozwianymi połami i ja, jego syn, z trudem połykający gule pomieszania i niewypłakane łzy.

Zgubił klucz. Ścisnąłem w pięści swój, więc rozwarłem palce i ojciec wziął klucz ode mnie.

– Dobry chłopak – rzekł, rzucając mi krótki uśmiech, jednym krokiem przekroczył próg domu i wszedł na powrót do naszego życia.

Czułem, że wrócił, wszystkimi zmysłami. Kiedy stanął w przedpokoju, zdawał się wypełniać go swoją osobą, nadawać wnętrzu własne piętno; od jego ubrania biła mocna woń farb olejnych, wysmukłe palce, macające otaczającą pustkę, gotowe były wszystkiego dotknąć i wszystko poznać. Morze i góry wtargnęły wraz z nim i osiadły w przedpokoju, niósł ze sobą wzywy znad bagien i wiatry znad wyniosłych zboczy, krzewy tarniny i kolcolistu, poranny powiew nad wysoką trawą nieskoszonych łąk. Przez chwilę patrzył na mnie. Naprawdę patrzył, a ja, drząc pod jego uważnym spojrzeniem i nie mając pojęcia, co zamierza, podniosłem na niego wzrok i po raz pierwszy w życiu dostrzegłem płonącą w jego oczach dumę.

– Nicholas – powtórzył moje imię, jakby sprawdzał, czy ten stary klucz otworzy przed nim

świat jego rodziny. Co u ciebie?

Gniew opuścił mnie zupełnie i teraz już tylko rozpaczliwie pragnąłem, aby ojciec mnie dotknął, przygarnął do siebie.

– W porządku – odparłem i spojrzałem na brzeg jego płaszcza, postrzępiony w jednym miejscu przez jakiś drut czy ciernie.

– No tak, tego się spodziewałem.

Położył rękę na mojej głowie, przytulił mocno do piersi. Nie wiem, czy to on mnie trzymał, czy to ja nie mogłem się od niego oderwać, w każdym razie trwaliśmy tak dłuższą chwilę. Zamknąłem oczy i nie zwalniałem uścisku, stojąc zbyt blisko, by ujrzeć łzy, które musiały mu napłynąć do oczu, albo smutek i żal, które go przygniotły, które go sponiewierały, uzmysławiając – jak na pewno każdy powrót do domu – bezpowrotność tego, co utracił. Bóg go nam zabrał, a za każdym razem, kiedy wracał, zostawało z nas trochę mniej. Nim się odezwał, upłynęły całe wieki, a kiedy przemówił, wyczułem, że coś postanowił; było mu przykro i zamierzał wszystko naprawić.

– Czy mama jest na górze? – spytał. Zagłębił rękę w starym płaszczu i przed moim nosem pojawiło się pięć funtów. – Proszę, pobiegnij do sklepiku i kup tort.

Wyszedłem z domu, a ojciec poszedł na górę. Trzymałem w ręku pięć funtów, byliśmy bogaci. Biegłem najszybciej, jak mogłem, pod płynnymi łukami opadających liści, przez lecące na ziemię królestwo wygnanego lata, które kopałem i przez które skakałem, traktując każdą przeszkodę jak piłkę, pijany dziecięcym marzeniem o idealnym świecie, niegasnącym świetle, Bogu, który znów zawitał w domu.

Wyobrażałem sobie, że ojciec wrócił, aby kochać matkę. Bóg chwilowo uwolnił go od powołania, myślałem, i orzekł, że czas ratować naszą rodzinę. Może Bóg zamieszkał u kogoś innego, komuś innemu rujnował życie, podczas gdy nam zamierzał je odbudować. Skąd mi to wszystko przyszło do głowy, nie wiem. Może te pięć funtów, które ścisnąłem w ręku, pozwoliło mi marzyć, mieć nadzieję na nowy początek, może w oczach ojca dojrzałem tamtego młodzieńca, który pod drzewem na ulicy, przy świetle latarni prosił swoją dziewczynę o rękę. Kiedy wracałem spokojnymi podmiejskimi ulicami, niosąc tort, myślałem, że z każdym pośpiesznym krokiem zbliżam się do zwykłego, uładzonego życia w przytulnym gnieździe. Pamiętam każdy szczegół z tego krótkiego wieczornego spaceru, chłodny zapach otulonej liśćmi trawy, unoszący się w różowo-szarym powietrzu, pozamykane domy w głębi ogrodów, aromat róż, chropowatość kamiennego muru, po którym ciągnąłem coraz cieplejszymi palcami, aż zaczęły mnie palić, zatrzymujący się wieczorny autobus z miasta, pana Dawsona, który przeciął mi drogę, kiedy biegłem, i dla żartu trzepnął mnie po głowie zwiniętym „Evening Heraldem”. Była to jedna z tych chwil, które odbiera się w największym wyostrzeniu, jakby świat po cichu zintensywniał, wszystko się uniosło, rozjaśniło, rozpromieniło, mocniej zaistniało. Chmury wyglądały majestatycznie, ludzi na końcu ulicy otaczała świetlista aura. Nawet pani Heffernan, kiedy nachyliła się, tłamsząc podbródki, żeby rozłożyć na ladzie pięciofuntowy banknot i dokładnie mu

się przyjrzeć, kiedy go rozprostowywała, jakby w obawie, że zniknie jej z oczu – nawet ona miała coś z anioła. Gdy dała mi tort, poczułem, że świat zaczyna się od nowa. Dowiedziałem się tego z szelestu celofanu, chciałem się w głos roześmiać. Odtąd nasze życie dobrze się ułoży, myślałem. Wrócę z zakupów do domu, do taty i mamy. Otworzę drzwi, wejdę do przedpokoju i zastanę cud codzienności – wodę gotującą się w czajniku, sypką herbatę nabieraną łyżeczką z puszki i nakryty stół, na którym miał stanąć czekoladowy tort.

Ale to wcale nie było takie proste.

Między moim wyjściem i powrotem świat się wywrócił. Ojciec wbiegł na piętro po dwa stopnie naraz, omiatając płaszczem miejsce, gdzie przycupnąłem pamiętnego wieczoru, gdy podejmował życiową decyzję. Na górnym podeście załomotał ciężkimi butami o deski podłogi, z lekka pobrązowiła od naszego codziennego deptania. Z cholew osypało się trochę ziemi. Podszedł do zamkniętych drzwi pokoju matki, rozsiewając dokoła mocny zapach. Jego oczy, jak myślę, przepelniało wreszcie tkliwe zrozumienie, kim dla niego była. Tym razem wrócił dla niej, wrócił do białego łona łóżka, do błogiego uczucia przebaczenia, do wszechogarniającego spokoju, gdy brał ją w objęcia, kładł głowę, przeproszał i czuł dotyk jej rozgrzewającej dłoni, choć widziała wokół siebie pył zrujnowanych marzeń. To dla niej wrócił. Prawda? Prawda? Dla tej kobiety, która była świadkiem, jak wyrwał się ze świata pastelowych tapet i prasowanych spodenek, jej sposobu okazywania miłości, dla kobiety, której oczy straciły blask, a grzbiet ugiął się pod ciężarem niespełnionej nadziei i utraconej miłości, dla kobiety odmierzającej czas tabletkami nasennymi?

Dla kogóż innego jak nie dla mojej matki wreszcie wrócił? Żeby wyjaśnić brutalny egoizm Boga, skazujący ojca na samotnicze męki nierozpoznanego jeszcze talentu, a matkę pozostawiający sam na sam ze mną. Czy nie taki był powód? Czy nie dlatego drżała mu ręka, gdy sięgał do klamki u drzwi jej sypialni, czy nie dlatego stał roztrzęsiony pod zamkniętymi drzwiami, roniąc gorące łzy pierwszy raz, odkąd się ożenił, czując przez chwilę, że wypełnia wolę człowieka, a nie Boga, że malowanie i wyjazd były potworną pomyłką, że nigdy nie słyszał Głosu i przez dwa lata błądził po pustkowiu ducha i miłości?

Klamka nie ustąpiła pod naporem dłoni. Wołanie ojca pozostało bez odpowiedzi. Zaczął walić pięściami, wykrzykując raz po raz imię matki, z piekącymi od łez oczami. Kiedy wszedłem do domu z tortem, wyłamał już drzwi i zobaczył, że matka nie żyje.

## **Część II**

Kiedy w ostatnim roku szkoły, po Bożym Narodzeniu, Isabel Gore jechała do Galway, nawet nie przypuszczała, że się zakocha. Ojciec odprowadził ją na prom. Stał przez chwilę w łagodnym deszczu, przytrzymując ją za łokieć, niespiesznie odkaslnął i zamamrotał, co zwykle poprzedzało jakieś ważne oświadczenie. Czując przez wilgotną gabardynę uścisk jego palców, Isabel domyślała się, że ojciec chce ją przed czymś ostrzec. Ale przed czym – tego żadne z nich nie wiedziało. Kiedy na niego spojrzała, miał twarz mokrą od deszczu. Zamrugał. Iskierki uśmiechu zamigotały mu w oczach. Prom z rykiem silnika obijał się o opony przy pomoście. Pasażerowie byli już na pokładzie i wyglądali przez zamglone okna małej otwartej kabiny. Chłopak w żółtej kurtce czekał przy grubej linie, żeby odcumować.

To ma coś wspólnego z morzem, pomyślał Gore, z rozbijającymi się falami. Tak, i do tego ta nowa cecha, którą zauważył u córki w czasie świąt, która sprawiała, że morze wydawało się tak nieznośnie ogromne i potężne. Wody były wzburzone. Takie zimne, szare, nieubłagane, zmienione. Chwycił rękę córki i usłyszał, jak pyta głośno, przez ryk silnika: „Co się stało?” Jej słowa krążyły w nim, unosząc się na szybkich przyptywach-odptywach trzech whiskey, którymi rozpoczął dzień. Przeklął się za to, że je wypił, żałował, że nie wypił więcej, i przez cały czas wpatrywał się w swoją piękną córkę. Czy w te święta była jakby trochę chłodniejsza? Kiedy tak stał, poczuł napływające łzy.

– Wszystko będzie dobrze – powiedziała Isabel. – Przyjadę w lecie. Idź do domu, tato.

Przytuliła się do niego, – a w chwilę potem już jej nie było – zeskakiwała z ostatniego stopnia do wyciągniętej ręki kapitana promu. Z włosami opadającymi na twarz pomachała ręką na pożegnanie. Łódź odpłynęła, taranując nieprzyjazną pogodę, i rozplynęła się sama w sobie jak fotografia w odwróconej kolejności wywoływania. Gdy znikła, wydawało się, że w ogóle jej nie było. Gore odwrócił się od przystani i ruszył do wioski, spętany węzłem smutku, który się w nim zadzierzgnął od samego rana. Wciąż nie wiedział, skąd mu się to wzięło. Nie było dziś lekcji, więc przeszedł przez łąkę białego piasku, odganiając pięć osłów, które tam się zebrały, zamówił u Comana herbatę, wyjął obłożony w papier tomik Yeatsa i aż do obiadu usiłował skupić się na czytaniu. Nic to nie dało, ponury nastrój dokuczał mu jak uporczywe swędzenie. Wiersze i trzy imbryczki herbaty jeszcze bardziej go zamroczyły.

Przez resztę dnia i prawie cały następny tydzień nie mógł się uwolnić od uczucia, że miał przekazać córce jakieś ostrzeżenie. Każdego ranka, idąc wąską dróżką z domu do szkoły, spoglądał na zimowe morze, mrużył oczy i głowił się, jaką przepowiednię losów córki niesie woda, z której nie mógł nic wyczytać.



Zimą, w osiemnastym roku życia Isabel, miasto Galway cierpiało od najgorszej atlantyckiej pogody, jaką pamiętali ludzie. Po zatoce szalały sztormy, a nadmorskie promenady zalewała woda. Świszczące wichury omiatały rogi wąskich ulic, ludzie zaś przemykali między sklepami, pubami i domami okutani w grube płaszcze, w kapeluszach i chustach. Ze wzrokiem wbitym w ziemię, przyciskając połą płaszcz do piersi, kobiety nachylały się pod wiatr, którego porywy unosiły torebkę w pozostającej z tyłu ręce. Twarze w Galway były wypucowane do czysta, uszy szczypały i traciły czucie, a oczy łzawiły i mrugały, patrząc na zadziwiającą pogodę, która uwzięła się na miasto przez trzy miesiące. Każdy kolejny dzień wydawał się gorszy od poprzedniego, aż wreszcie stopniowo pogodzono się ze zmianami i wszyscy chodzący tego roku ulicami miasta w styczniu, lutym i marcu przyzwyczaili się – jak do niemiłego sąsiada – do chłozącego zimna i mokrych wichrów nadlatujących z gradem i deszczem znad Atlantyku.

Była to pora przewidywać i długich wspomnień. Przejaśni się drugiego lutego, prognozowano, a gdy tego dnia zaczął śnieg z deszczem, mówiono o dniu świętego Walentego. W szkole przyklasztornej w jednym tygodniu zmarły trzy zakonnice. Podkreślono ogrzewanie i dziewczynki przenosiły się z tropikalnego klimatu, panującego w klasach od francuskiego, hiszpańskiego i geografii, do brutalnego zimna w sali matematycznej, gdzie siostra Magdalena wyłączyła grzejniki, natchniona jakże błędnym objawieniem, że Bóg pragnie, aby czystość duszy ogrzewała dziewczęta od środka.

Niebo wciąż było poszarpane i czarne. Nadciągał sztorm za sztormem, jakby morze chorowało, stukwały obluźowane okna, a Isabel czytała od nowa ostatni list z domu. Mieszkańcy wysepki byli więźniami złej pogody. Szkołę na kilka tygodni zamknięto. Ojciec długo wylegiwał się w łóżku, wstawał dopiero wczesnym popołudniem i opierając się o szeroki kamienny parapet w kuchni, wyglądał przez okno na te kilkadziesiąt jardów widzialnego świata. Stracili kontakt z Wyspą, a swoboda, jaką latem dawało oglądanie bezkresu błękitnego nieba nad niebieskim morzem, zmieniła się w swoje przeciwieństwo – zimowe więzienia kamiennych domostw i kamiennych ogrodzeń wokół małych poletek.

Na całym zachodzie kraju szalała zima. Te sztormy to z Islandii, powiedział ktoś, zdejmując przemoczoną czapkę i stojąc w progu z półkolem gradu wtapiającym się w szarą brodę. Prędeż z piekła, odparł ktoś inny, no i kiedy wreszcie to ustanie, może mi powiesz? Zaparowane puby zapewniały tłumom głośne, ciepłe, narzekające towarzystwo rozżalenia. Gdy wiatr przynosił kolejnego gościa, drzwi zatraskiwały się same. Uporczywy kaszel i katar, czerwone uszy i oczy, odmrożenia, ostre bóle zębów i zimne palce nóg nadawały charakter miastu. Marznąc, ludzie marzyli o wiośnie, jakby zima była karą za niepoliczone grzechy tych, którzy zamieszkiwali wszystkie piękne zakątki wybrzeża. Gdzieś w głębi lądu wichury słabły. W Dublinie, jak podawało radio, padały przelotne deszcze i wiał niezbyt silny wiatr.

Zakonnice, dla których zła pogoda była niczym horda pogan oblegająca klasztorne mury, przygotowały plan walki z chłodem. Plan przewidywał, że: dziewczęta będą zjadać rano podwójne porcje, dziewczęta będą cały czas nosić drugą koszulę i szkolny sweter, dziewczęta będą codziennie dostawać po pomarańczy i dziewczętom nie będzie wolno opuszczać terenu szkoły ani wychodzić na dwór na przerwach oraz w sobotę, dopóki utrzymywała się sroga pogoda. Aby zająć czymś obłązione, zorganizowano dodatkowe zajęcia. Należało dokładnie wypełnić im czas, zapowiedziano turnieje tenisa stołowego, siatkówki i innych gier rozgrywanych pod dachem.

Niesprzyjająca pogoda wydawała się Isabel nieporównanie mniej dokuczliwa niż przymusowe przebywanie w białych salach szkolnych. Pragnęła wydostać się stamtąd, gdzieś pójść. Powinna przygotowywać się do końcowych egzaminów szkolnych i do studiów na uniwersytecie. Ale kiedy siedziała w klasztornych murach pod łomocącymi szybami, w które uderzał grad, i patrzyła na błądny, bezbarwny widok za oknem, pragnęła od tego wszystkiego uciec. Przedmioty nauczania nie wywoływały w niej oddźwięku. W uszczelnionych przed deszczem salach hulający na zewnątrz wiatr przemawiał głośniejszym niż nauka. Wykorzystując więc moment przechodzenia z klasy do klasy, pewnego brutalnego popołudnia w lutym, gdy niebo ciskało deszczem i śniegiem, Isabel włożyła gabardynowy płaszcz i wymknęła się ze szkoły.

Powietrze było ostre jak szkło. Gdy poczuła na twarzy grad, omal się nie roześmiała. Rozwarła palce, żeby poczuć małe grudki, i szła szybko po mokrej trawie przez boiska. Jeżeli tylko dotrę do krzewów, będzie dobrze, pomyślała. Nie biegła ani nie pochylała się, tylko maszerowała w morderczym rzęsistym deszczu, który przesiąkał przez wilgotny kaptur i ramiona zielonego płaszcza. Przemokła do suchej nitki, ale gdy wyszła – po raz pierwszy od miesiąca – na ścieżkę za klasztorem, promieniowała radością. Wiatr zdmuchnął jej kaptur, włosy okleiły grubo twarz. Szczypały ją policzki. Szare szkolne pończochy zwisały wokół kostek jak mokre ciężarki. Strużki wody tryskały z czubków butów. Wszystko to później wspominała, deszczowe chwile wolności budzącej się w niej, kiełkującej i kwitnącej niczym czarowna wiosna, gdy szła dróżką do Galway City w najgorszej zawierusze tamtej zimy. Pogoda na zawsze zrosła się z tym wspomnieniem. Zapach deszczu, kłująca czystość twarzy wy chłostanej do połysku, krople spływające do oczu, gdy nadjechał i zatrzymał się koło niej czerwony samochód.

W pierwszej chwili pomyślała, że to zakonnice, i szła dalej. Auto ruszyło, nie wyprzedzając jej, ktoś uchylił okno od strony pasażera. Isabel pomyślała: jeżeli teraz pobiegnę, zyskam jeszcze pięć minut, pięć minut nim mnie dogonią i znów będę siedzieć w za suchym i za ciepłym pokoju, zapominając, jak cudownie jest teraz.

– Podwieźć cię? – zapytał męski głos.

Nie miała żadnego powodu, żeby wsiadać. Chciała zostać na dworze, na deszczu, czuć swobodne uderzenia chłodnego powietrza. Ale jej ręka już otwierała drzwiczki. W takiej chwili życie przyśpiesza, skokiem posuwa się naprzód, a raptowne działanie odsuwa w cień rozsądek i plany; samochodem mogła odjechać daleko od klasztoru, był częścią jej ucieczki, ryzyka i

przygody wyzywającej los.

W następnej chwili siedziała w środku, woda ściekała z niej na podartą, brązową sztuczną skórę fotela, w twarz dmuchał gęsty, bezzapachowy oddech samochodowego wiatraczka. Nie od razu spojrzała na kierowcę. Zamrugła, żeby wytrząsnąć z oczu krople deszczu, i spojrzała do przodu, przez kłapiące wycieraczki. Stary samochód jechał z klekotem i luźnymi stukami, jakby różne części odrywały się od skombinowanej całości i spadały na drogę. Na tylnym – siedzeniu stały dwie bele tweedu, wciskając się w miękki dach; dokoła leżały porzucane rozmaite rzeczy: gazety, broszury, czapka, kalosze, płaszcz przeciwdeszczowy, szczypce, łańcuch, a wszystko to było przesiąknięte zapachem psów.

– To szaleństwo wychodzić na taką pogodę – rzekł kierowca. Zaśmiał się i pokiwał głową. – Wiesz o tym?

Dopiero teraz zaczęła myśleć bardziej o aucie niż o pogodzie i obróciła się do kierowcy. Miał jasne włosy i zielone oczy. Był niski, mocno zbudowany, silny. Patrzyła na jego lewą rękę na drążku skrzyni biegów, gdy szybko, niemal gniewnie zwiększył prędkość. Mały czerwony samochód pomknął ku szarym wyziewom Galway City. Kierowca był ubrany w pomarańczową kowbojską koszulę, rozpiętą pod szyją. W kieszeni miał paczkę papierosów. Kiedy zwolnili, wjeżdżając na bardziej ruchliwe ulice, zabębnił palcami w kierownicę w rytm jakiejś melodii, której Isabel nie rozpoznała.

Przez dziesięć minut nie odezwała się do niego ani słowem. Gdy skręcił pomiędzy smagane deszczem, opustoszałe ulice, spytał, dokąd się wybiera.

– Może być gdziekolwiek – odparła.

– Chryste. – Bliżej mu było do śmiechu niż złości. – Gdziekolwiek, kurza twarz. – Pokręcił głową i Isabel dopiero teraz mu się przyjrzała. – Dokąd się wybierasz? Mogę cię podwieźć.

Nie miała pojęcia, dokąd się wybiera, ale ogarnęła ją chęć wymienienia jak najodleglejszego miejsca.

– Nie gryzę, wiesz? – rzekł i zachichotał na myśl, że mógłby być niebezpieczny. – Ale może ty się po prostu wybrałaś na spacer, co? – Parsknął śmiechem, uderzył dłonią w brzeg kierownicy, obrócił się i spojrzał na Isabel z chłopcym niepewnym uśmiechem, tonąc w jej niewiarygodnych oczach, które w tym pierwszym momencie prawdziwego nawiązania znajomości najpierw się uśmiechnęły, a potem roześmiały.

Nazywał się Peader O’Luing. Jego matka prowadziła sklep z wełną i tweedami przy Cross Street, założony przed trzydziestu laty przez ojca. Prionsias O’Luing był znany w Galway z gry na gwizdku. Założył sklep, żeby jakoś zarobić na muzykowanie w mieście, i przez wiele lat, gdy dorastali jego trzej synowie i trzy córki, miejsce to było czymś w rodzaju prowizorycznego wełnianego ośrodka dla wędrownych muzyków. Tylne drzwi sklepu wychodziły na boczne drzwi pubu Blake’a i w szkolnych latach dzieci widok zbieraniny grajków śpiących pokotem na kontuarze i drewnianej podłodze, pozawijanych w tweedy i inne materiały w wielkich belach, nie był niczym niezwykłym. Maire Mor, Duża Marie, dorównywała muzycznym talentem mężowi i aż do dnia jego śmierci – gdy spadł z chwiejnej drabiny i rozbił głowę pełną whiskey i muzyki o stary mahoniowy kontuar – grywała na wieczornych posiadach, podpierając skrzypkami liczne podbródki, z kuflem stouta w zasięgu masywnej ręki. Niestety, po pogrzebie sama podupała na zdrowiu. Skwaśniała jak mleko i porzuciła muzykowanie. Dwie córki pracowały w Anglii jako pielęgniarzki, a trzecia wyszła za mąż i mieszkała w hrabstwie Mayo. Żadna nie chciała wrócić do matki, więc Maire topiła gorycz w wódce, ledwie zdając sobie sprawę, że zamienia się w potwora.

Dziwnym trafem, raczej z braku innej możliwości niż drogą świadomego wyboru, sklep dostał się środkowemu synowi, Peaderowi. Ten zaś nie wiedział, co z nim począć. Miał dwadzieścia pięć lat i do śmierci ojca z powodzeniem uchylał się od obowiązku zarobienia na swoje utrzymanie. Mieszkał w starych pokojach nad sklepem, woził czasem pakunki i materiały, a kiedy nikt nie widział, dobierał się do kasy i sam brał wynagrodzenie za swoje dorywcze zajęcia. Naprawdę troszczył się o trzy greyhoundy ojca. Wieczorami zabierał je na spacer. Siedziały z tyłu samochodu, długie, chude, i unosząc wysoko łby, wypatrywały, co się dzieje na ulicach Galway. Wywoził je za miasto na północ, jechał dwadzieścia mil drogą na Oughterard, w upatrzonym miejscu zatrzymywał się i wypuszczał psy. Trzymając skórzane smycze w garści, schodził z głównej drogi na wąską *botharin*, która – jak przypadkiem odkrył – zataczała koło – i po siedmiu milach doprowadzała z powrotem do samochodu. Była to piękna odludna okolica. Na zielonoburych polach sterczały tu i ówdzie duże ostre skały, ziemia rozpościerała się bezkresnie ku kapryśnemu morzu. Psy były oczkiem w głowie ojca. Prionsias O’Luing obstawiał je i wygrywał pieniądze, a dorastający Peader nieraz słyszał opowieści o tym, jak przedmiotem zakładu stawał się sklep, przegrany i odzyskany w czasie dwóch psich gonitw. Przypuszczał, że naprawdę mogło się tak zdarzyć, ponieważ ojciec – z czego najbardziej zapamiętali go synowie – uwielbiał psy do tego stopnia, że na dwa tygodnie przed wyścigami zabierał je z szopy do domu i wpuszczał do sypialni, żeby lepiej wypoczęły i zaznały większych wygod. Psom, kiedy nie trenowały, dawało się stouta w drewnianych miskach, dostawały też na wpół surowe ziemniaki z odrobiną masła, bez soli, broń Boże nie rozgotowane, miękkie czy mączyste, nigdy nie tłuczone, tylko rozłupane na kawałki. Na treningu musiały zawsze przejść siedem mil, najlepiej bez

zawracania tą samą trasą, tylko po kole, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara, w ciągu dwóch godzin przed zachodem słońca. Miały wydzielane kostki cukru, a przez cały dzień na zapleczu gotowała się głowa owcy, żeby biegały szybciej niż wiatr. W rodzinie O’Luingów tajniki psich wyścigów przechodziły z pokolenia na pokolenie i Peadar przyjął to dziedzictwo, dodając własne sekretne sposoby, nuąc piosenki country and western, gdy jechał w deszczu długimi krętymi drogami, szepcząc „szybko goń i wygraj” do postawionych delikatnych uszu greyhoundów.

Tak wyglądało jego życie do dnia, w którym zatrzymał samochód i zobaczył Isabel Gore.

W sercu Galway, w ulewie, Isabel oświadczyła, że idzie do księgarni. Żeby tam dotrzeć, Peader objechał system jednokierunkowych ulic, wziął ostry zakręt przy Shop Street i zatrzymał się dokładnie na wysokości zielonych drzwi. Dla obojga moment dotarcia na miejsce nadszedł za wcześnie. Silnik warczał, wycieraczki z chlustem rozgarniały gęsty deszcz. Nie było o czym mówić. W okamgnieniu, nim sięgnęła do uchwyty drzwiczek, Isabel poczuła w sobie kłębek słów i emocji. Zarumieniła się, chcąc coś powiedzieć, i własna głupota wprawiła ją w zakłopotanie. Potem w jednej chwili, która miała trwać dłużej niż rok wspomnienia jej, otworzyła drzwiczki, ale wiatr wyrwał je z ręki. Deszcz zaklekotał o drzwi, Isabel rzuciła ostatnie szybkie spojrzenie w głąb samochodu na chłopaka, jego uśmiechnięte oczy, okrągłą twarz, wyczuwając w nim ukrytą delikatność, gdy powiedział „w takim razie do widzenia” i „daj znać, kiedy zechcesz się wybrać na spacer w deszczu”, wyszła na przenikliwie zimny wiatr z gradem i, nachyliwszy się, szybko wyrzuciła z siebie, jak się nazywa. W tydzień później przyjechał do klasztoru. Zła pogoda nadal się utrzymywała i zapadający o czwartej zmrok załomotał gradem w wysokie okna pokoju cichej nauki na piętrze. Peader zatrzymał czerwonego forda przed główną bramą, wbiegł po czterech stopniach w nowej tweedowej marynarce, którą zdjął z wieszaka w sklepie tego popołudnia, i zastukał mosiężną kołatką załotów. Niemal natychmiast usłyszał zbliżające się kroki, a kiedy drzwi otworzyła brzydka zakonnica o małych oczach i zaciśniętych ustach, wiatr, grad i on weszli do długiego, lśniącego czystością hallu, niczym niebezpieczni wysłannicy z innego świata, wkraczający po zwodzonym moście do sanktuarium. Spytał o Isabel. Zakonnica popatrzyła na niego. Wyczuła nieznamy zapach seksu. Ściągnęła mocniej usta, wyginając brwi w znaki zapytania nad małymi oczami. Rozluźniła splecione przed sobą białe ręce i sięgnęła do wybluszczzonej brązowej gałki u drzwi prowadzących do pokoju recepcyjnego.

– Jest pan członkiem rodziny? – spytała.

– Tak – potwierdził.

Czoło miał mokre od deszczu i potu. Podszedł do okna i wyrzwał, zastanawiając się, co ona sobie pomyśli. Rozpiął kołnierzyk koszuli, przeciągnął szyję, zabębnił nerwowo palcami w stół i spróbował zanucić początek jakiejś melodii. Kiedy Isabel otworzyła drzwi, serce skoczyło mu w piersi jak elektryczność. Stracił dech. Musiał siłą tłoczyć powietrze do płuc, żeby utrzymać się na nogach – jej widok oszołomił go jak cios i odebrał mowę.

– Ty? – spytała. – To ty? – A ponieważ za jej plecami, w drzwiach, stała wciąż zakonnica, zaraz dodała z przeznaczeniem dla jej uszu: – Sean – i rzuciła mu się w objęcia, a on potem wspominał ten szybki uścisk przez najbliższe dwa niespokojne dni i bezsenne noce. Gdy zakonnica zamknęła drzwi, Isabel go puściła. Przyłożyła ręce do ust, cofnęła się pod drzwi, nasłuchując, wstrzymując śmiech, aż oddalające się kroki ucichły, i dopiero wtedy parsknęła głośno: – Och ty! – i sama siebie uciszyła, szepcząc z chichotem do uśmiechniętego Peadera: – Jesteś bardzo pewny siebie, co?

Otworzył usta, ale nadal milczał i tylko patrzył; wyglądała tak pięknie, rękawy swetra miała podciągnięte do połowy przedramion. W czasie nauki bawiła się kosmykiem włosów, który teraz opadał jej na twarz. Zdmuchnęła go na bok.

– Mam już przez ciebie tydzień karnych ćwiczeń...

Zrobił krok w jej stronę.

– Może przyszedłem ci w nich pomóc – powiedział, zagłuszając śmiałymi słowami wewnętrzną słabość i podchodząc bliżej do ubranej w sweter od matki dziewczyny, której twarz, oczy, włosy przeniknęły go jak strzały.

– Masz tupet – rzekła. – Ale ja i tak nie mogę wyjść. Muszę zostawać po południu, wieczorem, w soboty i w niedziele.

– No a... z kuzynem?

Za oknem walił grad. Stojąc kilka kroków od Isabel w idealnie wysprzątanym pokoju, Peadar O’Luing posłał jej rozbrajający, zabawny uśmiech, w którym miała się zakochać, i tak zaczęły się ich tajne zaloty.

Przyjechał w niedzielę, żeby zabrać ją na obiad do wuja. Przymknął ściągniętym ustom i małym oczkom, że odwiezie ją przed siódmą wieczorem, podał Isabel rękę i bez zająknięcia zaczął opowiadać jedną po drugiej zmyślane rodzinne historyjki. Odwrócili się plecami do zakonnicy, wyszli przez drzwi więzienia na huczącą burzę i po schodkach dotarli do auta. Na podjeździe gulgotali ze śmiechu, a gdy wycieraczki rozgarniały deszcz za bramą, bez reszty się sobie oddali. Mały czerwony samochód wiózł ich przez mokre, zmarznięte pola, szare, bez śladu zieleni. W cieniu kamiennych murków białął nieroztopiony grad. Nie było widać żywej duszy. Niebo przypominało zaparowaną szybę, która co dzień pęka, ciskając ukośnie w powietrze ostre okruchy długiej zimy. Ale dla Isabel i Peadera, którym mruczał samochodowy wentylator i pachniały psy, była to doskonała oprawa niedozwolonej miłości.

Wieczorem, po odwiezieniu Isabel do klasztoru, Peader wrócił do domu, odwiesił marynarkę na wieszak w sklepie i zaszedł po sąsiedzku do Blake'a. Zastał tam matkę, której oczy lekko płąsały od picia, a obfity podbródek opadał na trójkątny dekolt. W zaparowanym, tłoczonym, brązowym pubie wianuszek czerwonych twarzy kiwał się nad kuflami. Muzyka była szybka, wesola, lekka, jakoś odświętnie radosna i zwilżającemu gardło Peaderowi wydawało się, że słyszy ją pierwszy raz. Nigdy przedtem muzyka nie zrobiła na nim takiego wrażenia. Popatrzył na smyczek i skrzypce, na otwory i szybkie ruchy palców na gwizdku, i powędrował dalej spojrzeniem do małego okna, przez które widać było deszcz złocący się przelotnie w świetle latarni. Patrzył na deszcz, słyszał muzykę, a przed oczami stawało mu wciąż wspomnienie dziewczęcej twarzy.

Przebywali razem niewiele dłużej niż cztery godziny. Nawet jej nie pocałował; musnęła go tylko wargami, otworzyła drzwiczki auta i wysiadła na deszcz. „Dzięki, do zobaczenia, Sean”. A mimo to nie mógł przestać o niej myśleć. Dziewczyna, która wychodzi na spacer w najgorszą od lat nawałnicę. Dziewczyna pachnąca deszczem i wiatrem. Gdy tak siedział przy kontuarze u Blake'a, słuchając muzyki i czując ciepło alkoholu, zakochał się najpierw trochę, a potem wpadł po uszy, przywoływał wciąż na nowo obraz jej twarzy i oddawał się bolesnej tęsknocie, aby znów ją ujrzeć.

Pół godziny po przyjściu do pubu był już tak w niej zakochany, że nie wyobrażał sobie, aby mógł w kimkolwiek zakochać się bardziej. Chciał rozmawiać, opowiadać o niej, wstrząsnąć się, skakać, kopać, krzyczeć, śmiać się, ryczeć, ciskać rzeczami i je rozbijać; chciał wyrzucić z siebie nagromadzone uczucia, ten balon piękna, który ona nadmuchała pod jego sercem, chciał je wyrazić, rozsiać się, westchnąć, zaśpiewać i przez całą wieczność napawać się słodyczą tego szczęścia; chciał być muzyką.

Kiedy zamknięto pub i matka, wybierając się do łóżka, minęła Peadera, wyczytała wszystko w jego twarzy, bo było widoczne jak wysypka. Bez słowa, ciężko stąpając, weszła po schodach, a w myślach już dziergała rządki zmartwienia, że traci syna. Peader milczał. Wyszedł bocznymi drzwiami na deszcz i podjechał samochodem, który ślizgał się i dygotał na zlanych nocną ulewą nierównościami, aż pod same szopy dla psów. Otworzył drzwi z cynkowanej blachy, wszedł do środka pod grzechoczący dach i położył się, słuchając nieznośnego jazgotu deszczu i szepcząc psom do ucha imię ukochanej.

Przez dwa dni nie spał. Oczy mu poczerwieniały, patrzył dzikim wzrokiem i zżerał go strach, że ona nie okaże mu względów, że to niemożliwe. To był robak w jego zimowej róży. W sercu i umyśle Peadera O'Luinga najmocniej tkwiła dręcząca myśl, że w gruncie rzeczy jest bezwartościowym człowiekiem. Zabierał psy na nie kończące się spaceru, prowadząc je w taki deszcz i wiatr, na który normalnie sam by nie wyszedł. W jednej chwili, gdy niebo wypogadzało się, a czyste i świeże powietrze drżało wiosną, był radosny, uskrzydłony nadzieją, zamieniony w



tęczę; w następnej chwili pochmurniał, nikał w wewnętrznym mroku, w którym mógłby zatłuc psy na śmierć kamieniem. Isabel, Isabel. Powtarzał na głos jej imię, idąc drogą, a deszczowy wiatr porywał je i rozgłaszał na wszystkie strony.

Isabel, Isabel.

Przywiązywał psy na smyczy z tyłu samochodu, wsiadał sam do środka w mokrym parującym ubraniu, zamykał oczy i na próżno usiłował choć na chwilę przywołać zapach Isabel w deszczu.

Isabel przeżywała to inaczej. Myślała o nim, sprowadzała go czasami blisko siebie na nudnej lekcji gramatyki francuskiej albo historii Rosji, a potem pozwalała odejść, przenosząc uwagę na wypisane kredą na tablicy słowa i liczby lub myśląc o swojej przyszłości. Uczyła się dobrze i nadal miała szansę dostać się na uniwersytet, jak zapewniały zakonnice, dodając, że jeżeli teraz zrezygnuje, to świat nie będzie miał jej nic do zaoferowania.

W sobotę wieczorem w sali cichej nauki umykały jej słowa ze stron, które czytała. Nie mogła się skupić. Złapała się na tym, że minęła godzina, a ona nic nie zrobiła. Przewróciła kilkanaście kartek podręcznika, nie zapamiętując nic a nic z ich treści. Podniosła wzrok i zobaczyła ściągnięte usta i małe oczka obserwujące ją z wysokości katedry. Spojrzała z uśmiechem w okno.

Na początku najbardziej podobało jej się odgrywanie komedii. Peader kołatał do klasztoru, odziany w solidne, budzące szacunek tweedy, a potem w długim korytarzu miarowo stukały buty siostry, która szła ją wezwać do kuzyna. Isabel słyszała zbliżające się kroki, nim rozległo się pukanie w drzwi. Siedziała albo na łóżku, albo przy biurku, gdzie od tygodnia zabierała się do napisania listu do domu. Słyszac kroki, zaczynała się śmiać, ale szybko przykładała rękę do ust, żeby się powstrzymać, odrzucała do tyłu włosy i wstawiała, aby okazać gotowość. Kryła się z dumnym i zwycięskim wyrazem oczu do chwili, gdy po przejściu korytarzem znów znalazła się za drzwiami wejściowymi i poczuła wiatr – uścisk i mocny, szorstki pocałunek wolności.

Pojechali na zachód do Connemara. Samochód mknął środkiem wąskich dróg, w wielką pustkę bagien i gór, a Isabel upajała się radością, jaką dawały swoboda i niebezpieczeństwo. Rozkoszowała się szaleństwem niedzielnej eskapady z prawie nieznanym człowiekiem i przyprawiającą o zawrót głowy prędkością. Siedzący za kierownicą Peadar był tak podenerwowany, że słowa więzły mu w gardle i tylko mrużone urywki kowbojskich piosenek zdradzały przepełniające go szczęście. Przez dziesięć mil ani razu się nie odezwał, czując, że rosnące z każdą minutą oddalenie od klasztoru coraz wyraźniej świadczy o sympatii Isabel. Trudno mu było w to uwierzyć i patrząc prosto przed siebie, ledwie śmiało pomyśleć, że to właśnie ona siedzi obok. Nucąc pod nosem, jechał opustoszałą drogą, która zdawała się prowadzić donikąd. Posępny, pusty, zimowy krajobraz był piękny i tworzył idealną oprawę, choć Peadar nie myślał o tym ani nie planował tego, jak zapewne zrobiłby zalotnik, ani w ogóle nie zastanawiał się, jakie wrażenie mogą wyrzucić takie widoki na dziewczynie pochodzącej z małej wyspy i od tygodni więzionej w klasztornych salach.

Po godzinie jazdy oddalającej od Galway spytał, dokąd chciałaby się wybrać.

– Dokądkolwiek – odparła. A potem dodała: – Chętnie bym się przeszła.

Uśmiechnął się i roześmiał.

– Chryste, jesteś szalona – rzekł i zatrzymał auto na skraju drogi.

– Dlatego ci się podobam, no nie? – powiedziała i wysiadła na wiatr, który zdmuchnął jej włosy na twarz, nim zdążył odpowiedzieć.

Szli ramię w ramię brzegiem drogi, pod ogromnym białym niebem. W oddali rysowały się bładoniebieskie góry. Woda spływała rowami albo połyskiwała jak opadłe kawałki nieba pośród bagnisk, zimą brązowych i czarnych. Nie przeleciał ani jeden ptak. W ciągu godziny spaceru wyprzedził ich tylko jeden samochód, który tak powoli i stopniowo zniknął na krętej wstędze bezkresnej drogi, odprowadzany przez nich spojrzeniem, że czas i odległość zdawały się określone na nowo, a droga stała się wiecznością. Isabel podobał się panujący wokoło bezruch, a nawet chłód wiatru. Wprawdzie idący obok niej przysadzisty mężczyzna, opatulony w gruby tweedowy płaszcz, nie był postacią z marzeń, jakie mogłaby snuć w słoneczne szkolne popołudnia, był jednak tym, który ją tu przywiózł, więc nie cofnęła się ani nie zadrżała, gdy wziął ją za rękę. Nadal prawie wcale się nie odzywali. Na drodze w Connemara słowa były niepotrzebne, cisza i wiatr spowijały tę okolicę tak dokładnie, że przecinająca ją droga zdawała się powolnym przejściem bez przystanków. Ruchliwy, hałaśliwy świat był gdzie indziej, tutaj panowała samotność i cisza. Deszcz zatrzymał się na dookolnych wzgórzach. Wiatr zza pleców setkami rąk popychał ich naprzód i miotał się w porywach, aż wpadali na siebie i potykali się na nierównościach drogi. Peadera szczypały oczy. Czuł wiotką dłoń Isabel w swojej dłoni. Trzymał się tego wąskiego wrzeciona jak boi, która nie pozwalała jego duszy odfrunąć za góry. Przypominało to trzymanie za rękę lalki, a przecież najlżejsze poruszenie jego palców wewnątrz

jej dłoni, najdelikatniejsza pieszczota zakręcała nim jak dziecięcym bakiem i budziła pragnienie pocałunku. Odgłos kroków na drodze, którą szli, zapach Isabel rozkwitający i niknący na wietrze Connemara. O czym myślała? Jakie uczucia przebiegały z białej dłoni na obejmujące ją męskie palce? Gdyby ją puścił, czy szukałaby przez chwilę w zimnym powietrzu jego dłoni? Te pytania rozstroiły nerwy Peadera i zagłuszyły uczucie szczęścia. Raptem dopadła go bezsenność ostatnich nocy i dni, zahuczało mu w głowie, nogi się pod nim ugięły i mocniej ścisnął rękę Isabel. Niewypowiedziane słowa kisiły się w nim. Czemu, ach czemu do niej nie przemówił? Czemu nic jej nie powiedział? Dlaczego nie mógł się zdobyć na to, żeby zacząć? Po prostu nie mógł. Strach skwasił wszystko. Cisza była przerażająca, nie piękna. Pociemniało, chmury zgromadziły się i schodziły z gór jak źli bogowie. Spokój chwili prysł i – jakby czas powrócił i biegł szybciej niż przedtem – Peader zobaczył, jak Isabel wchodzi do klasztoru i zaczyna się kolejna spirala bezsennych nocy i dni prześnionych na jawie. Nie mógł tego znieść. Uniósł głowę, głośno westchnął i uścisnął jej rękę. Ścisnął ją mocniej, a potem jeszcze mocniej, tak silnie zwierając palce, jakby chciał połamać kości i wtopić dłonie jedna w drugą. Isabel krzyknęła. Obróciła się do niego, z kosmykiem włosów uwięzionym w kącie ust, i Peader O’Luing zachwiał się jak rażony gromem, westchnął, poczerwieniałą ręką sięgnął do jej twarzy i wylądował wreszcie na wyspie pocałunku.

Niedziela następowała po niedzieli przez ostatnie miesiące mroźnej zimy i ponowne przebudzenie wiosny. W sobotę wieczorem Peader sprzątał czerwony samochód od środka i szykował go na niedzielę rano. Matce mówił, że jedzie spotkać się z przyjaciółmi, ale nowy styl ubioru i zmienione nawyki higieniczne syna pozwoliły Maire Mor domyślać się prawdy, wywnioskować, że dziewczyna jest nieodpowiednia dla jej syna, i dlatego ukrywa ją przed okiem matki. Po porannej mszy doganiała i zatrzymywała którąś z matek jego przyjaciół. W ciągu miesiąca stanęła twardo przed każdą z nich, wypytyując delikatnie i okrężną drogą o to samo. Potwornie bała się przyznać, że jej syn w tajemnicy spotyka się z dziewczyną, więc mówiła ogródkami, robiła aluzje, dawała to i owo do zrozumienia, wpijając się jastrzębim wzrokiem w oczy swoich rozmówczyń i czujnie wsłuchując się w każde ich słowo.

Po miesiącu miała już pewne wyobrażenie o Isabel. To była jeszcze uczennica, zaledwie siedemnastoletnia, i ona właśnie zamieniła jej syna w milczącego, wiecznie zamyślonego ponuraka.

Peader przestał się w ogóle odzywać, w milczeniu jadł posiłki, wchodził i wychodził ze sklepu w gorzko-słodkich oparach wspomnienia lub wyczekiwania na dziewczynę. Od poniedziałku do soboty zabierał psy na spacer albo jeździł sam w te miejsca, gdzie poprzedniej niedzieli spacerował razem z Isabel. Prowadząc psy po trasie romantycznego spaceru, wmawiał sobie, że przyspieszają kroku, są bardziej spięte i czujne; mówił „Isabel”, a one na sam dźwięk tego imienia od razu podnosiły oczy, wiernie naśladowując jego własne podniecenie. Te smukłe, szybkie i pełne gracji zwierzęta, ze sprężyną wyścigów naciągniętą we wnętrzościach, były mu teraz najbliższe. One znają tę okropną tęsknotę za pędem, mówił sobie, rozpamiętując udrękę każdego spaceru.

Po pięciu tygodniach odliczanych niedzielnymi wyprawami, po pięciu siedmiogodzinnych niedzielach z długimi pocałunkami i chłodnymi kuzynowskimi pożegnaniem u wrót klasztoru Peader nadal nie wiedział, co czuje do niego Isabel. Nie wyznał jej miłości, ale był pewien, że ona zna stan jego uczuć, a pewność ta bolała przy niepewności, czy są odwzajemnione. Każdej niedzieli z tym samym wyrazem dumy i buntu wychodziła mu na spotkanie klasztornym korytarzem, mijając u wrót zakonnice z ściągniętymi ustami, każdej niedzieli wsiadała do wysprzątane auto, aby wyruszyć z nim do odległych zakątków na zachodzie. Przez grzeczność pytał ją, jak idzie jej nauka, a ona odpowiadała, że okropnie. „Nic nie robię” – mówiła i z tego czerpał największe pocieszenie, wyobrażając sobie chwilami, że ona myśli o nim tak samo czule jak on o niej. Przychodziły mu na myśl miłe rzeczy, które mógłby o sobie powiedzieć, ale kiedy już miał się odezwać do Isabel, zasiadał między nimi w samochodzie duch ojca i wszystkie te rzeczy wydawały mu się śmieszne i głupie. W wirze strachu i tęsknoty pierwszych tygodni miłości Peader O’Luing wątpił, odnajdywał i tracił wiarę we wszystko. Kiedy wysiadali z samochodu, żeby się przejść, Isabel nie sięgała po jego rękę, jeżeli on tego nie zrobił.

Nieprzyjazna zima wreszcie złagodniała, nadeszły najpierw dwa, a potem trzy dni bez deszczu. Był koniec marca. Zza murów z szarego kamienia wyszli na ulice mieszkańcy miasta, stąpając ostrożnie i rozglądając się w oszołomieniu jak ludzie odzwyczajeni od chodzenia w świetle dnia. Wpatrywano na niebie burzy, ale napływające z zachodu chmury były jak biała płócienna pościel, którą rozrzuciła wstająca wiosna. Podfruwały łagodnie w górze, przemierzając błękitne przestworza nad dachami miasta niczym Boże sny rozświetlone słońcem. Ptaki powróciły z nieznanym nikomu zimowisk, pomykały w powietrzu, cięły je lotem błyskawicy, przysiadły stadami na starych kamiennych gzymsach nad sklepami przy Shop Street. Grainne Halloran ponownie otworzyła kwaciarnię. Pierwsze tegoroczne żonkile postawiła w wiaderku przy drzwiach, a jaśniały tak nierzeczywistym blaskiem, że po półgodzinie przyciągnęły Peadera, który dał dziesięć funtów za wielki pęk kwiatów i osłonił je połą płaszczą, żeby przemyścić do samochodu. Tej pierwszej prawdziwie wiosennej soboty, gdy szedł Shop Street podniesiony na duchu kwiatami i jasnością dnia, postanowił, w chwili stawiania jednego kroku, że musi posunąć się dalej w zalotach, bo inaczej zwariuje. Kiedy o tym pomyślał, wydało mu się to proste i oczywiste jak ruch w warcabach: w Judaszową środę powiedzieliby zakonnicom, że wuj wdowiec zachorował i potrzebna jest pomoc Isabel. Dziewczyna mogłaby tego dnia wyjść z klasztoru i wrócić tam dopiero w niedzielę wielkanocną późnym wieczorem. On zaś powiedziałby matce, że wyjeżdża z przyjaciółmi na kilka dni i wróci w niedzielę albo nawet w poniedziałek. Pojechałby z Isabel aż do Donegal. Przekroczyłby pewien próg, kochałby się z nią i na zawsze pozbył się niepewności co do uczuć, jakimi go darzyła.

Było to proste jak ruch w warcabach, a przynajmniej tak się wydawało Peaderowi O’Luingowi, gdy szedł Shop Street beztroski, lekki i podekscytowany pierwszymi promieniami słońca tej wiosny. Nazajutrz, w niedzielę rano, zawiózł bukiet oklapłych żonkili na tylnym siedzeniu samochodu do klasztoru. Dzień był piękny. Żwir na długim łuku podjazdu chrzęścił pod kołami jak cukierki dla dzieci. Wysokie drzewa okalające boiska pokryły się pączkami i to, co wydawało się szarym więzieniem zimy, przemieniło się w spokojny rozległy park zieleniejący na wiosnę. Przełożył kwiaty na przednie siedzenie i wbiegł po schodkach do drzwi. Gdy uchyliła je zakonnica o ściągniętych ustach i małych oczkach, martwe powietrze straconego dziewczęcego czasu wionęło korytarzem jak westchnienie i uciekło w te pędy na rozedrganą swobodę wiatru i drzew. Już nie musiał prosić o wezwanie Isabel. Małe oczka wpuściły go w milczeniu do poczekalni, gdzie stanął pod oknem i zaczął od niechcienia kartkować leżące na stoliku egzemplarze „Posłańca”. Dopiero kiedy usłyszał zbliżające się kroki, uzmysłowił sobie doniosłość swego planu i palce zacisnęły mu się ze strachu.

Tak się akurat złożyło, że nie było szans na wspólny weekend. Isabel weszła do pokoju z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie swetra i chłodem w oczach. Nie mogła wyjść z Peaderem.

– Każą mi zostać.

– Cholera! Dlaczego?

– Obląłam trzy egzaminy. Siostry dowiedziały się, że nie mam w Galway wujka. W czwartek muszę wsiąść na prom do domu.

– Niech to szlag. Nie mogą ci rozkazywać – rzekł ze – złością, głośniejszą niż zamierzał, wstrząśnięty nagłym runięciem planów, uniemożliwieniem nawet niedzielnych wypadów z wieńczącymi je pocałunkami, tymi deskami ratunku, które trzymały go przy zdrowych zmysłach.

– Cholera jasna! Chodź ze mną. Co one ci zrobią, wyrzucą cię? Nie zrobią tego, chodź... – Chwyił ją za ramię i pociągnął kilka kroków do drzwi, nim uprzytomnił sobie, że Isabel powiedziała: „Nie, przestań, puść mnie, boli”.

Rękaw swetra zsunął się tak, że zakrył dłoń Isabel. Stała naprzeciw Peadera, rozcierając obolałe miejsce, gdzie ją schwyił. Nie mogąc uwierzyć, że tak gwałtownie wobec niej się zachował, pełen żalu i rozczarowania, wykrzyknął:

– Chciałem spędzić z tobą weekend, myślałem, że wybierzemy się do Donegal...

Isabel popatrzyła na Peadera, przysadzystego mężczyznę o okrągłych, wyrażających ból oczach i zakrzywionym nosie. Po raz pierwszy wyraził tak otwarcie swoją miłość. Nie zdumiało ją samo uczucie, ale to, że zdobył się na wyznanie akurat w sali widzeń.

– Nie mogę – powiedziała.

Rozległo się pukanie, w chwilę potem otworzyły się drzwi i w progu stanęła zakonnica o małych oczkach.

– Przepraszam, Isabel, zdaje się, że siostra Magdalena czeka na ciebie.

Zakonnica stała za tarczą uśmiechu i czekała, czekała, aż niezręczne milczenie przygniecie swoim ciężarem Peadera. Pognębiony Peader zgarbił się i z pochyloną głową wyszedł pośpiesznie na lekki wiosenny podmuch zrujnowanej niedzieli.

Wspominając później to niedzielne popołudnie na tydzień przed Wielkanocą, Isabel zdała sobie sprawę, że nie była jeszcze wtedy zakochana. To prawda, że opuściła się w nauce, jej umysł ugrzązł w bezczynności i magazynował sny na jawie. Mózg mi zmiękł, pomyślała, poruszając szyją w cichym pokoju do nauki, gdzie przesiadziała dwie godziny i niczego się nie nauczyła. Jej wzrok przesuwiał się po nieostrych, niezrozumiałych akapitach. Lepiej od podręczników знаła ślady pióra na biurku, jego drewniany deseń z sęczkami, potrafiła na ślepo wymacać nierówność na powierzchni, pozostawioną przez lata odkładania w tym samym miejscu beczynnych piór i linijek. Mijały bezużyteczne godziny. Isabel nie mogła tego pojąć. Przez

wszystkie lata nauki w szkole przyklasztornej nie zaprzyjaźniła się z żadną z dziewczynek, choć wiele ją lubiło, ale miała w sobie coś, co nie pozwalało im się do niej zbliżyć. A teraz, kiedy spadała na coraz niższe miejsce w klasie i po prostu nie była w stanie się uczyć, nie miała nikogo, z kim mogłaby szczerze porozmawiać. To nie z powodu Peadera, mówiła sobie, kreśląc powoli niebieski zakrętas na stronie tomiku poezji. Nie była zakochana bez pamięci, a przynajmniej tak, jak wyobrażała sobie zakochanie bez pamięci. Lubiła Peadera i powtarzające się niedzielne wyprawy małym czerwonym autem. Czuła się w tym samochodzie jak na wyspie – byli tylko we dwoje, mówili mało i sunęli przez bajeczny krajobraz mokradeł i gór. Peader był do niej podobny, też trochę odrębny, nieprzystosowany, odstający od przeciętności. Właśnie ta jego inność jej się podobała, myślała z uśmiechem, powoli zakrzywiając niebieską linię, aż zamknęła koło i zaczęła ponownie sunąć piórem po śladzie, wciąż zakreślając to samo koło i wpatrując się w nie, jakby mogło udzielić odpowiedzi. Nie, nie była zakochana bez pamięci, i tego niedzielnego popołudnia, gdy szła korytarzem do Peadera, z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie swetra, wiedząc, że już nie będzie mogła wymknąć się przez drzwi klasztoru na swobodę, jaką zapewniał samochód, to bardziej żałowała samej przejażdżki niż spotkania z kierowcą. Ale chwilę później, kiedy przecinając nieruchome powietrze wracała z pokoju widzeń i słyszała za plecami ciche kroki siostry Assumpty, niknące w pokoju, gdzie przesiadywała nad klasztornym budżetem, będąc jednocześnie odźwierną, otóż chwilę później wszystko się zmieniło. Peader zadeklarował swoje uczucia i w natężeniu jego gniewu Isabel odczytała, jak bardzo za nią tęskni. Była wstrząśnięta. Idąc po schodach na górę, do pokoju cichej nauki, trzymała się poręczy. Głowę miała lekką i w ciągu najbliższych godzin niedzielного popołudnia jej umysł unosił się jak latawiec na wietrze niedoszłej wyprawy z Peaderem do Donegal. Jak wyglądałyby te dni i noce spędzone razem gdzieś, gdzie nigdy nie była? Nie mogła o niczym innym myśleć i tej nocy to ona nie spała, tylko obracała twarz do księżyca stojącego w oknie – blada, z szeroko otwartymi oczami, podekscytowana słabnięciem pęt, które dotychczas ją krępowały.

Aż do czwartku żyła wydana na łaskę uczuć, które rzucały, szarpały, miały na wszystkie strony, unosiły się i opadały w porywach serca. Myślała w kółko o tym, że Peader chciał ją zabrać do Donegal, i ten romantyczny pomysł coraz wyraźniej przybierał kształt miłości. Przez cztery dni w umyśle Isabel nie było miejsca na nic więcej, a w Wielki Czwartek, kiedy przed klasztor zjechał minibus, żeby zawieźć ją wraz z trzema innymi dziewczętami z wysp Aran na prom, wiedziała, że nie może wyjechać bez rozmówienia się z Peaderem. Kiedy minibus wyjechał za bramę, przysiadła się do Eibhlin Ni Domhnaill i poprosiła ją szeptem, żeby podeszła na przystani do pana nauczyciela i powiedziała, że jego córka źle się poczuła w autobusie i przyjedzie do domu dzień później.

Poprosiła o to koleżankę, sama jeszcze nie wiedząc, co zrobi. Kiedy autobus się zatrzymał, wzięła torbę i wysiadła. Owionęło ją ostre, słone morskie powietrze, z taką siłą narzucając dawne wspomnienia, że od razu zapragnęła wrócić do domu. Nie zrobiła tego jednak, tylko unikając kierowcy, przemknęła chyłkiem za parkujące samochody i furgonetkę do rozwożenia ryb, po czym ruszyła samotnie do centrum miasta.

Czuła to samo co zwykle – znajome przyspieszone łomotanie serca, przenikające ją na wskroś pulsowaniem – gdy łamiąc zakazy szła w swoją stronę. Tym razem jednak celem jej ucieczki nie była wolność; idąc handlowymi ulicami starego miasta, gubiąc się w kolorowym świątecznym tłumie, zamykała się w więzieniu związku z drugą osobą. Musiała pomówić z Peaderem. Lekki wiatr i rzeškość popołudnia zaróżowiły jej policzki. Oczy jej błyszczały w nagle spadających na ulicę smugach słońca. Panował odświętny nastrój i z wąskich przejść wciąż napływali ludzie, głównie kobiety i dzieci, zajęci ostatnimi przygotowaniami. Isabel przeszła koło sklepu, w którym pracował Peader, minęła okno, nie zaglądając do środka, wstrzymując przez kilka kroków oddech i myśląc: a nuż podniesie wzrok i zauważy. Prom już odpłynął, została bez pieniędzy na nocleg w hotelu, a podjęte ryzyko dławiło ją w gardle wielką gulą. Przeszła koło sklepu jeszcze raz, przy każdym kroku tęsknie wyczekując głosu Peadera, wołającego za nią, aby się zatrzymała. Nikt jej nie zawołał. Przespacerowała się jeszcze drugą stroną ulicy, aż uchyliła zielone drzwi i weszła do starej księgarni, gdzie Peader za pierwszym razem ją zostawił. Łagodna starsza pani o siwych włosach i w półokrągłych okularach uśmiechnęła się do niej zza lady, gdy weszła. „Ładny dzień, prawda?” – zagadnęła. Isabel skinęła głową i rozejrzała się. Nie było tu Peadera. Nie wiedziała, dlaczego wyobrażała sobie, że go tu zastanie. Czekala na pomoc, na znak, na coś, co by zaświadczyło, że to wszystko nie dzieje się wyłącznie za jej sprawą, że miłość jest siłą, która istnieje niezależnie od niej i kieruje się własną wolą. Stała naprzeciw ścian wypełnionych książkami i postawiła torbę na podłodze. Dwa sklezione łukiem przejścia prowadziły lekko w dół z pierwszego pomieszczenia do drugiego. Książki zajmowały całą powierzchnię od podłogi do sufitu – stare i nowe, w zielonych, niebieskich i czerwonych oprawkach, pod którymi przycupnęły miliony słów, wszystkie wyrazy



smutku, miłości i mądrości, uciszone, ale gotowe w każdej chwili przemówić. Za zielonymi drzwiami księgarni w sercu miasta Isabel przez godzinę oglądała książki, wewnątrz wyciszona i spokojna, słysząc głos każdego tomu, który zdjęła z półki i otworzyła. Dzień chylił się ku zachodowi i starsza pani w półokrągłych okularach wyszła zza lady, żeby odłożyć książki na miejsce. Przyglądała się dziewczynie, która kręciła się po księgarni, po skrzypiących schodkach wspięła się do literatury irlandzkiej, a potem zeszła i w końcu zatrzymała się przy poezji. Stała przy niej i wyciągnęła nowe wydanie wierszy miłosnych Yeatsa. „Piękna książka, prawda?” – zachęciła, wręczając Isabel tomik i zaglądając jej w twarz oczami, z których biło tyle ciepła i zrozumienia, jakby to patrzyła Miłość we własnej osobie.

Dziesięć minut później Isabel wyszła z księgarni z tomikiem poezji w torbie i udała się na drugą stronę ulicy do sklepu O’Luinga z tweedem i wełną. Otworzyła drzwi z brzękiem dzwonka nad głową i stanęła na drewnianej podłodze pustego sklepu, którego zapach już знаła. Przez chwilę otaczała ją zupełna pustka, ale zaraz wparowała przez drzwi podpita Maire Mor. Zobaczyła dziewczynę w gabardynowym płaszczu, poznała w niej tę, która dwa razy tego popołudnia wolniutko przechodziła pod oknem sklepu, więc od razu wiedziała, kogo ma przed sobą.

– Dzień dobry. Czy jest Peader?

– Nie ma.

– Czy wróci niedługo?

– Nie. A co pani od niego chce?

– Zna mnie. Przyjaźnimy się...

– Ma pani kłopoty?

Matka strzeliła tym pytaniem jak strzałą z łuku. Oparłszy tłuste dłonie na szerokich biodrach, celowała prosto w twarz dziewczyny i pomieściła w tym bezceremonialnym pytaniu niezliczone głupstwa i błędy, do jakich, jej zdaniem, był zdolny syn. Isabel poczuła się dotknięta i spojrzała hardo na przysadzistą niewiastę.

– Nie, nie mam. Chciałabym się tylko z nim zobaczyć.

– Tu go nie ma. Siedzi u Carmody’ego – odparła pani Mor i dodała, sycząc przez zęby: – zalewa robaka z powodu jakiejś... – urwała, oblizła wargę i niemal splunęła: – ... lafiryndy.

Z czasem Isabel nabrała przekonania, że droga do Carmody'ego była najkrótszą drogą, jaką kiedykolwiek przemierzyła – odległość od sympatii do miłości pokonała w kilka minut, tyle bowiem potrzebowała, aby przejść ulicą i odmienić na zawsze swoje życie. Później zrozumiała to lepiej, pojęła, że kiedy szła wąskim zaułkiem z głową pełną buntu, pod oproszonym gwiazdami wiosennym niebem, już działał na nią czar. Już przekroczyła przepaść wahań. Noc użyczyła jej nastroju, a kiedy weszła do baru Carmody'ego, w przyciemnione światło i łomoczącą głucho muzykę, jej oczy błyszczały przejęte odkryciem, że oto wreszcie po raz pierwszy się zakochała.

Szła przez salę tak, jakby co krok napotykała straszną przeszkodę, jedną z tych kłód, które w mniemaniu kochanków świat rzuca im pod nogi. Potem zobaczyła Peadera – siedział i tonął powoli w słodko-gorzkim morzu nieodwzajemnionych uczuć. Zatrzymała się, ale tylko na krótką chwilę. Bunt, śmiałość, poczucie zagrożenia przemieszały się ze sobą, pchając ją przez meandry wahań i zwątpień, nieuchronnie i nieodwołalnie kierując jej krokami, aż usiadła przy nim i wzięła go za rękę. Peader jednocześnie śmiał się i płakał.

– Jak?!... O Jezu, Issy – wykrztusił.

Kiedy wyszli na ulicę Galway, Isabel oparła głowę na jego ramieniu. Zamknęła oczy obezwładniona słodyczą, jego ciepłem i szła na ślepo, czując na szyi pocałunki, wpadając na niego i wciąż idąc dalej. Byli we dwoje pod gwiazdami, splatali ręce, trawieni pożądaniem.

## **Część III**

Po śmierci mojej matki w naszym domu zawisły grube szare zasłony milczenia. Przez sześć zimowych miesięcy ojciec nigdzie nie wyjeżdżał i w tym czasie nie odezwał się więcej niż dziesięć razy. Schudł, zmizerniał, był cienki jak płatek i tylko żar tłący się w oczach zdradzał, że jeszcze cokolwiek czuje. Przemierzał puste pokoje to z jasną, to z mroczną furia, targany zmiennymi uczuciami, a ja nauczyłem się odczytywać gniew, rozgoryczenie i zniechęcenie po sposobie stawiania nieobutych stóp na gołej podłodze. Nie mówił o matce ani o tym, jak umarła. O ile wiem, nie malował. Zacząłem przypuszczać, że tamten etap naszego życia dobiegł końca, że to podszepty szatana wywołały szaleństwo tak częstych i długich wyjazdów, aż w końcu sama miłość, bez krzyków i hysterii, pogrążyła się w szaleństwie i umarła.

Nasze dni i noce biegły teraz innym rytmem. Znow chodziłem do szkoły. Siedziałem w wysokich ciepłych salach, deszcz padał cały dzień za oknem, w innym świecie, a ja mogłem zapomnieć o wszystkim, prócz historii, geografii, wojen galijskich Cezara i pełnej zagadek poezji Yeatsa. Rozwalił mi się rower na brutalnej stromiźnie Trees Road, a kiedy na chama naprostowałem błotniki, obstukałem skrzywione koło i ostrożnie umocowałem klocki hamulcowe, udało mi się go sprzedać za dziesięć funtów. Odłożyłem te pieniądze i odkładałem każdą sumę, jaka wpadła mi w ręce, na wypadek jakiegoś nieszczęścia, które – byłem tego pewien – musiało na nas spaść. Do szkoły szedłem na piechotę, wychodziłem z domu przy rozjaśniającym się błękicie, a wracałem w szybko zapadającym zmierzchu, mijając szczęśliwe domy na południowym przedmieściu. Upajałem się chłodem tamtej zimy, wilgocią spodni, które w zgięciu pod kolanami wysychały przez cały dzień, zdmuchniętym w drodze powrotnej kapturem budrysówki i przyklejonymi do głowy włosami. Idąc na deszczu i wietrze, czułem, że od wszystkiego uciekłem. Tamtej zimy wychodziłem co rano z domu, spodziewając się, że po powrocie będzie pusty. Ale zawsze gdzieś w tej pustce kołatał się mój ojciec.

Mijały miesiące. Jakby wbrew naszej woli weszliśmy w drżącą wiosnę. Znacznie poprawiłem się w nauce, a ponieważ nauczyciele i koledzy zaczęli mnie inaczej traktować – obchodzili moją tragedię na palcach i obniżali głos do szeptu – łatwiej znosiłem szkołę. Pełna obietnic wiosna, jasne migotliwe księżycy, kwietniowe i majowe popołudnia, wszystko to ustąpiło niepewnemu latu. Znow przed naszym domem wybujała kwietna łąka. Wylegiwałem się rano w łóżku i nasłuchiwałem cichuteńkiego szurania bosych stóp, dowodu obecności mojego ojca. W niektóre dni czułem, jak jego niepokój wypełnia cały dom. Krążył po schodach po kilka razy w ciągu godziny, nigdzie nie przysiadł, wchodził i wychodził z pracowni jak obłąkany w pułapce tęsknoty za wyjazdem. Długie rzędzące włosy opadały jak biały welon znad błyszczącej wypukłości czoła – wyglądał jak prorok ze Starego Testamentu, czekający na znak. Jeżeli rzeczywiście czekał na znak, nie otrzymał go tego lata. Zacząłem sobie wyobrażać, że chodzi po domu, szukając czegoś, albo wchodzi nagle do jednego z pustych pokoi, żeby ujrzeć nikoną postać, którą usłyszał z dołu. Czerwiec i lipiec przesunęły się po mglistym ekranie mżawek i

rozdartych chmur, a mój ojciec wciąż walczył z chęcią wyjazdu. Dostrzegałem to. W sierpniu zorientowałem się, że patrzę na człowieka toczącego śmiertelny bój z samym sobą. Głos, który nakazał mu porzucić pracę i rodzinę, aby oddać się malowaniu, teraz milczał jak zakłęty. Czy więc ojciec miał całkowicie zrezygnować z malowania, pogodzić się z myślą, że nie jest wybitnym artystą albo że niewłaściwie spożytkował dane od Boga powołanie?

Na początku lata błakał się po pustym domu w poszukiwaniu odpowiedzi na to pytanie. Kuchnia, w której od dawna skupiało się nasze życie, wyglądała wtedy i cuchnęła jak śmietnik. Zużyliśmy wszystkie naczynia, najpierw napełniając nimi zlew, a potem zastawiając stopniowo blat, który zarósł pamiątkami po gotowanych i smażonych obiadach z wielu minionych tygodni. Wszystkie garnki miały poczerniałe spody, a na dnie przypaloną warstwę, nie do zmycia w zimnej wodzie bez detergentów, grubiejącą w kolejnej zupie lub sosie, gromadzącą się jak grzeszny osad na dnie duszy. Po sztucce sięgało się do zlewu, wyławiało się je z zimnej cuchnącej brei i splukiwało, co się dało splukać. Plamy po pomidorach i inne, trudne do zidentyfikowania, przylegały twardo do malowanych powierzchni. Nikt tego nie obwieścił i nie mówiło się o tym, ale wraz z moją matką jakby umarła sama czynność sprzątania. Braliśmy z bałaganu to, czego akurat potrzebowaliśmy, a potem pozostawialiśmy nieuprzątnięte. Ojcu przyklejały się do bosych stóp okruszki, szczotka do zamiatania obrosła pajęczynami.

Pod koniec lata, gdy całą okolicę spowiła bezwietrzna mglista aura, kuchenne wonie wspięły się po schodach i któregoś dnia, o ósmej rano, matka zbudziła mnie i ojca. Zastukała do drzwi naszych sypialni tak natarczywie, że obaj wyskoczyliśmy z łóżek i wyszliśmy na podest – zupełnie jakby nas zawołała. Popatrzyliśmy na siebie przez dzielącą nas pustą przestrzeń. Zaspany ojciec wyglądał znacznie starzej. Małe oczy ginęły w pomarszczonych poduchach opuchlizny, włosy śmiesznie sterczały na wszystkie strony. Patrzył na mnie, a ja na niego. Nie musiał wcale pytać, czy to ja pukałem do jego drzwi. Wiedzieliśmy, że to ona, i zdumienie przykuło nas do podłogi, cichymi oddechami wypełnialiśmy pustkę, aż raptem dobiegł nas z dołu dźwięk, jakby dwa naczynia w zlewie stuknęły o siebie.

Powoli, stawiając długie i niezbyt pewne kroki, z zadartymi palcami nóg, ojciec minął mnie i stanął u szczytu schodów. I znów rozległo się takie samo stuknięcie.

Kiedy dotarliśmy do kuchni, matki już tam nie było. Ale został po niej jakiś ślad. W pozbawionej zastłon kuchni, gdzie przez duże okno wlewał się letni poranek, ojciec obrócił się do mnie i uśmiechnął tak, jak nie uśmiechał się od czasu, gdy umarła.

– Kup jakiś płyn do zmywania – powiedział – dobrze? – Wyciągnął z tajnych głębin kieszeni spodni zmięty jednofuntowy banknot i wcisnął mi go do ręki.

Pognałem do sklepu, biegłem przez ciepły początek dnia, aż zostawiłem za sobą senność i znużenie, a nawet strach, minąłem w pędzie koszmar: a może po powrocie już ojca nie zastanę albo nie będzie już żył? Nie umarł ani nie znikł. Stał dokładnie w tym samym miejscu co przedtem, słońce padało na siwe spiralki włosów w półkolistym wycięciu podkoszulka, a wokół ust wciąż błakał się uśmiech. Oczy mu błyszczały, plecy miał proste, a włosy zaczesane do tyłu

w taki sposób, że swojemu synowi wydawał się królem, który właśnie powrócił z wygnania. Pokazałem plastikową butelkę z płynem do zmywania i zabraliśmy się do roboty.

Gdyby ktoś szedł wzdłuż szeregu domów od tyłu i spojrzął nad niskim ogrodzeniem ogrodu, mógłby pomyśleć, że widzi zwykłą scenę z życia codziennego: ojca, który razem z synem zmywa, wyciera i odkłada naczynia, wyręczając odpoczywającą matkę. Podobna scena mogła się rozgrywać za innym ogrodzeniem, w innym domu przy tej samej ulicy. Ale w naszej kuchni tego ranka – kiedy podawaliśmy sobie naczynia, likwidując góry garnków, patelni, filiżanek i spodków, ustawiając każdą sztukę na blacie, aby powoli umyć ją w ciepłych mydlinach wspomnień o matce – nie zmywaliśmy brudu, tłuszczu, osadu, zmywaliśmy smutek. Wymiotłem go z kuchni, kiedy ojciec wycierał naczynia. Razem umyliśmy nagrzone w słońcu okno nad zlewem, przy którym tak często stała moja matka, zajęta obieraniem, skrobaniem, polerowaniem, i odprowadzała wzrokiem oddalające się marzenia o życiu małżeńskim przez zarośnięty ogródek, ponad ogrodzeniem, aż do marzeń na tyłach innego domu. Łzy popłynęły z oczu ojca, skapnęły do zlewu i zniknęły w pianie. Matka umarła w głębokim śnie po całym słoiczku tabletek, a kiedy tak staliśmy w kuchni, wydało nam się, że to smutek spał do tej pory i dopiero teraz się budzi. Im dłużej ojciec zmywał, tym bardziej płakał, a ja razem z nim. Staliśmy tak obaj, ojciec i syn, nie mogąc dobyć głosu i zmywaniem naczyń głośno wyznając miłość.

Z kuchni przeszliśmy do korytarza. Ojciec odnalazł szczotkę do zmiatania i zaczął zagarniać chmury pyłu w kierunku drzwi. Kiedy je otworzyłem, dom westchnął, a z łąki poderwały się ptaki. Słońce wdarło się do środka. Ojciec tymczasem otworzył drzwi do pracowni. Wszedłem tam za nim po raz pierwszy od przeszło pół roku. Tuż za drzwiami upuścił szczotkę na podłogę i ruszył wzdłuż ściany, zbierając obrazy. Było ich więcej, niż się spodziewałem. Dziesiątki płócien. Nachylał się i przyglądał każdemu, niektóre ostrożnie ustawiając, inne odsuwając do tyłu na rosnącą na środku pokoju stertę.

– Wynieś je, Nicholasie, dobrze? Kochany chłopak. Zostaw je w hallu.

Naliczyłem dwadzieścia cztery płótna, gniewnie kolorowe kwadraty i prostokąty, na których nie widziałem żadnego wizerunku ani obrazu, nic, tylko wysiłek i farbę. Te, które zostawił w pracowni, były inne. Zdawało mi się, że na kilku z nich widzę matkę, zarys postaci na skraju płótna, pokrytego grubo błękitami, zieleniami, fioletami. Było w nich coś ciepłego, coś nowego u ojca. Widziałem niebo i wzgórze, i znów tę kobiecą postać, obecną tak po prostu, jak przypomnienie, jak kształt, ku któremu obraz się zbliża i od którego jednocześnie pragnie się oddalić. Ojciec łagodnie mnie wyprosił.

– Tamte jeszcze nie są skończone – rzekł.

– Podobają mi się – rzuciłem szybko.

– Niech będzie – odparł przez ramię i dał mi pędzel. – Możesz pomóc. – A potem, śmiejąc się z lekkim zakłopotaniem nad ironią swojego losu, dodał: – Wszystkie są gówniane.

Położyliśmy dwadzieścia cztery płótna na podłodze w hallu i spędziliśmy popołudnie zamalowywując je na szaro i lila. Mieliśmy duże pędzle, a kiedy nachylaliśmy się przy pracy,

czułem, jak pod długimi pociągnięciami pędzla znika cała desperacja i nadzieja obrazów. To były prace z pierwszej wyprawy ojca, z czasów pierwszego wezwania, które wydawało się teraz złośliwym figłem, jaki Bóg spletał mojej rodzinie, głupią próżnością talentu. Kiedy skończyliśmy, ojciec wyglądał, jakby mu ulżyło. Brał płótna jedno po drugim, trzymał je ostrożnie między płaskimi spodami dłoni jak wielkie tablice i kładł je pod ścianami pracowni dokładnie tam, skąd zostały zabrane. Matka przyglądała się ze szczytu zamiecionych schodów. Popatrzyła przez drzwi na półkole zamalowanych obrazów, które czekały, żeby je znów zacząć malować, i uśmiechnęła się. Tak się przynajmniej zdawało – ciepła fala jej obecności przepłynęła przez wszystkie pokoje na dole, niewyraźne wspomnienie jej dotyku i pocałunku musnęło nam policzki, poruszyło małe włoski na karku i kazało nam obu się obrócić i popatrzeć na siebie bezradnie w wysprzątanym do ostatniego zakątka domu, do którego wróciła.

O szóstej wyruszyliśmy na podwieczorek. Coś nadzwyczajnego. Pamiętam to jako wielką wyprawę. Wyrzucałem przed siebie nogi jak najdalej, żeby dotrzymać kroku ojcu, a letni wieczór pełen był żółtych migotań i ptasiego śpiewu. Mogło padać albo mżyć cały dzień, ale wieczorami powracało lato. Wieczory na przedmieściach: mężczyźni wyprowadzający psy na spacer, zażarte mecze piłki, wydeptane błonia, dziewczęta na przystankach autobusowych, chłopcy z workami golfowymi lub rakietami do tenisa, nachyleni nad kierownicami rowerów i pedałuujący pod górę do domu albo stojący beczynn timer na trawiastych poboczach i rozmawiający o niczym, tratujący butami stokrotki i wyczekujący, aż niewiarygodnie długi dzień zniży się i szczytnie. Były wakacje, w powietrzu niosło się bzyczenie. Ojciec wyprowadził nas z osiedla, poza spojrzenia sąsiadów, w stronę biegnących wyżej dróg, gdzie kończyło się miasto.

– Była tu kiedyś mała wioska – powiedział. – A teraz jest cholerne miasto. No ale... – Mówił, nie patrząc na mnie, i po chwili rozchmurzył się. – Tam zjemy podwieczorek, dobrze? – spytał.

– Dobrze – odparłem.

Weszliśmy do małego pustego baru o jasnym wnętrzu, gdzie stały cztery stoliki z plastikowymi blatami, a na nich cukiernice i dzbanuszki na mleko. Krzesła były z zielonego plastiku. Za ladą w głębi pryszczata dziewczyna wydawała herbatę i zapiekanki.

– Zapiekanka wiejska, pasterska, z rybą, z kurczakiem wyrecytowała.

Na zapiekanki czekało się pięć minut. Ojciec przyniósł dwie herbaty i postawił je na stoliku. Miał za długie nogi; gdy usiadł na zielonym krześle, kolana miał wyżej niż blat, więc odsunął się bardziej na środek sali i oparł talerzyk z filiżanką na piersi. Popijał herbatę małymi łyżkami i raz po raz się uśmiechał. Uśmiechy nie ustawały, a ja, sam nie wiedząc dlaczego, też uśmiechałem się w odpowiedzi. Wydawało się to właściwe, jakby z naszego życia usunięto ciężką ogromną chmurę i jakbyśmy zaczęli całkiem od nowa – choć nie miałem pojęcia co.

– Dobry z ciebie syn, Nicholasie – powiedział ojciec.

Uśmiechnąłem się nad herbatą. Nadeszły zapiekanki.

Przełamałem widelcem brązowe ciasto na wierzchu, patrzyłem na unoszącą się smużkę pary i wdychałem zapach duszonego mięsa, a ojciec napoczął swoją porcję. Nigdy nie czuliśmy się tak mocno ojcem i synem, pomyślałem, w żadnym momencie naszego życia. Nigdy nie byłem tak szczęśliwy, jak właśnie siedząc w tym niedużym zwyczajnym barze, gdzie rozchodziły się zapachy mięsa i dobiegał szum jadących letnim wieczorem samochodów. Wziąłem kawałek zapiekanki do ust i sparzyłem się. Gdy obracałem gorące jedzenie językiem, ojciec zakomunikował, że znów musi wyjechać.

– Nie chcę cię zostawiać, ale przez tydzień dasz sobie radę, prawda? Wyjadę tylko na tydzień – rzekł. – Tydzień mi wystarczy, żeby zacząć kilka płócien, które później tutaj bym dokończył. Może dziesięć dni.

Nic nie odparłem. Przetaczałem mięso w ustach, czułem, jak piekące gorąco przechodzi



przez podniebienie wyżej. A więc wyjeżdżał? Chciał mnie zostawić? Zaczęła mnie boleć głowa.

– Przez sześć dni nie będzie padać – oznajmił. – A ty jesteś już duży i możesz przez tydzień zająć się sobą, prawda?

Wypłułem mięso.

– Dlaczego nie mogę jechać z tobą? – spytałem, wpatrując się w ojca. Nie mogłem uwierzyć, że to powiedziałem.

– Nie stać mnie na noclegi w pensjonatach, śpię na dworze, w stodołach. Może być zimno i wilgotno. – Urwał i spojrział mi w oczy ponad stolikiem. – Może znajdę kogoś do opieki? Czy... ?

– Nie.

– Kiedyś, kiedy będziesz starszy, pojedziesz ze mną – zapewnił.

Pryszczata dziewczyna podeszła z rachunkiem. Poinformowała, że niedługo zamyka, popatrzyła na nas, na nasze niedojedzone zapiekanki, i odeszła.

– Dlaczego? – spytałem.

– Co dlaczego?

– Dlaczego musisz jechać? Nie mógłbyś zostać w domu, nie mógłbyś...

Letni wieczór urwał się, zamarł jak wstrzymany oddech. Cisza nabrzmiała, zgęstniała. Ojciec grzebał widelcem w cieście. Popatrzył na talerz, demonstrując błyszczącą, piegowatą wypukłość czoła ze zmarszczkami, które nagle wydały mi się głębsze, niż myślałem. Całą głowę miał porysowaną, żłobioną w bruzdy nieodnalezionych odpowiedzi na jedno i wciąż to samo pytanie. Odłożył widelec, wymacał zmarszczki i zaczął delikatnie suwać po nich palcami w tę i z powrotem.

– Nicholas – rzekł.

Wybuch. Brak powietrza, duchota, pieczenie w ustach, zapach zapiekaneł, dziewczyna za ladą – wszystko dokładało się do mojego bólu głowy. Od razu wiedziałem, co się szykuje. Mgnienie przeczucia, w uszach brzmienie nieszczęsnych słów, które już raz zniszczyły moją rodzinę. Nim się odezwał, wiedziałem, że innej odpowiedzi nie usłyszę. Nie chciałem, żeby odpowiadał. Ale on to zrobił. Siedząc w ciasnym barze, w spiętrzonej, drżącej ciszy letniego wieczoru, usłyszałem to samo, co kiedyś ojciec powiedział matce w kuchni.

– Muszę malować. Wierzę, że właśnie to jest moim powołaniem. Nie oczekuję, że zrozumiesz. Ale Bóg chce, żebym malował.

Wyrzuciwszy to z siebie, umilkł. Dziewczyna za ladą wszystko usłyszała. Wstrzymała oddech albo może stłumiła śmiech, a gdy ojciec obejrzał się, z zapalem przecierała szmatką czystą ladę. Mam klienta wariata, myślała pewnie, to ten chudy, wysoki, łysy facet z resztką białych włosów. Nie mogła się doczekać, kiedy gość wyjdzie, a ona zadzwoni do przyjaciółki. „Nie uwierzysz, posłuchaj tylko, «Bóg chce, żebym malował», tak powiedział. Nie kto inny, tylko sam Bóg” – powtórzy i zachichocze do słuchawki, spoglądając na wolne stoliki i bezpiecznie zaryglowane drzwi, przez które wcześniej wypuściła szaleństwo na ulicę.

Chciałem go znienawidzić. Szedł jak żyrafa, a ja tuż za nim, patrząc na ludzi, którzy patrzyli

na nas. Czy wiedzieli, że znów wyrusza w świat? Czy jego nagłe powołanie zostawiało ślad w powietrzu, które przecinał, stawiając wielkie sprężyste kroki? Jaki ojciec zostawia tak syna? Po tym wszystkim, co się wydarzyło, jak mógł w ogóle myśleć, że Bóg o niego dba? Zadawałem sobie te pytania i szedłem dalej. Wracaliśmy do domu okreśną drogą, szczytami wzniesień, skąd otwierały się rozległe widoki na zatokę. Pozornie płytkie morze srebrzyło się w słońcu, budynki lśniły, a my szliśmy jakby wysoką krawędzią ogarniętego latem miasta. Ojciec stąpał lekko i swobodnie, niemal zapomniałem, że tak potrafi; już się wyrwał, już prawie wyruszył na wyprawę. Wiara nappełniała go od nowa. Gdzieś nad nami niewidoczne ptaki śpiewały pieśń listowia i choć bardzo tego pragnąłem, nie mogłem znienawidzić ojca. Kiedy pokonaliśmy ostatni zakręt i weszliśmy do wysprzątane domu, matka czekała tam na nas. Nikt oprócz nas jej nie widział, siedziała na zamiecionych schodach, uśmiechała się połyskiem filizanek albo skrzypiała podłogą na piętrze. Czekala, aż wrócimy, czekała, żeby zobaczyć, czy ojciec mi powiedział.

Tego wieczoru, kiedy sprzątałem pokój, stała w drzwiach. Nie musiała nic mówić. I tak wiedziałem, o co jej chodzi, wiedziałem, po co wróciła. Przemierzyła nieskończone niebiesko-złote horyzonty nieba, minęła zimne szklane okna milionów gwiazd i stanęła w drzwiach, żeby mi powiedzieć, że mój ojciec ma rację, że tego właśnie oczekuje od niego Bóg.

Rano ojciec oświadczył, że wybiera się do Clare, nad morze. Najpierw pociągiem do Ennis, a stamtąd na wybrzeże. Miałem w domu dość jedzenia, a na mleko i inne drobne wydatki zostawiał mi dziesięciofuntowy banknot w słoiku z rachunkami na kuchennym parapecie. Wyszukował się, nim się obudziłem, i w hallu stały już powiązane w jeden pakunek płótna. W powietrzu unosiła się woń farb olejnych i spirytusu, pachniało przygodą. Drzwi od frontu były otwarte na poranek. Delikatna równowaga dnia, zawieszona między słońcem a mżawkami, drżała jak moja wiara. Ojciec, z zakasanyimi rękawami, był cienką szczapą energii i tylko śmigał po schodach w górę i na dół, wbiegał do pracowni i wybiegał z niej w wirze przygotowań. Spojrzał na mnie, a ja spojrzałem na jego zmarszczki.

– Wrócisz za tydzień – powiedziałem, stojąc obok matki w hallu.

– Zgadza się – odparł. Wyciągnął rękę i krótko, ciepło uściśnął mi ramię. Bruzdy na chwilę się wygładziły, a oczy uśmiechnęły.

Kiedy już był gotów do drogi, zatrzymał się w drzwiach, obładowany płótnami, pędzlami i farbami, i wyciągnął dłoń. Ja też wyciągnąłem dłoń, a on ją chwycił i posłał przez całą moją rękę tak silny prąd miłości, że aż łzy zakręciły mi się w oczach.

– Za tydzień – potwierdził.

– Za tydzień – powtórzyłem i poczułem chłód powietrza we wnętrzu dłoni, którą puścił.

Ojciec zaczął się oddalać podjazdem i, pomachawszy wielką dłonią jak flagą, znikł.

W ciągu dwóch minut podjąłem decyzję. W ciągu następnych dziesięciu wyciągnąłem banknot ze słoika, dołożyłem zaoszczędzone pieniądze, zapakowałem do małej torby turystycznej sweter, skarpety i slipy i ruszyłem na dworzec. Ojciec szedł pieszo, machając ręką na przejeżdżające samochody w złudnej nadziei, że jakiś zdziwiony czy zaciekawiony kierowca zatrzyma się, żeby go podwieźć. Wsiadłem do autobusu, uzasadniając przed sobą ten wydatek koniecznością złapania tego samego pociągu. Usiadłem na górze na przednim siedzeniu i wypatrywałem na niezbyt ruchliwej ulicy wysokiego chudzielca obładowanego jak łachmaniarz i podążającego w stronę miasta. Nigdzie go nie dostrzegłem. Gdy autobus zatrzymał się przy porcie, zanurzyłem się w powódź barw i dźwięków, jaką jest Dublin latem. Wysoko na niebie chmury sunęły po słońcu, poruszając na rzece zielone cienie. Serce waliło mi jak młotem. A jeżeli mnie wyprzedził i już siedział w pociągu, patrząc, jak peron powoli odsuwa się do tyłu? Omijając tłoczących się ludzi, puściłem się pędem.

Pociąg odjeżdżał za dziesięć dziesiąta. Siedziałem w ostatnim wagonie, w najdalszym kącie, i przyglądałem się maruderom śpieszącym niezdarnie z plastikowymi torbami, plecakami i małymi walizkami. Do godziny za dziesięć dziesiąta mój ojciec nie przeszedł pod oknem. Zapowiedziano odjazd pociągu do Nenagh, Limerick i Ermis. Potem trzaskały zamykane wzdłuż całego pociągu drzwi, ktoś krzyknął, rozległ się gwizd, konduktor powiedział coś żartem przez otwarte okno i zaraz pierwsze trzy szarpnięcia, szybkie sztywne wstrząsy – zwalnianie hamulców

i rozruch silnika – zakolebaliśmy się i z łoskotem wytoczyliśmy poza peron, poza stację i dalej, łagodnie zakręcającym rytmicznym stukotem, poza miasto. Sunęliśmy przez okolicę, której nigdy przedtem nie widziałem, obok starych domów z małymi ogródkami i suszącą się bielizną, obok miejsc naznaczonych hałaśliwym życiem pociągów, mechaniczną regularnością szumu przesywającego noce i dni. Dzieci nie podnosiły głowy i nie machały. Dalej ciągnęły się nowsze przedmieścia, białe kwartały ni to wsi, ni to miast, monotonne szeregi podmiejskich domów. Dopiero po półgodzinie minęliśmy zabudowania, zieleń zaczęła przeważać nad szarością i wały ziemi za oknami wbiegły między cierniste krzewy i rowy na polach Kildare, a potem Laois. Konduktor szedł przez wagony, kołysał się, kasując dziurkaczem bilety, i zwracał uwagę hiszpańskim studentom, żeby zdjęli nogi z siedzeń. „Tu się nie pali” – mówił, przechodził przez kurtyny dymu, szeroką pięścią walił w okno, żeby wpuścić głośny pęd powietrza i torów, zapachy powoju i siana. To wszystko było dla mnie nowością. Siedziałem obok drobnej kobiety w obszernym płaszczu.

Cały czas trzymała ręce na torebce, kiwała się w rytmie dudnienia i śniła o złodziejach, raptem prostowała się z okrzykiem, ale stwierdziwszy, że torebka jest bezpieczna w jej spoconych rękach, znów mogła zamknąć oczy i spokojnie pozwolić się obrabować. Nie odezwała się do mnie ani razu. Z podekscytowania nie mogłem zasnąć. Bardzo się bałem, że ojca nie ma w pociągu, ale równie mocno bałem się, że jest. Nie wiem, czy miałem jakiś plan na obie te ewentualności. Wyobrażałem sobie, że rozwiąże ten problem magia pociągu, niewinność przyjazdu, nowy początek, wszystko to razem. Siedziałem i gapiłem się przez okno. Wjechaliśmy w środek kraju – wielki zielony bezkres układający się we wzgórza i góry, ubrane w cienie nieba. Krowy były nieruchomym uzupełnieniem krajobrazu. Aż nie mogłem uwierzyć w tę przestrzeń, ten ogrom, tę otwartość, tę dal, która wzywała mnie na pola, budziła pragnienie, aby tam biec, usiąść, legnąć w słodkawej letniej trawie. Pociąg pędził coraz dalej na zachód, krajobraz rozpostarł się z jeszcze większym rozmachem, niebo zogromniało. Stukot kół na torach wprawiał w trans. Po chwili migająca za oknem okolica zaczęła wolno, regularnie falować i wyobraziłem sobie, że dziesięć wagonów w przodzie, przez okno od południa ojciec ogląda tę samą szeroką panoramę. Jechaliśmy w tym samym śnie dwie godziny. Potem, w Limerick, przesiadaliśmy się na pociąg do Ennis. „Przesiadka” – tubalnym głosem wołał konduktor, człapiąc przez dym, i uderzeniem pięści otworzył okno, które zamknęli dwaj ziębnięci księża.

Ociągałem się, wyglądałem przez drzwi na peron i w końcu wysiadłem z pociągu ostatni. Trzymając w ręku torbę, podbiegłem i stanąłem koło słupa, który wydał przestraszony okrzyk – wyskoczyła zza niego drobna kobieta w obszernym płaszczu, przyciskając do piersi torebkę. Przeprosiłem i schowałem się.

Do Ennis wybierało się mniej niż czterdziestu pasażerów – grupka miejscowych stała wyczekująco. Wpatrywałem ojca, ale go nie dostrzegłem. Z końca stacji nadjechała powoli stara lokomotywa, ciągnąc trzy drewniane wagony. Dyszała, syczała i psuła powietrze wonią oleju. W oknie lokomotywy usmolony kolejarz wyszczerzył się do nas w uśmiechu, dokonując cudu

zatrzymania pociągu. „Wygląda na sto dziewięćdziesiąt” – wymamrotała paniusia z torebką, unosząc swój bagaż przed sobą i ruszając spiesznie, aby zająć miejsce. Wyszedłem zza słupa i jedną nogą już stałem na stopniu wagonu, gdy dostrzegłem błysk siwizny i wysokiego mężczyznę z pakunkiem pod pachą, wychodzącego z poczekalni. A więc mój ojciec był tutaj. Myślał tylko o tym, żeby nie spóźnić się na przesiadkę, i ani razu nie spojrzął w bok. Wsiadł do pociągu, przeszedł do pierwszego wagonu i usiadł. W chwilę później pędziliśmy na zachód, wybijając kołami nowy rytm.

Ojciec jechał tym samym pociągiem; stałem w przejściu między wagonami i czułem oleiste bełtanie się mdłości w beczce żołądka. Moje stopy unosiły się i opadały łagodnie. Nie mogłem myśleć albo raczej nie mogłem myśleć tylko o jednej rzeczy, przebiegałem niezliczone, uciekające w panice myśli. Co zrobię? Co zrobi ojciec, co powie? Czy podejść do niego, kiedy dotrzemy na miejsce? Czy odeśle mnie ciupasem do domu? O czym teraz myśli, siedząc nie więcej niż czterdzieści kroków ode mnie, przemierzając pociągiem całą szerokość Wyspy i oddalając się od domu, gdzie – jak sądził – zostawił jedyne go syna wraz z duchem jego matki? Osunąłem się, opierając o drzwi, aż usiadłem. A może nie oglądał się za siebie? Może już przekroczył granicę, za którą pozostały wszystkie myśli o tamtym życiu, i teraz wyobrażał sobie tylko nadchodzący tydzień, który dla siebie wykroił, żeby pokryć płótna obrazami zachodu? Nie wiedziałem i przez dwie godziny siedziałem na podłodze pociągu, poddając się na przemian zwątpieniu i mdłościom, które falami zagarniały moje wnętrzości, a potem odpływały, aż zagwizdała lokomotywa, gdy uniosłem, głowę, i wreszcie dojechaliśmy do Clare.

Stacja była nieduża. Pociąg przyjeżdżał tu tylko raz na tydzień, z nerwowym szczękaniem sadowiąc się obok zagród i wybiegów targu bydła. Pasażerowie wysiadali z ulgą i śpieszyli do samochodu lub autobusu i do krzątany pobliskiego miasteczka. Z końca pociągu patrzyłem, jak ojciec wysiada. Przeszedł wąski peron w porywach letniego wiatru, musiał się zatrzymać, żeby poprawić poruszone przez powietrze płótna, i ruszył peryferyjną, podmiejską drogą. Odczekałem trzy minuty i poszedłem za nim. Sprawiał wrażenie, że dokładnie wie, dokąd zmierza, maszerował z tym samym zdecydowaniem, które pozwoliło mu przetrwać życiowe kryzysy.

Droga biegła wzdłuż szeregu domów, a potem pod wysokim murem, który nie dawał żadnej osłony, więc powiększyłem dzielącą nas odległość do jakiejś pół mili. Widziałem ledwie błysk siwizny w oddali, łopoczący rąbek płaszcza. Popołudnie było rześkie i wietrzne, chmury mknęły, powietrze wyczuwalnie się zmieniło. Niejedna mila dzieliła nas od morza, ale już je czułem, hen przed nami był ocean, którego nigdy nie widziałem. Czasami ojciec dawał znak ręką przejeżdżającym samochodom, ale żaden się nie zatrzymał, żeby go zabrać, a ojciec maszerował równo i ani razu nie rzucił prosiącego spojrzenia. Wyszedł z Ennis, a ja za nim. Szedł skrajem drogi prowadzącej na północ, do morza, mniej więcej jeden zakręt przede mną, aż zrozumiałem, że nikt go nie podwiezie, i pozwoliłem się wyprzedzić o milę, zakładając, że dogonię go przed następnym miasteczkiem. I tak przez całe popołudnie szliśmy ku wybrzeżu. Raz się zatrzymał. Przy niskim ogrodowym murku, gdzie dziko powyginane krzewy rosły zwrócone w stronę lądu, przygięte ostrymi zimowymi wichrami, zdjął buty i wymasował podeszwy stóp. Na ziemi spadły strzępki tektury, ojciec wydarł i uformował nową wkładkę z tektury, którą niósł w plecaku, i ruszył dalej. Wtedy go podgoniłem, zatrzymałem się w tym samym miejscu i zjadłem trzy herbatniki z paczki kupionej w sklepie po drodze. Siedziałem na wzniesieniu opadającym na zachód i patrząc w dół na drogę, na oddalającą się chudą postać, zdałem sobie sprawę, że na

horyzoncie, za trawiastym półkolem usianym białymi wozami kempingowymi, jest morze.

Dotarliśmy tam po dwóch godzinach. Popołudniowe niebo poddało się wieczornym chmurom, głośny wiatr trząsał pościelą rozwieszoną na tyłach wozów kempingowych. Morze było w wietrze, mój pot miał smak soli. Szedłem, co chwila spuszczałem wzrok z ojca i wypływałem spojrzeniem na fale i wyspy w oddali. Chętnie myślę, że już wtedy coś mnie ciągnęło, coś, co nie miało nic wspólnego z ojcem, że godziny marszu, morskie powietrze i dźwięki już napełniły mnie tym uczuciem, odcisnęły na mnie wrażenie odświeżającej dzikości tych zachodnich okolic, wrażenie, które miałem zachować do końca życia. Chętnie myślę, że pokochałem te strony od pierwszego wejrzenia, że domyśliłem się bliskiego kresu podróży w chwili, gdy spojrzałem przed siebie ze wzniesienia na drodze. Tak czy owak, kiedy ojciec przeszedł ogrodzenie z dwóch kolczastych drutów i zaczął schodzić na małą plażę w gasnącym świetle wieczoru, ruszyłem ostrożnie za nim i zrobiłem to samo, przemykając po kępach trawy na wydmach.

Kiedy dotarłem na sam brzeg, ojciec był już nagi. Ledwie ujrzałem, jak idzie tym swoim chudym, wysokim krokiem prosto w rozbijające się z hukiem fale, przyjmując je na brzuch i wpadając w białe objęcia zimnej piany, ledwie usłyszałem, jak krzyczy w uniesieniu czy gniewie, wstrząsając głową, od razu zrzuciłem ubranie i puściłem się pędem, krzycząc i wołając, przeskakując fale, żeby uratować go przed utopieniem się w morzu.

Ojciec nie był ani uszczęśliwiony, ani zły, że mnie widzi. A przynajmniej nie dostrzegłem nic, co by na to wskazywało. Później powiedziałem sobie, że mógł odczuwać jedno i drugie, bo przy całej swej szczupłości był zdolny do szerokiego wachlarza emocji. Ogluszony hukami fal i własnym krzykiem, nie usłyszał mojego wołania, obrócił się, gdy się z nim zrównałem, i osunął bokiem w pianę – obaj wpadliśmy w sięgającą piersi, zbałwanioną wodę, tak samo łapiąc oddech i ze zdumieniem w oczach. Wstaliśmy parszkając i plując. Krzywiliśmy się, żeby pozbyć się wody z oczu, cofając się fala zasysała mi nogi, pociągając tak szybko, że oderwała mnie od piasku i rzuciła kilka jardów od ojca, dalej w morze. Zacząłem się miotać, bo przy drugiej fali zalewającej moje krzyki przypomniałem sobie, że nie umiem pływać. W mgnieniu oka znalazłem się kilkanaście jardów od ojca, unosiłem się i tonąłem w zdumieniu szybkiego morza, moja stopa aż do kostki sterczała śmiesznie do góry, leciałem do tyłu, zapadałem się jak ogromna kotwica, a gdy woda przelała mi się przez nos, wychnąłem przerażenie wrzeszczącymi oczami. Ojciec na przemian pojawiał się i znikał. Widziałem go. On widział mnie, a raczej nagie białe ciało swojego syna, którego w pierwszej chwili wziął za ducha. Z początku uważał pewnie, że nie trzeba mnie ratować, raczej należy dać mi wycisk. Złożył ręce jak do modlitwy i zanurkował. Znikł, a ja poszedłem pod wodę. Świat uchodził ze mnie z bulgotem. Czułem chwytające mnie ręce, przez które, łuskając bielą, się prześlizgiwałem. Ojciec nie mógł mnie przytrzymać, nogi miałem w górze, głowę w dole. Niebo kołowało mi przed oczami w ostatnich technieniach życia, a potem utonąłem, przeleciałem przez wirującą pianę, przez szalejącą wodę, aż do spokojnego przejrzystego zimna morskiego dna, gdzie ojciec wreszcie trafił palcami na moje włosy i szarpnął mnie do góry.

Wyskoczyłem na dzienne światło, uniesiony w powietrze z wytrzeszczonymi oczami, zwracając morzu to, co mu połknąłem. Odpływ zniósł nas daleko i dopiero teraz zobaczyłem, jak cudowna jest ta mała plaża, osłonięta i zaciszna za grzbietami spienionych fal, jakie miniaturowe i smutne są pagóreczki rozrzuconych przez nas ubrań. Ojciec mnie obejmował. Kopałem nogami bezładnie i bezużytecznie, a fale unosiły moje małe rozbryzgi. Chyba krzyczałem, a nawet wydierałem się na całe gardło, łykałem wodę, łapczywie chwytalem i wciągałem powietrze, żeby się nim napełnić, wypadałem z objęć ojca, tonąłem, wypływałem, rzucałem się i wymachiwałem rękami, aż dostałem cios w szczękę i na chwilę morze zamarło. Srebrne gwiazdy wyprysnęły z wody, wszelkie odgłosy ucichły, a potem ojciec żelaznym uchwytem dłoni objął mnie za brodę i popłynął, ciągnąc mnie ze sobą. Kiedy mógł już dosięgnąć dna, stanął i poniósł mnie – wyłoniliśmy się nadzy z wody na niespodziewanie chłodne powietrze i morze od nas obu uciekło. Położył mnie na piasku. Kaszlałem i prychałem, wywracałem oczy, a ojciec stanął nade mną, zasłaniając całą szerokość nieba, i patrząc w dół, powiedział: – Bóg chce, żebyś żył, Nicholasie.



To był początek tygodnia niespodzianek. Zaskoczenie, jakie wywołałem, pojawiając się ni stąd, ni zowąd nago pośród fal, u boku ojca, gdy przypuszczał, że jestem po drugiej stronie kraju, było niczym w porównaniu z tym, co miało nastąpić w ciągu tego tygodnia na zachodzie Clare. Zaczęło się spokojnie. Ojciec, jak się okazało, nie miał zamiaru się topić. Poddawał się jakby rytuałowi zachodniego chrztu, odnowicielskiemu obmyciu.

Z początku nie zauważyłem, że jest innym człowiekiem, że wyzwolił się z ograniczeń życia, aby robić to, co czasami ponad wszelką wątpliwość uważał za Wolę Bożą. Wycierał mnie swoją koszulą, aż przestałem szczekać zębami, a wtedy ubrałem się i opowiedziałem, jak ruszyłem w jego ślady. Ojciec śmiał się, patrząc w piasek. Potem wstał i odszedł, zostawiając mnie koło płócien i bagaży. Siedziałem, obejmując rękoma kolana i wpatrując się w niezwykłą, uwodzicielską potęgę ogromnego oceanu. Jak to było możliwe, że fale, załamujące się z hukiem i bijące raz po raz w ciemny piasek brzegu, wydawały się tak lekkie i miękkie? Jakim cudem taka siła wydawała się tak spokojna? Ta sama woda, która omal nie wystraszyła mnie na śmierć, w powoli zapadającym zmierzchu zapraszała do marzeń. Chętnie bym się w nich – bajecznych i dzikich – pograżył, gdybym nie usłyszał kroków ojca, powracającego z patykami i śmieciami na małe ognisko, które rozpałił pod osłoną wydmy. To było nasze pierwsze obozowisko. Jedliśmy herbatniki, podeschnięty chleb i ser. Ojciec podzielił się ze mną mlekiem. Potem, oczywiście, znów zgłodnieliśmy i zrobiło nam się zimno, ale mnie to nie przeszkadzało. Wdziąłem wszystko, co miałem ze sobą, i skuliłem się w zagłębieniu pod wydmą. Spełnienie chłopięcego marzenia – gwieździsta letnia noc razem z ojcem, przy nieustannych westchnieniach mrocznego morza i cudownym poczuciu, że naprawdę żyję i Bóg jeszcze nie chce, żebym umarł.

Obudziłem się nazajutrz o piątej rano i zobaczyłem, że ojca nie ma. Trwał przypyływ i fale uderzały głośniej. Mewy darły się pod błękitnym niebem, morski wiatr wpadał do zatoczki cicho szepczącą pustką, obiegał wydmy i wypadał, wyglądzając nasze ślady, aż plaża znów wyglądała jak pierwsze miejsce na ziemi. Wstałem szybko. Bagaż ojca leżał tam gdzie przedtem, a ja wyobraziłem sobie, że jak w jakimś koszmarze zamieniliśmy się rolami i teraz ojca porywa morze, podbiegłem więc do wysuniętej linii przypyływu i ogarnąłem spojrzeniem fale. Przez chwilę byłem pewien, że utonął. Chodziłem w tę i z powrotem po mokrym piasku, zapadając się w nim, wpatrując się w wodę i wołając ojca. Woda przelewała się radośnie przez moje buty, a mój głos nikł, zagłuszany przez morze. Gdzie on się podział? – myślałem. – Czy utonął? Czy tamten ciemny kształt w oddali to jego ciało, a mignięcie bieli to jego głowa? Mrużyłem oczy i wpatrywałem się, to nabierając pewności, że tak, to znów, że nie, już miałem się rozebrać i wskoczyć do wody, dając Bogu nową okazję ratowania mnie, tylko akurat przeleciała nisko mewa, ściągając moje spojrzenie i nakłaniając mnie, żebym się odwrócił, a tam, na płużącej się trawie, kilkadziesiąt metrów za wydmami, mój ojciec rozstawił sztalugi i z zapalem malował.

Osunąłem się na piasek. Musiał mnie przecież widzieć, musiał słyszeć moje wołanie,

myślałem. Dlaczego nie dał mi znać, gdzie jest? Przez pięć minut siedziałem na mokrym piachu. Nie pomachał ręką, nie zawołał, nie zareagował w żaden sposób, widziałem tylko jego wydłużoną sylwetkę pochyloną zawzięcie nad płótnem i szybkie, nagle pociągnięcia ręki z pędzlem. Wróciłem do obozowiska i położyłem się. Była piąta rano, miałem mokre nogi, szczypały mnie oczy i poznałem właśnie pierwsze w mojej tygodniowej edukacji prawidło sztuki: kiedy artysta coś zaczyna, wszystko inne, nawet miłość czy rozpacz, przestaje dla niego istnieć.

Gdy ojciec malował, świat niemieszczący się w polu jego widzenia przestawał istnieć. Dzień w dzień, gdziekolwiek na tym pięknym wybrzeżu się zatrzymaliśmy, ojciec robił to samo: wstawał, kiedy jeszcze spałem, ustawiał sztalugi na wprost morza i malował przez cztery godziny, mieszając żółć, czerwień, błękit i zieleń, rzucając na płótno burzliwe plamy koloru, w których na trzeci dzień, w przebłysku olśnienia rozpoznałem ni mniej, ni więcej samo morze. Nie malował nic innego, tylko morze; ale nigdy niebieskie czy zielone. Niebo nie było przejrzystą płachtą, którą widziałem, opadającą miękko ku zachodowi. Dla ojca, w jego obrazach, morze i niebo wyrażały coś innego, były bezustannym, a zarazem wciąż zmieniającym się monologiem Boga, wirującą mową tworzenia, czymś najbliższym samemu początkowi życia. Malował przez cztery godziny i wracał tam, gdzie ja akurat budziłem się ze snu – był wyczerpany, miał zapadłe policzki, długie zwichrzone brwi sterczały na końcach jak skrzydła nad zapuchniętymi oczami, z których wiatr wycisnął łzy. Kładł się, gdy wstawałem. Dawał mi pieniądze, żebym kupił coś do jedzenia, i zasypiał, kiedy szedłem do sklepu. Koło południa budził się. Jeżeli biwakowaliśmy blisko brzegu, rozbierał się i szedł popływać, czasami zabierał mnie ze sobą, żeby uczyć oddychania pod wodą. Utrzymywała się niepewna pogoda. Deszcz wciąż groził, że spadnie, ale nie spadał, zatrzymany w olbrzymich jasnych kontynentach chmur, które sunęły powoli nad moją spoczywającą na ziemi głową i łączyły się, stapiały ze sobą przez całe popołudnie w jeden ogrom bieli, przez który szczelinami przeziarał błękit niedosiężny jak niebo. Kiedy zjedliśmy chleb i herbatniki, ser, a czasem szynkę, i wypiliśmy na spółkę mleko, ojciec – o ile nie ruszaliśmy w dalszą drogę – zabierał się za malowanie drugiego obrazu, bo porannego płótna nie dotykał aż do świtu następnego dnia. Jeżeli wiał wiatr, do zaczętego wcześniej obrazu przyklejało się mnóstwo piasku i ojciec potem wbijał pędzlem drobne ziarenka w farbę.

Gdy pracował, wyruszałem na spacer – schodziłem na uczęszczaną plażę albo zwiedzałem miasteczko goszczące urlopowiczów, wesołe i pełne nadziei. Wszędzie widziałem rodziny, głośnie, luźne łańcuchy ludzi idących ulicą, wchodzących do sklepów i wychodzących, dzieci ze śladami lodów wokół ust i nosami osiodłanymi piegami. Czasem doczepiałem się do takiego łańcucha jako nieznaną brat, ostatnie ogniwo rodziny, przez chwilę ocierając się o zwykłe życie.

Po powrocie zastawałem ojca wciąż zajętego malowaniem. Popołudniowe obrazy różniły się od porannych. Z początku myślałem, że to z powodu zmęczenia i wypalającego mózg napięcia drugi obraz dnia wyrażał taką rozpacz i pośpiech. W popołudniowych obrazach płaskie wstęgi szarości przechodziły w czerń, kolory były przyciemnione, żółcie i błękity, które śmiało

rozjaśniały poranne prace, tutaj były ledwie widocznymi przeblyskami światła, niknącymi w kłębach ciemniejszych barw. Kiedy namalował ich ze cztery czy pięć, uspokoiłem się, gdyż zrozumiałem, że nie odzwierciedlają odczuwanego przez ojca gniewu czy żalu, lecz po prostu to, co widzi – zmienny humor Boga pod koniec dnia, niebo odbite w morzu jak starzejąca się twarz.

Najczęściej malował do ósmej wieczorem. Przyglądałem mu się z oddalenia, odrywałem wzrok od brzegu, na którym się zatrzymaliśmy, i patrzyłem na wysoką postać zgarbioną nad blejtrmem, na który morska bryza napierała jak na żagiel. Kamienie wzmacniające sztalugi zakotwiczały ojca na cały dzień w wybranym przezeń miejscu, trzymając go pod rozległym zachodnim niebem, którego mknący majestat i zmienność zdawały się szydzić z wszelkich prób uchwycenia go na płótnie. Czasami na pobliskiej drodze zatrzymywał się samochód, wysiadali z niego turyści, Niemcy lub Amerykanie, i szli powoli po kępach trawy do ojca. Zbliżali się niepewnie, nie wiedząc, czy powinni znać tego człowieka o długich białych włosach, czy też powinni przed nim uciekać. Ponieważ ojciec nie zaszczycił ich choćby spojrzeniem ani w żaden sposób nie okazywał, że dostrzega ich obecność, tylko mieszał i kładł farby, oddalali się równie niepewnie, jak przyszli, po czym odjeżdżali, znikając także z moich marzeń, w których oglądali ze zdumieniem obrazy, proponowali za nie wielkie sumy i ogłaszali mojego ojca geniuszem.

Wieczory były zimne i spokojne. Nawet po najcieplejszym dniu następowała chłodna noc. Wiatr od morza zmuszał nas do chowania się między wydmami. Nie miałem książek ani radia, więc siedziałem skulony na piasku i całymi godzinami wpatrywałem się w garby wysepek. Ojciec z reguły wcześniej szedł spać. Ale czasem po kolacji, zanim ułożył się w płaszczu na piasku, śpiewał piosenkę, a raczej rytmicznie deklamował jej słowa. Nigdy przedtem nie słyszałem, żeby śpiewał, więc tym silniej odczułem, że mam przed sobą całkiem innego człowieka niż ten, który siedział w domu, w bawialni. Tutaj wydawał się wypuszczony na swobodę, i mogłem sobie tylko wyobrazić, jak po cichu brzękał krepującymi go tak długo kajdanami urzędniczej kariery.

Jednego z pierwszych wspólnych wieczorów spytał mnie od niechcienia, czy mógłbym coś zaśpiewać albo powiedzieć. Płochliwym półszepem, który mieszał się z szumem fal, wyrecytowałem z pamięci kilka szkolnych wierszy, a potem, bez zastanowienia, zacząłem powoli deklamować fragmenty zawiłych zmyśleń Owidiusza i Wergilego.

– *Dine hunc ardorem mentibus addunt, Euryale, an sua cuique deus fit dira cupido.*

Brzmienie tych słów było tak miękkie i pełne w moich ustach, że samo ich wymawianie miało w sobie coś z magii, znikania, wznoszenia się i oddalania za rozbijające się fale i świecące w oddali światła na wyspach. Mówiłem po łacinie, a słowa ulatywały z wiatrem. Recytowałem jeden zapamiętany wers, potem drugi. Ojciec miał zamknięte oczy, ale słuchał uważnie, jakby to była muzyka, którą wiatr grał na gwiazdach.

Kiedy skończyłem, zasnął. Morze uderzało w odwieczny brzeg.

Odtąd co wieczór recytowałem łacińskie wersety. Ojciec niezbyt udanie coś odśpiewywał, potem milkł, a wtedy ja, pomijając szkolne wiersze, zaczynałem odprawiać czary łaciną, jakby łączyła nas niczym kochanków cicha umowa. Byłem tym równie zaskoczony jak ojciec i złapałem się na tym, że przechadzając się po nadmorskich miejscowościach, z utęsknieniem wyczekuję wieczoru. Z perspektywy czasu myślę, że zacząłem rozumieć, kim jestem, wysunąłem się drżący z wielkiego cienia rzucanego przez ojca. Dzięki łacinie mogłem się popisać. To nawet lepiej, że wydawała się tak całkowicie obca, a zarazem dziwnie stosowna nocną porą na dzikich otwartych przestrzeniach zachodu. Leżeliśmy w grajdole pod osłoną wydmy, wiatr hulał nad naszymi głowami, a ja recytowałem po łacinie. Nie uderzyło mnie wówczas, że sięgnąłem po Wergilego i Owidiusza z innego powodu niż wyczerpanie zapasu szkolnych wierszy. Pamiętałem tylko nagłe uczucie paniki, że muszę coś ojcu powiedzieć, bo mnie o to poprosił. Wówczas jeszcze nie wiedziałem, że dźwięki obcej mowy miały dla niego znaczenie symboliczne, że tamtej pierwszej nocy zabrzmiały w jego uszach jak trąby anielskie, potwierdzające ustami syna – jeżeli w ogóle potrzebował takiego potwierdzenia – że Bóg przybył na zachodni brzeg Clare, a niespodziewana słodycz świętego języka niosła wieść: Tak, Bóg sprowadził tu Williama Coughlana właśnie po to, aby malował morze.

Ostatniego dnia ruszyliśmy na południowy wschód, w kierunku stacji kolejowej. Wszystkie płótna, które ojciec przywiózł ze sobą, nosiły ślady pracy. Gdy się je widziało razem, robiły wrażenie, łączył je wspólny styl, ta sama wizja poranków i wieczorów, światło nateżające się, aby się rozprzestrzenić albo obronić przed napływem ciemności, blaski i refleksy powietrza i wody, które w tych obrazach nabrały ognistej intensywności. Ostatnie dwa obrazy jeszcze nie wyschły, i niosłem je osobno, złożone spodami do siebie, w specjalnej sznurkowej torbie, w której akurat się mieściły, jakby właśnie po to ją zrobiono. Jak wszystkie inne, także te obrazy były kawałkami morza, które zostawialiśmy za sobą.

Wracaliśmy ze smutkiem, ale także z poczuciem zwycięstwa. Ojciec zrobił to, co zamierzał zrobić, wyjeżdżając z domu, i teraz spieszno mu było do pracowni. Wędrowaliśmy w milczeniu drogą, a ja czułem, że już zaczynają w nas falować i szumieć wspomnienia znad morza. Nie sposób było tak po prostu odejść i zostawić za sobą zachodnie wybrzeże, więc kiedy szliśmy odwrócenymi plecami do błękitnego horyzontu, z lekko łopoczącymi na wietrze obrazami, każdym krokiem przewyżczaliśmy pokusę, aby zatrzymać się i zawrócić.

W barze z zapiekankami ojciec powiedział, że przez sześć dni nie będzie padać. Nigdy przedtem niczego nie przewidywał, więc z początku sądziłem, że wyraża jedynie swoje nadzieje, a nie pewność. Takie słowa rzuca się przed wyruszeniem w podróż, pomyślałem później, nie specjalnego się pod nimi nie kryje. Niepewne niebo, pod którym spaliśmy, nie sprzyjało prognozowaniu. Kapryśne powiewy znad Atlantyku sprowadzały coraz to inną pogodę, zmieniającą się kilka razy w ciągu jednego popołudnia, i odgrywały cztery części wietrznej symfonii – allegro, andante, scherzo i adagio – na załamujących się grzbietach białych fal. Chmury, grzmiące basy albo jasne dzikie arpeggia, nadciągały bez zwłoki. Przez cały czas wydawało się, że będzie padać, ale nie padało. Ojciec nie okazywał zatroskania, a piątego dnia, gdy po przebudzeniu zacząłem instynktownie wypatrywać na niebie pogodowej tonacji, uzmysłowiłem sobie, że przewidywania ojca nie wyrażały nadziei, lecz pewność: przez sześć dni nie będzie padać, i tyle. Ale my wyprawiliśmy się na siedem dni; rankiem tego dnia, gdy mieliśmy iść na stację, ojciec wyciągnął płachty przezroczystego plastiku, którymi starannie owinęliśmy obrazy. Dwoma w sznurkowej torbie zajął się osobno.

– Na te trzeba będzie szczególnie uważać, kiedy zaczną padać – rzekł. – Przykryjesz je dodatkowo moim płaszczem.

Wyruszyliśmy tego ranka w drogę pod niebem bladym i niczym się niewyróżniającym. Chłodnawe powietrze miało rzeźkość zapowiadającą następny miesiąc, drżącą nutę września. Zeszliśmy z pola, przedostaliśmy się przez potrójne druty kolczaste i zaczęliśmy podchodzić łagodnym zboczem, oddalając się od morza. Mijały nas samochody. Ojciec nie zwracał na nie uwagi, patrzył prosto przed siebie i tylko czasem zwalniał, żebym go dogonił, albo stawał na jakimś pagórku i oglądał się do tyłu, mierząc wzrokiem długą szarą wstęgę drogi, którą

przebyliśmy. Pociąg odchodził dopiero na drugi dzień z samego rana, więc czekał nas jeszcze jeden nocleg pod niebem, gdzieś w pobliżu stacji, i tam właśnie podążaliśmy z przytroczonymi do pleców obrazami, niczym wielgachnymi znaczkami z odległej krainy, a wzmagający się wiatr pchał nas naprzód. Koło południa pożegnaliśmy się z widokiem morza. Wczesnym popołudniem, w miejscowości Kilnamona, zaczęło padać. Ojciec zdjął płaszcz, żeby osłonić najświeższe obrazy, a gdy je szczelnie opatulał, krajobraz dokoła otoczył nas ciaśniej i kolory zbladły w mżawce. Jak szybko wszystko się zmieniło. Chmury przysiadły, jasność opuściła dzień, na ogrodzonych murkami polach zamiast pastoralnej zieleni zapanowała szara i smutna pustka. Miłami padał deszcz. Na krańcach nieba widać było strzępiaste chmury i lejącą się wodę, jak niezliczone pociągnięcia grubego pędzla z sobolej sierści. Rzeźkość i energia dnia spłynęły z deszczem. Wędrowaliśmy dalej w milczeniu, mijani przez samochody urlopowiczów. W prawym bucie zrobiła mi się dziura i chłoneła wodę, nogawki spodni zgrubiały i były cięższe, ale po chwili przyzwyczaiłem się do tego, bo taki marsz w deszczu dawał spokój i ukojenie. Wyobrażałem sobie, że wybieram się na drugą stronę deszczu, przesuwalem stopy jedna przed drugą jakby w cichym transie, mile znikwały pode mną, a deszcz wciąż moczył mi twarz. Ojciec nie odzywał się ani słowem. Jako jedyną osłonę miał miękki kapelusz, wyjęty z kieszeni płaszcza. Długie kosmyki włosów zbierały wodę i spuszczały po plecach ojca cienkie strumyczki. Chude łopatki wypychały mokrą koszulę i sterczały wysuniętą wysoko krawędzią, jakby lada chwila miały się wyciągnąć i rozłożyć w pierzaste skrzydła, które uniosłyby ojca naprzód ponad drogą. Takie rzeczy wyobrażałem sobie, idąc za nim w deszczu. Ojciec wydawał mi się jakimś legendarnym bohaterem, a każdy szczegół potęgował to wrażenie: przygarbiona postać, wysokie czoło, oczy mrugające na deszczu i wietrze i wpatrzone nieugięcie przed siebie. Kochałem go teraz tak jak nigdy przedtem i niosłem na ramionach coraz cięższe od wody, zawinięte w plastik i płaszcz obrazy, jako niezбитy dowód tej miłości. Za każdym razem, gdy ojciec zatrzymywał się i czekał, żebym go dogonił, przeżywałem chwilę takiego zadowolenia i szczęścia, wzbierającej we mnie miłości i dumy, że mu towarzyszyłem, że pozwolił mi na to, że zobaczyłem go od innej strony i teraz pomagałem wieźć do domu najwspanialsze obrazy, jakie kiedykolwiek namalował – że aż chciało mi się śmiać, ot po prostu, na drodze. Ojciec położył mi rękę na ramieniu, poprawił paski torby.

– Chcesz odpocząć? – spytał.

– Nie jestem zmęczony.

– Miniemy jeszcze jedno wzniesienie, dobrze?

– Dobrze.

I znów ruszamy dalej, deszcz wciąż pada, droga wiję się przez cichą, jakby wymarłą wioskę, ojciec wyprzedza mnie trochę, nie umiając skrócić kroku ani oderwać wzroku od horyzontu. Po południu wygląda, jakby poszedł pływać w niebie. Chmury zgęstniały i zeszyły niżej. Dziury w drodze zmieniły się w szare kałuże, rozchlapywane przez samochody uciekające gdzieś, byle gdzie, przed deszczem. Pod kapiącym zielonym kasztanowcem zatrzymaliśmy się na posiłek.

Chleb zwilgotniał, herbatniki też. Pień wielkiego drzewa pachniał mocno i słodko jesienią, a my usiedliśmy u jego podnóża i patrzyliśmy na ciemny ślad, który wydeptaliśmy w srebrzystej trawie. Właśnie to pamiętałem, gdy po latach wróciłem tam i szukałem tego kasztanowca. Ten krótkotrwały ślad po naszym wspólnym zejściu z drogi pod drzewo, to miejsce, gdzie przez chwilę wszystko było doskonałe, gdzie siedzieliśmy obok siebie – ojciec i syn – słuchając szelestu liści i jedząc w milczeniu, gdzie mój ojciec przyłożył pobrudzone farbą dłoń do twarzy, otarł ją z deszczu, a kiedy już mógł swobodnie patrzeć, podniósł wzrok na mnie i rzekł:

– Bardzo mi pomogłeś, Nicholasie. Cieszę się, że przyjechałeś.

Tylko tyle, ulotna chwila u kresu znaczonego w trawie szlaku, pod kapiącym rozłożystym kasztanowcem. Gdybyśmy poszybowali między chmury, byłbym szczęśliwy na wieki. Gdybyśmy się tam położyli, zagrzebali jak zwierzęta w słodkim brunatnym zapachu drzewa, odgrodzeni od świata zasłonami deszczu i woniami jesieni, wszystko zostałoby tak, jak było. Zapanowałby spokój.

Kiedy skończyliśmy jeść, siedzieliśmy jakiś czas w milczeniu, nasłuchując i wyglądając spod drzewa. Zupełnie jakby żaden z nas nie chciał wyjść z zielonego połyskliwego zacisza tej chwili, mżącej spokojem. W końcu ojciec poruszył nogami i rzekł:

– Jeżeli tu dłużej zostaniemy, możemy się przeziębic.

Chodź. Napijemy się gorącej herbaty gdzieś po drodze.

Zeszliśmy z pola, zostawiając za sobą drzewo, i znów pomaszerowaliśmy drogą, zabierając tylko wspomnienie. Deszcz wydawał się zimniejszy i posuwaliśmy się naprzód wolniej, ale pod wieczór zobaczyliśmy w oddali dachy miasteczka przycupniętego pod chmurami. Stanęliśmy na ostatnim wzgórzu, a potem zeszliśmy z głównej drogi na wąską dróżkę. Krowy pasły się na białych ścierniskach po późnym pokosie traw. Wyprzedzając nieco krowy, stadka kosów podfruwały i przysiadły na łąkach.

– Tu niedaleko jest stara stodoła – powiedział mój ojciec, idąc przodem między żywopłotami do świeżego siana ułożonego wysoko pod czerwonym blaszanym dachem.

Nieopodal stała opuszczona zrujnowana chata, ziejąc wielką dziurą w zapadłej strzesze. Ze stodoły korzystał farmer z sąsiedztwa, ale ponieważ zwieziono siano i zapadał wieczór, mieliśmy tu zapewnione schronienie przed deszczem i nocleg. Zresztą nie ma nic lepszego niż pograżenie się w snach na posłaniu z siana, jak powiedział mój ojciec, zrzucając z pleców ciężar swoich dzieł i z westchnieniem wyciągając się na plonach zebranych z łąk. Popatrzyłem na niego. Miał zamknięte oczy i leżał całkiem nieruchomo. Przez chwilę myślałem, że już śpi, że gdy zaczął się kłaść i nawet jeszcze nim legł na sianie, dopadły go sny i zapanowały nad nim całkowicie. Ostrożnie zdjąłem z ramion siatkową torbę i położyłem obrazy, nie rozpakowując ich z płaszcza. Minęła minuta. Ojciec ani drgnął, Deszcz spływał z dachu stodoły. Kolejna minuta. Spojrzałem na ojca. Spał. Chciałem po cichutku przysiąść, żeby zaczekać, aż się obudzi, ale w tym momencie usiadł.

– Nicholas – powiedział. – Ruszaj się, musimy iść.

– Co?

– Herbata.

Podniósł się z dwuminutowego snu z szeroko otwartymi oczami, przeciągnął ręce jak skrzydła, a potem chwycił mnie za ramię i wyprowadził znów na deszcz.

– Wszystko zostawiamy – rzekł. – Niedaleko jest pub, zaraz wrócimy.

Pociągnął mnie za sobą, narzucając szybkie tempo. Pomyślałem, że wyglądamy, jakbyśmy uciekali z miejsca zbrodni, prawie biegliśmy wąską dróżką, aż dotarliśmy – mokrzy i zdyszani – do małego pubu połączonego ze sklepem. Stanęliśmy na kamiennej podłodze w brązowym świetle i ociekaliśmy z wody. Prócz nas nie było żadnych gości. Z drugiej strony domu, unosząc zasłonę, nadeszła przysadzista kobieta w niebieskim fartuchu.

– Taak? – powiedziała powoli.



– Chcielibyśmy prosić o imbryk herbaty – odparł ojciec, zostawiając na podłodze mokre ślady butów i nachylając się nad szynkwasem.

Kobieta popatrzyła w górę na ojca, a potem szybko na mnie.

– Taak – powtórzyła, obróciła się i wytoczyła za zasłonę.

Usiadłem razem z ojcem przy jedynym stoliku. Obudził się ze snu nagle i tak się potem śpieszył, jakby gnały go wyrzuty sumienia z powodu niemal zapomnianej obietnicy herbaty. Tak z początku myślałem, ale teraz, gdy siedzieliśmy naprzeciw siebie w tydzień po podwieczorku w małym barze, zrozumiałem, że chodzi o coś więcej. Umiałem już trochę czytać w jego twarzy, w pogłębiających się bruzdach na czole, w wyrazie oczu. Ojciec obrócił się do drzwi i gdy dostaliśmy herbatę, popijał mdły płyn z kubka z brązowym osadem, nie spuszczać z nich wzroku. Postukiwał palcami, wykrecał je, zaplatając dziwne węzły, strzelające i rozluźniające się w pustym powietrzu. Pociągnął duży łyk herbaty. Była tak gorąca, że odchylił głowę z otwartymi ustami, studząc sparzone gardło, po czym znów zapatrzył się w drzwi. Kogo ani czego oczekiwał, nie miałem pojęcia. Przyzwyczailem się do zmiennych humorów ojca, do niespodzianek i tajemniczości przypisanych do jego charakteru, pomnażających go i nieodłącznych jak członki. Miał swoje powody – byłem tego pewien – żeby siedzieć ze wzrokiem utkwionym ponad moim ramieniem i po prostu czekać na znak, co ma robić dalej.

Zaczekał, aż wypilem herbatę. Spieszyło mu się do wyjścia, czułem to, chciał się znaleźć po drugiej stronie tych drzwi, ale pohamował się i spytał, czy mam ochotę na jeszcze. Potem zapytał, ile jest winien, wyjął wilgotne pieniądze z kieszeni spodni, zapłacił i nie zwlekając, wyszedł ze mną na deszcz. Spodziewałem się, że coś mi powie, kiedy z bijącym sercem starałem się dotrzymać kroku jego galopującym nogom, a niebo zlewało nas potokami wody. O co chodzi? Co się dzieje? Deszcz przemoczył ojcu koszulę na ramionach. Prześwitująca skóra wydawała się bardziej delikatna i podatna na zadrażnienia, niż gdyby był nagi. Deszcz siekł w żywopłoty. Szliśmy szybko, a potem nagle biegliśmy, biegliśmy tak gorączkowo, długimi chlapiącymi susami, że od razu wiedziałem: nie pędzimy, żeby uciec przed deszczem, ale żeby wrócić do obrazów.

Obrazy, obrazy.

Nie mogłem nadażyć. Ojciec wyprzedził mnie o dwa, potem o trzy kroki, rozbryzgując kałuże jak szarżujące zwierzę, i tak pracował rękami, że łokcie chodziły mu jak tłoki. Na jakieś sto metrów przed stodołą zaczął krzyżeć. Wydarty z głębi piersi, zdyszany długi ryk pobiegł przed nami pustą dróżką w deszczu. Krzyk lęku, zwątpienia, protestu przeciw Bogu rozbrzmiewał, gdy wypadliśmy z ostatniego zakrętu, minęliśmy zrujnowaną chatę i dobiegliśmy do stodoły. Ojciec stanął jak wryty Skamieniał na deszczu, wysoki i biały, wpatrując się w sześć krów, które wydostały się z pastwiska, rozwłóczyły siano i dopóty trącały pyskami i szarpały plastik osłaniający obrazy, dopóki brutalnym przypadkiem nie przebiły kopytami całej sterty, niszcząc nieodwracalnie wszystkie płótna oprócz tych dwóch, które niosłem w sznurkowej torbie.

Ojciec, kiedy to zobaczył, znieruchomiał. Stał tak, gdy się z nim zrównałem, stał tak, bez

poruszenia, gdy pogoniłem krowy przez dziurę w ogrodzeniu z powrotem tam, skąd przyszły. Stał w deszczu, wciąż w tym samym miejscu, jakby czekając, aż razi go grom. Ponieważ nic takiego nie nastąpiło, schronił się pod dachem stodoły. Kiedy wróciłem, siedział na sianie, trzymając rozlatujące się, przedziurawione obrazy. Moje łzy mieszały się z deszczem.

– Usiądź, Nicholas – powiedział tak cicho, że ledwie dosłyszałem jego słowa pod bębniącym dachem. – Usiądź powtórzył.

Nastąpiła chwila milczenia, a raczej nie chwila, a wielka dziura w brzuchu naszego życia. I zakrwawiła nieartykułowany szmer deszczu. Potem mój ojciec wymamrotał pod nosem:

– To jest próba, to jest próba. – Wypuścił z rąk obrazy, położył się na sianie, zamknął oczy, jakby nie chciał patrzeć na niewiarygodną i oburzającą interwencję Boga w swoje życie, i szepnął: – Mów po łacinie, Nicholas, mów po łacinie.

Deszcz padał. Recytowałem słowa, których ojciec chyba nie rozumiał. Rozchodziły się po stodole tajemnicze i dziwnie kojące, wyrażając w drzeniu mojego głosu coś z niezgłębionej zagadki miłości. Ojciec nie mógł powstrzymać łez, które spływały spod zamkniętych powiek.

Margaret Looney wiedziała, co to miłość. Odkryła ją przypadkiem, wiele lat temu, pewnego jasnego wiosennego dnia w Killybegs. Muiris był w mieście zaledwie od tygodnia, zastępując chorego nauczyciela McGinleya. W ten rozsloneczniony wtorek przyszedł nad zatokę i wstąpił do Doherty'ego po gazetę. Margaret stała za ladą z trzema jabłkami i od razu wpadła mu w oko. Zamienili kilka słów, nic więcej, ale gdy każde poszło w swoją stronę, już nieśli w sobie załączek wspólnego życia. Od tamtej pory, kiedy Margaret widziała Muirisa, jej serce przepełniało się tkliwością. Zamykała oczy i wyobrażała sobie, że szczęście aż się w niej przelewa i w żaden sposób nie mogłaby go więcej w sobie pomieścić. Kiedy jednak tak się stało, kiedy tydzień później wziął ją pod rękę i poprowadził brzegiem zatoki, gdzie wysokie kadłuby niebieskich i czerwonych łodzi rozsiewały w powietrzu oszołamiający zapach ryb, myślała, że chyba pęknie. Pochodziła z Donegal, a on z małej wysepki. Był nie tylko nauczycielem, ale także poetą, i kiedy szli brzegiem morza, recytował wiersze. Przy niewysokim wzroście poruszał się zdecydowanie i okazywał niezręczną galanterię, dzięki czemu w jej zakochanych oczach sam stawał się częścią poezji. Z każdym dniem kocham go coraz mocniej, mówiła do lustra w sypialni. Wracała do domu późno i siedząc w świetle gwiazd, zamyślała się w zdumieniu nad tym, co dzieje się z jej życiem. Za oknem kołysało się morze, firanka powiewała jak ślubny welon. Margaret obejmowała się rękoma w półmroku i zapadała w sen, w którym Muiris pojawiał się i znikał jak światło księżycy za chmurą. Rano, ledwie otworzyła oczy, serce podchodziło jej do gardła. Drżącymi palcami zapinała sukienkę. Boże, co ja zrobię? – zadawała sobie pytanie.

Zwykle czynności dnia codziennego były ponad jej siły. Dotykała palcami ramion, wyobrażając sobie przez chwilę dotyk jego palców. O Boże. Siedząc w oknie na pięterku wychodzącego na morze domu, w którym się wychowała, chwyciła pióro, żeby spróbować do niego napisać. Wszystko, co mówił, było takie ciekawe, barwne i cudowne, a ona wydawała się sobie taka nieciekawa i zwyczajna. Cóż mogła powiedzieć komuś takiemu jak on? Kreśliła kółka i spirale w rogach kartki. Powiał wiatr, więc przytrzymała kartkę, jakby zabierała się właśnie do pisania. Właściwie co mu chciała powiedzieć? Raptem wiatr ucichł i w jednej chwili, którą miała odtąd wspominać, rumieniąc się ze śmiechem, napisała do Muirisa Gore'a jedyny w życiu list miłosny:

Drogi Muirisie, drogi, drogi, drogi, zabierz mnie ze sobą.

Twoja kochająca Margaret Chwyciła koszyk stojący koło stołu w kuchni i wybiegła z domu do miasteczka, przez które szła z twarzą płonąca żarem uczuć i uśmiechem igrającym wokół ust. Morze tego wiosennego ranka miała zapamiętać na zawsze. Jego ciągle wzdychanie, dzień i noc, niczym namiętny akompaniament, a nawet ciężkie zapachy połyskliwych, rzucających się ryb, srebrzystego życia oceanu, schwytanego, wydobytego i wyrzuconego na przybrzeżny pomost, miały nasycić wspomnienia tamtych dni. Miłość wszystko odmieniła. Wionęła przez rodzinne miasteczko i sprawiła, że wydawało się niezwykle, naładowane życiem. Margaret zostawiła liścik

dla Muirisa w jego kwaterze i pośpiesznie wróciła do domu, żeby tam na niego czekać.

Przyszedł godzinę po szkolnym dzwonku, kończącym popołudniowe zajęcia. Wziął ją za rękę i poprowadził koło szkunerów i trawlerów, których rdzewiejące burty skrzypiały w porcie Donegal, jakby to były malowane na czerwono i czarno drewniane weneckie gondole, kołyszące się na tle zachodzącego słońca.

Margaret Looney wiedziała, co to miłość. Serce wyrywało jej się z piersi. A kiedy całowała się z nauczycielem na tyłach O'Donnella, w mżącym deszczu, czuła się tak, jakby oddała mu swoje życie. Pod koniec tego wieczoru, gdy poprosił ją o rękę, nie widziała innej możliwości, jak powiedzieć „tak”, a gdy trzy tygodnie później zaczął z zapalem mówić o podjęciu pracy nauczyciela na małej wysepce, słuchała jego słów z pewnym zakłopotaniem, rozpoznając w nich coś znajomego, jakby ktoś odczytywał końcowe rozdziały z dziejów jej życia.

Popłynęli na wysepkę, gdzie czekała na niego praca. Margaret nigdy przedtem tam nie była, nie widziała tego miliona kamieni, nie czuła uciskającej głowę absolutnej szarej ciszy, mokrego zimowego znieruchomienia. To nie burze przerażały, ale właśnie cisza, wrażenie, że wysepka zerwała się z kotwicy i odpływa powoli na fali zapomnienia. Muiris jeszcze wtedy nie pił, a przynajmniej nie tyle, ile później, kiedy przyszły na świat dzieci, Isabel i Sean, on zaś obudził się pewnego ranka ze świadomością końca poezji. W księdze swojego małżeństwa Margaret znalazłaby wiele kart wspomnień, takich „przed” i „po”, z czasów Donegal i z czasów wyspiarskich. Wspominała i rozmyślała nad tym, jak z początku jej mąż marzył, że tchnie w atlantycką wysepkę greckiego ducha kultury i sztuki, jak założył w szkole grupę literacką i w każdy czwartek, nawet w wietrzne zimowe wieczory, ściągał na zajęcia prawie wszystkich chodzących o własnych siłach mieszkańców wyspy, którzy zasiadali nad rozdanyimi zeszytami z piórem w rękę i czekali na natchnienie, podczas gdy wichura zrywała dachy z domów. Kiedy dwa lata później wydano w Galway pierwszy cienki zbiorek ich prac, Muiris Gore dodał od siebie tylko krótką przedmowę po irlandzku, którą przeczytali i zrozumieli nieliczni recenzenci, widząc w niej ostry atak na rząd Irlandii, udzielający nader skąpej pomocy wyspiarzom. Kiedy Margaret czytała tę przedmowę, siedząc w łóżku pod grubą warstwą kołder i koców, zobaczyła w zawartym w niej gniewie coś więcej, historię swojego życia, i zadała sobie pytanie, jak zalotna miłość z Donegal mogła tak skwaśnieć. Teraz już wiedziała, że nigdy stąd nie wyjadą, że wyspa pozostanie ich domem, a dla męża, rozczarowanego szybkim i strasznym unicestwieniem poezji, którą w sobie nosił, naga, posępna wysepka była w sam raz – skała na morzu, po trosze raj, po trosze więzienie.

Wtedy właśnie, leżąc w łóżku koło śpiącego męża, Margaret Looney uświadomiła sobie, że miłość nie tylko napełnia serce, ale też z niego wypływa, że jeśli jej serce rosło i pęczniało w ciągu tych pierwszych tygodni dziewczęcego zadurzenia w Donegal, przepełniając się tak, że omal nie pękła, to teraz, w nadchodzących latach, miało się powoli, kropla po kropli, wykrwawiać. Wszystko, co nagromadziła, musiała oddać. Dzień po dniu, przyzwyczajając się do niedogodności i niewygód – stukania szyb smaganych wiatrem całymi miesiącami, deszczu

podciekającego pod drzwi, nieobecnego w domu i pijącego męża, odciętej elektryczności, głuchego radia, nudy, ciszy i niewiarygodnej samotności – Margaret Looney wspominała, jak poznała miłość, i zastanawiała się, jak wielkie musiało to być uczucie, skoro tak długo trwa.

Kiedy Isabel przyплыnęła wielkanocnym promem, ojciec podał jej ramię i poprowadził z przystani do domu, ściskając z ulgą jej rękę i ciesząc się, że wróciła cała i zdrowa, a dręczące go od miesięcy ponure przeczucia okazały się bezpodstawne. Wypita w porze obiadowej whiskey dodała mu animuszu i oddaliła troski, więc wiódł córkę po kamienistej ścieżce jak zwycięzca powracający ze skarbem z wojennej wyprawy. Kiedy otworzyły się drzwi domu i Margaret Gore zobaczyła Isabel, od razu domyśliła się wszystkiego. Szybkim ruchem ręki otarła cisnące się do oczu łzy i pobiegła przez kuchnię, żeby pochwycić córkę w ramiona.

Tego wieczoru wszyscy mieszkańcy wyspy, dorośli i dzieci, zgromadzili się w małym kamiennym kościele, przycupniętym w cieniu szarego wzgórza. Trwał Wielki Tydzień. Pod gniewnymi chmurami, siąpiącymi raz po raz deszczem, kościół szumiał modlitwą. Isabel siedziała z Seanem koło matki i ojca. Mówiła słowa modlitwy i patrzyła na stacje Męki Pańskiej, ale myślała tylko o Peaderze i na wspomnienie jego dotknięć oblewała ją od stóp w górę ciepła fala. Kiedy dłużej wpatrywała się w świece, zaczynały tańczyć jej przed oczami. Nagle zrobiło jej się gorąco i poczuła się źle. W ławkach panował ścisk, za mocno podkrecono grzejniki. Powietrze było jasnoszare od modłów i woni zgrzanych ciał. Isabel raptem pobladła i poczuła, że się przewraca. Wyprostowała się, przerywając modlitwę, i podchwyciła zaniepokojone spojrzenie matki – ten moment przeszył duszę Isabel strzałą olśnienia: matka już wie. Córka zarumieniła się i powoli zaczęła się osuwać, jakby miała zemdleć, ale matka w porę przytrzymała ją za ramię.

Niedzielę i poniedziałek wielkanocny Isabel spędziła w łóżku. Sean siedział koło niej na wózkach i drzemał. Ojciec przychodził i pytał ją, jak się czuje. Może zaraziła się czymś w Galway? Margaret Gore nie zadawała pytań. Gotowała zupy i potrawy, a potem, uciekając się do sekretnej języka własnej miłości, karmiła córkę wszystkimi możliwymi gatunkami ryb. Przez cztery dni Isabel nie miała siły wstać. Strach kładł się ciężką łapą na jej zwilgotniałym czole i przygniatał do łóżka. Wyobraziła sobie, że jest w ciąży, że ma taki szczególny wyraz twarzy lub oczu, który matka potrafi dostrzec i odczytać u swojej córki. Obróciła się i wcisnęła twarz w poduszkę. Wiara i gorączka miłości znów w niej zawrzały, zobaczyła twarz Peadera i zaczęła na nowo planować swoją przyszłość, aż wszystko ułożyło się pomyślnie: opuści szkołę przyklasztorną i wyjdzie za mąż, urodzi dziewczynkę, która wyrośnie na tancerkę, a mieszkać będą nad sklepem w Galway. W końcu opowiedziała wszystko Seanowi. Opowiedziała zdyszczym szeptem, gdy za oknem padał rześisty deszcz, a matka smażyła rybę w kuchni. Mówiła z takim przejęciem, aż migotały bielone ściany sypialenki i zdawało się, że na łóżku leży jej bijące, żywe serce. Kiedy przestawała mówić, miała ochotę znowu zacząć. Nie mogła się powstrzymać od powracania do tego samego, od wspomniania wciąż od nowa – zupełnie jak jej matka w kuchni – kolejnych etapów, od śledzenia dzień po dniu tajemnicy budzącej się miłości.

Sean siedział i słuchał, a gdy Isabel ujęła jego dłoń i uścisnęła, w odpowiedzi też ją uścisnął. Kiedy leżała na poduszce w ciemnej fali włosów, spała i wzdychała, przewracała się z boku na

bok to wspominając, to śniąc, on siedział przy oknie wychodzącym na morze i czasami, bezgłośnie, oplakiwał utratę siostry.

Wtorkowym promem nadszedł list z klasztoru. Odbierając list w progu kuchni, Margaret Gore miała poczucie, że go wyczekiwała. Gdy jej mąż jeszcze spał, schroniła się w wilgotnym zaciszu łazienki. Ręce jej drżały, kiedy czytała o kłopotach Isabel z koncentracją, bardzo słabych wynikach na próbnym egzaminach, weekendowych odwiedzinach kuzyna oraz o tym, że jeżeli będzie miała takie wyniki z egzaminów czerwcowych, z pewnością nie dostanie się na uniwersytet.

Złożyła starannie list i wsunęła do koperty. Miała w ręku dowód, w istocie zbędny, że to jednak miłość, jak słusznie odpowiedziała jej intuicja. Stała bez ruchu. Za otwartym oknem krzyczały mewy, zataczając łuki nad szarymi skałami i morzem. Jedna frunęła tuż-tuż, niosąc w dziobie coś porwanego z odpadków na tyłach sąsiedniego domu. Morskie powietrze i ostre krzyki ptaków napełniły łazienkę wspomnieniami z Donegal. Ze wzrokiem utkwionym w okno matka Isabel przedarła list na pół, potem jeszcze raz na pół i jeszcze raz, a na koniec posłała skrawki papieru z wiatrem, żeby prawda zginęła, a zwyciężyła miłość.

Margaret Gore nie powiedziała nic ani córce, ani mężowi i po przerwie wielkanocnej Isabel wracała do klasztoru po gładkim morzu ulgi. Nie była w ciąży. Matka ze łzami uściskała ją w progu domu, Sean leżał w łóżku i przyjął pożegnalny pocałunek, drżąc i spoglądając błagalnie, a ojciec odprowadził ją na prom. Myślał, że doszła do siebie po chorobie, którą kładł na karb nerwów przed egzaminami. Na przystani przycisnął do jej twarzy kłujący białym zarostem policzek i powiedział ze wzrokiem błyszczącym wyspiarską dumą, że kiedy następnym razem się zobaczą, będzie się wybierała na uniwersytet.

Machał z pomostu do Isabel, która płynęła z powrotem do portu miłości. Na brzegu w Galway czekał na nią Peader. Wziął od niej torbę i otworzył drzwiczki auta. Silnik już pracował i kiedy Isabel usiadła na fotelu pasażera, zapachy starego tweedu i psów gwałtownie pobudziły jej pamięć, w jednej chwili rozprasząc wszelkie niepokoje i lęki. Wróciła. Nic się nie zmieniło. Serce wyskakiwało jej z piersi, gdy zobaczyła Peadera, i musiała podnieść rękę do ust, żeby powstrzymać uśmiech. Peader wskoczył na fotel obok i przestawił biegi, też się uśmiechając. Żadne z nich jeszcze nie było w stanie zapytać, co u ciebie, ani powiedzieć coś miłego czy zażartować, tak ich dławiała, jak im się zdawało, wzajemna namiętność.

Coś się jednak zmieniło. Gdyby Margaret Gore porozmawiała z córką, mogłaby jej o tym wspomnieć. W miłości wszystko się zmienia, zmienia nieprzerwanie. Nie ma bezruchu, zegar serca nie staje, aby zatrzymać na zawsze chwilę szczęścia, jest tylko bezustanne parcie naprzód pragnienia i pożądania, ciągła huśtawka, w górę i w dół, w górę i w dół, zwątpienie, a potem pewność, która w jednej chwili staje się znów zwątpieniem.

Ledwie Isabel zobaczyła Peadera, poczuła, że nic się nie zmieniło. Chciała go dotknąć, żeby się upewnić, ale nie zrobiła tego – złożyła ręce na podołku zielonej sukienki, odrzuciła do tyłu włosy, z uśmiechem wyjrzała przez boczne okno i oddychała dziwnym oddechem miłości, która

tak nią zawładnęła.

Minęli klasztor i wyjechali z miasta. Peadar ostro wyhamował na bocznej drodze i zgasił silnik. Nie mógł już dłużej wytrzymać. Przez dziesięć dni obracał się na różne pożądanía, nie spał, dręczony wspomnieniami smaku jej pocałunków i dotyku skóry. Kiedyś tęsknił tylko do tego, żeby być blisko niej, chodzić razem z nią długimi, cichymi, opuszczonymi drogami w zachodnim deszczu, ale teraz to uczucie się zmieniło, nabrało natarczywości. Przez dziesięć dni wielkanocnych chodził jak błędny po sklepie i po mieście, ugiął się pod belami materiału, wciąż na coś wpadał, wbiegał na górę, kiedy wchodziła matka, dusząc się zapachem jej kremów i pudrów, i otwierał okna na poddaszu, choć padał rześisty deszcz. Nic nie jadł, ale za to pił bez umiaru. Co wieczór, po powrocie ze spaceru z psami, siadał w pubie i zaczynał wychylać czarne kufle spokoju i zapomnienia. Ale spać i tak nie mógł. Ciarki chodziły mu po skórze, jakby ona wciąż go dotykała. Nie mógł się oderwać od wspomnień i przekonał się, że we wspomnieniach uczucia, jakich doświadczył, były jeszcze silniejsze. Przez dziesięć około wielkanocnych dni życie Peadara było piekłem o imieniu Isabel. Teraz, kiedy zatrzymał samochód w polu, gdzie, patrząc na rozrzucone w trawie głązy, Isabel widziała pokruszone pradawne serca, obrócił się do dziewczyny, bez której nie mógł żyć i, wplątawszy palce w jej włosy, przyciągnął ją do siebie z gwałtownością gniewu. Tym razem kochał się z nią ostrzej. Tym razem okazał więcej pożądanía niż czułości i gdy Isabel siedziała później w swoim klasztornym pokoju, czuła się tak, jakby pokonała kolejny próg, wkroczyła na nowy, podniecający i niebezpieczny teren, który nie będzie jej łatwo opuścić. Leżąc w łóżku pod bezgwiezdnym niebem, przy zgaszonym świetle, zamknęła oczy i poczuła pierwsze sińce na piersiach, znaczone jego ustami.



Zapowiadało się gorące lato. W czerwcu Isabel przystąpiła do egzaminów, a kiedy wychodziła z sali, wyglądało to, jakby odrzucała stare życie niczym skorupę. Jakież miały teraz znaczenie te wszystkie pytania i odpowiedzi? Była zakochana. Chodziła wsparta na ramieniu Peadera, wybierała się na wieczorne przejażdżki małym czerwonym samochodem, rozsierdzając tym zakonnice, które z niemą złością i gniewem śledziły upływ ostatnich dni nauki szkolnej i czuły, jak topnieje ich władza. Ostrzegły Isabel, więc zrobiły, co mogły. Powiedziały, że nie dopuszczają jej do wszystkich egzaminów, jeżeli nie będzie siedziała i pisała aż do dzwonka. Ale ja nie mogę, oznajmiła siostrze Magdalenie, stojąc przed nią w hallu, gdzie od drzwi wejściowych ciągnął słodki oddech nowej woni. Jest tak pięknie na dworze, prawda, siostro? Czy Bóg nie chce, żebyśmy wyszły i podziwiałały to, co stworzył ku Swojej chwale? Po tych zuchwałych słowach zakonnica obróciła się na pięcie. Na szczycie schodów rozległy się szepty i pośpieszne szuranie – nasłuchujące dziewczęta pochowały się w swoich pokojach. Siostra Magdalena najchętniej zbiłaby Isabel, ale powstrzymała się i pomaszerowała lśniącem korytarzem, niosąc w sobie niezadane razy i gotując się ze wściekłości. Zniknęła jej z oczu za masywnymi drzwiami, które prowadziły do kaplicy, gdzie uklękła i modliła się, ofiarowując swoją pasję i odnajdując wreszcie ulgę w błogim przekonaniu, że Bóg ukarze krnąbrną dziewczynę, nad którą Jego służebnice zupełnie straciły kontrolę.

Galway różowiało w słońcu. Czerwcowe poranki wstawały olśniewająco błękitne nad kamiennym miastem, a przy brzegu łódzie sunęły po gładkiej tafli znieruchomiałego Atlantyku. Taki czas sprzyjał miłości. Zdawało się, że samo powietrze ma w tym swój udział. Gdy egzaminy dobiegły końca, Isabel napisała do rodziców, że podjęła pracę w jednym z najlepszych sklepów z wełną i tweedem, u O’Luinga.

(Gdy list dotarł na wyspę, również i tym razem otworzyła go i przeczytała Margaret. Jej mąż wyprawił się wczesnym rankiem z rybakami, była więc sama. Przeczytawszy list, siedziała długo w otwartych drzwiach kuchni, trzymając w ręku pojedynczą zapisaną kartkę. Teraz już wiedziała, kim jest ten chłopak. Wystarczy popłynąć na łódź po zakupy i może go sobie obejrzyć. Tylko co powie Muirisowi, zastanawiała się. Schowała list do kieszeni fartucha i stanęła w drzwiach domu, spoglądając ponad sięgającym ramion kamiennym ogrodzeniem na inne drzwi, gdzie stała wpatrzona w nią Maire Conaire, której córka właśnie przyjechała od zakonnice).

To był bardziej pomysł Isabel niż Peadera. Z każdym dniem egzaminów rosło w niej poczucie, że coś się kończy.

Dobiegł kresu pewien etap jej życia i po raz pierwszy nie pragnęła wrócić na rodzinną wyspę, żeby patrzeć na chmury uczniów, przyplływających promem, i słuchać niosących się nad wodą dziecinnych głosów i łamanego irlandzkiego. Chciała rozpocząć nowe życie i nieoczekiwanie przyłgnęła do Peadera O’Luinga, widząc w nim swego wybawcę. (Matka mogłaby jej powiedzieć, że miłość rodzi się po części w wyobraźni, oplatając swoją siecią równie

mocno w ciemne, samotne, stęsknione wieczory, jak w czasie wspólnie spędzanych chwil. Gdyby Isabel przyjechała do domu, nie osłabiłaby miłości, może wręcz przeciwnie. Ale Margaret nie napisała o tym do córki. Dwie godziny siedziała z piórem w ręce, obmyśliła z tuzin różnych listów, ale w końcu napisała tylko, że będą za nią tęsknić, i wyraziła nadzieję, że Isabel nie przestanie do nich pisywać równie często, jak do tej pory).

Poprosiła go, kiedy siedzieli w samochodzie zaparkowanym na drodze nieopodal Oughterard. Peader, powiedziała, nie wracam do domu na lato. Chcę zostać w Galway. Domyślał się, co usłyszy po tym wstępie, i pierwszy raz poczuł się od niej starszy. Przecież ledwie skończyła szkołę, była podlotkiem. Kiedy przysunęła się bliżej, przebiegł mu dreszcz po karku. Miesiąc temu martwił się, co będzie latem; jeżeli dziesięć dni ferii wielkanocnych okazało się taką udawką, czego mógł się spodziewać w lecie? Teraz jednak, gdy Isabel była przy nim, całowała go w policzek i prosiła o pracę w sklepie ojca, Peader nagle poczuł się nieswojo. Kiedy słuchał, jak Isabel mówi, że przydałby im się ktoś do pomocy w sezonie turystycznym, kiedy zgodził się ją zatrudnić, wiedząc, że nie ma takiej potrzeby i nie więcej niż dziesięciu turystów wkroczy nieśmiało do ciemnego sklepu, żeby zamówić garnitur albo kupić wełniany materiał, cały czas czuł się rozdarty między uczuciami, których nie rozumiał. Coś się w nim zmieniło tamtego wieczoru, gdy Isabel zjawiała się pośród klienteli baru. Owszem, nadal uważał ją za najpiękniejszą dziewczynę, jaką w życiu widział, rozplomieniała go i kiedy siedziała koło niego w samochodzie, po kilku minutach pragnął dotknąć jej twarzy. Ale przy tym wszystkim wyglądało na to – jak zwierzył się później greyhoundom, leżąc koło nich w szopie na kocu i uzmysławiając sobie straszliwą tajemnicę swojego serca – że z chwilą, gdy Isabel się w nim zakochała, on się odkochał.

Peadar O’Luing dał Isabel Gore pracę i obudził się na drugi dzień z myślą, że musi powiedzieć o tym matce. Zrobił to na wąskich schodach, tuż pod dachem, matka z okrzykiem „Chryste!” podskoczyła zdumiona na stopniu, zapomniawszy się uchylić, rąbnęła głową w niski sufit, potoczyła się na dół, przewracając syna, i legła bezwładnie, cicho pojękując, na podłodze sklepu. Złamała nogę. Doktor Hegarty, przygłuchy staruszek, wykrzyczał jej w twarz, że przez osiem tygodni nie będzie mogła pracować w sklepie.

Tak więc, gdy Isabel przyszła do sklepu, Maire Mor leżała przykuta do łóżka w dusznym cuchnącym pokoju na górze, przewracając się co pół godziny z jednego boku na drugi i ssąc daktyle. (Kiedyś, gdy była jeszcze dziewczynką, przebywający w gościnie marynarz podał jej ustami daktyla. Powiedział, że to zakazany owoc, i szukał go językiem w jej ustach, aż oboje przewrócili się z chichotem na podłogę. Od tamtej pory daktyle miały dla niej smak seksu. Były czymś wyjątkowym, ale w ciągu wielu lat małżeństwa z ojcem Peadera jadła je tylko kilka razy; daktyle upamiętniały się podwójnie: gdy je spożywała i gdy po dziewięciu miesiącach rodziła dziecko).

– Mój syn jest zakochany – syczała, ale odpowiadała jej głucha cisza. Kwitowała tę niedorzeczność szyderyczym uśmiechem i pluła kawałkami daktyli w niewidoczne harpie. Słyszała, jak tamtych dwoje rozmawia na dole, budził ją ich śmiech, obgryzała kolejnego daktyla i jej lubieżna wyobraźnia zbiegała na dół po schodach i dalej przez drzwi, za którymi widziała tamtych, jak się kochają. Maire Mor meła językiem daktyle, łykała ich słodycz jak wino; z każdym dniem jej noga miała się coraz lepiej, gdy tymczasem ukryty w trzewiach rósł rak.

Pierwszego dnia Isabel odwiedziła matkę Peadera w jej pokoju i więcej tam nie poszła. Zabrała się za sprzątanie i przyjęła przelotny całus Peadera, który przebiegł przez sklep, chwycił belę tweedu i znikł. W cichym, zakurzonym, wymarłym sklepie czekała na brzęk dzwonka nad drzwiami, a kiedy złapała się na tym, że patrzy w odrętwieniu na przechodniów za oknem, wzdrygała się i zabierała do pracy. Jasność pięknego ranka zgasła. Peader nie wracał i Isabel nie wiedziała, czy zamknąć sklep na przerwę obiadową, czy zostać i nie zamykać. Wyobrażała sobie, że Peader lada chwila nadejdzie, i przecierała szmatką czystą ladę, na próżno usiłując zetrzeć osiadający w sercu kurz rozczarowania.

Tego pierwszego dnia Peader nie wrócił do godziny szóstej i kiedy Isabel zarygłowała za sobą drzwi sklepu, a potem szła głodna ulicą i skręciła koło katedry do domu, w którym się zatrzymała, nie była już tamtą dziewczyną w żółtej sukience, zakochaną i lekką jak perfumy. W ciągu ośmiu godzin spędzonych w sklepie nic nie sprzedała ani z nikim nie rozmawiała. Ledwie widziała się z człowiekiem, dla którego została w Galway. Wieczorem, czekając aż się pokaże, napisała list do domu: że właśnie zakończyła pierwszy dzień pracy, ciekawy i wyczerpujący, że obsługiwała klientów, wybierała i odmierzała materiały... Wyobraźni starczyło jej tylko na połowę listu, więc dopełniła go szczegółowym opisem swojego pokoju. Przeczytała list i załączywszy w postscriptum specjalne pozdrowienia dla Seana, wsunęła go do koperty. Matka otworzyła ją w dwa dni później i czytając na głos słowa córki mężowi i synowi, ujrzała przezierającą spomiędzy wierszy prawdę.

Dla Isabel miało to być pierwsze lato po wyrośnięciu z dzieciństwa, lato, którego długie, puste rozniebieszczone dni mijały za witryną jak na ekranie, lato, w którym zdała sobie sprawę z zawilóści swojego serca. Peader zjawiał się i znikał we dnie lub w nocy niczym niespodziewany błysk słońca albo księżyca. Odwzajemniona miłość poruszyła nim do głębi, wywołując nagle napady niepokoju i wściekłości, niezrozumiałe dla niego samego. Kiedy Isabel mówiła, że go kocha, nie chciał jej wierzyć, a gdy szła uśmiechnięta przez pokój, miał ochotę uciec. A jednak wciąż ją kochał. Tak oznajmił matce na progu jej pokoju, a potem zbiegł z hukiem po schodach, oniemiały z wściekłości, stanął na środku sklepu z zaciśniętymi pięściami i patrzył na dziewczynę, której oczy zapalały się na jego widok jak u żadnej innej. Isabel była dla niego zagadką, a kiedy podeszła z uśmiechem i wyciągnęła rękę, zadrżał pod jej dotykiem. Co to było? Co się stało? Nie mógł znieść myśli, że rzuci mu się na szyję i oplecie ramionami, więc odsunął się niecierpliwie, pożegnał i wyszedł szybko ze sklepu, zostawiając Isabel na wiele godzin, beznadziejnie uwikłaną w tajemnicę miłości.

Dzień w dzień Peader O'Luing wsiadał do samochodu i wyjeżdżał z Galway, jakby śpieszył na pospolite ruszenie, a potem na pustkowiu północnego Connacht bił się z demonami uczuć. Czyżby jej nie kochał? Niemożliwe, nie do uwierzenia. W domu, w pokoju matki, wyklócał się tak, jakby miał postradać życie, gdyby stracił Isabel. Ledwie jednak zszedł na dół i zobaczył ją w

mdłym świetle sklepu, coś w jego skomplikowanej wewnętrznej maszynerii chrobotnęło i zakręciło się tak, że poczuł odrazę. Wtedy jeszcze nie rozumiał, że nienawidzi właśnie miłości Isabel do niego, że z chwilą, gdy Isabel mu się oddała, spadła z piedestału, na którym ją postawił, że w nim samym wciąż rozbrzmiewa szyderczy głos z dzieciństwa, utrwalający niewzruszone przekonanie, że jest głupi i niewiele wart, a zatem ktoś, kto go kocha, robi głupio i bez sensu. Peader jeszcze nic z tego nie rozumiał. Dopiero trzy lata i sześćdziesiąt osiem dni później w pełni zdał sobie sprawę ze wszystkiego i ujrzał, w oparach whiskey Powera, czekające go nieuchronnie rozpaczliwie smutne życie. Ale tamtego dnia myślał, że chodzi o coś innego, nie winił swojego ojca, a spojrzawszy na Isabel, piękność z dzikiej wyspy, zobaczył w niej tylko sprzedawczynię: była brzydka, zwyczajna, taka, jaka musiała być kiedyś jego matka, i od razu, gdy rozjaśniona Isabel popatrzyła na jego nieco komiczną minę, poczuł potrzebę ucieczki, oddalenia się, oddychania w samotności. Zatrzymał samochód i nic nie robił cały dzień – gapił się tylko przez otwarte okno na sine góry, a tymczasem Isabel stała w prześwietlonym słońcem kurzu, tarła ładę do połysku, jakby chciała wetrzeć w nią swoją markotną minę, i czekała, czekała na Peadera.

Wrócił wieczorem. Zjeżdżając krętymi drogami z gór, przegonił wewnętrzne demony i wjechał w miasto, płonąć na nowo marzeniami o swojej pięknej dziewczynie. Wysiadł z samochodu i ruszył ulicami Galway z dawnym wściekłym pragnieniem, aby znaleźć się przy niej, całować jej usta, dotykać twarzy, która stawała się coraz bledsza, choć on tego nie zauważał. Otworzył drzwi, brzękając dzwonkiem. Isabel nie podniosła głowy. Duma nie pozwalała jej okazać, jak bardzo czuje się dotknięta, więc tylko drżącymi palcami składała, po raz kolejny, ten sam kupon brązowego tweedu.

– Przepraszam – rzekł. – Boże, Isabel, przepraszam.

Stali po dwóch stronach sklepu, oddaleni od siebie przez chwilę znieruchomienia, która miała odtąd powracać w ich związku, przez chwilę zawieszenia pomiędzy bólem a przebaczeniem, chwilę odliczaną przez zamarłe serce, aż wreszcie Isabel schowała dumę do kieszeni i spojrzała na Peadera.

– Jestem głupcem – powiedział z rozbijającym uśmiechem i wyciągnął rękę, przyciągając tym gestem Isabel, uśmiechniętą, wybaczącą i pełną ulgi, że ma jeszcze całe serce. Trzymając się za rękę, wyszli przez drzwi, a one zatrzasnęły się za nimi. Pobiegli w podskokach opustoszałymi ulicami. Nad Galway jeszcze świeciło słońce. Od morza ciągnęła rześka bryza. Z kamiennego zaułka dochodziły dźwięki skrzypiec, do których dźwięcznej melodii Isabel i Peader odtanńczyli kilka kroków, odsuwając się od siebie i przysuwając, minęli spiesznie ulicznego grajka i wydostali się z zaułka, jakby chcieli odejść jak najdalej od tego ponurego dnia.

– Powinienem był kupić ci kwiaty.

– Powinieneś.

– Mówię poważnie.

– Ja też.

– Więc to zrobię, przyniosę ci kwiaty.

– Gdzie je dostaniesz o tej porze?

– Usiądź tu i zaczekaj.

– Isabel została przy bulwarze Long Walk, patrzyła na gładkie wody Claddagh, na niebieską łódź stojącą na lustrzanym odbiciu swojego kadłuba, i wyobrażała sobie morze tak spokojne, że przeszłaby po nim do domu. Tymczasem Peader zawrócił do miasta. Pomyślał, że musi coś zrobić, żeby odzyskać Isabel. Było mu przyjemnie z tym uczuciem, z tą potrzebą znalezienia się znów w jej sercu, pędził więc, zrywając późne aksamitki, lobelie i petunie ze skrzynek w oknach wystawowych i z okrągłych kwietników ustawionych u wylotu ulic na polecenie władz miasta. Po dziesięciu minutach wrócił z omdłym naręczem. Dał kwiaty Isabel, która ze śmiechem je powąchała, a potem rzuciła na mieniącą się złotem i srebrem wodę.

– Dlaczego to zrobiłaś?

Isabel przygryzła wargę i spojrzała w górę na Peadera. Znów była dziewczyną z wyspy, dziewczyną, która przeszywała mu serce jak lśniący nóż, dziewczyną, która nie była w nim zakochana, lecz którą on kochał do szaleństwa, dziewczyną, która miała w sobie tę krzytą dzikości, gdy mu odpowiedziała:

– Żeby zobaczyć, czy je wyłowisz, jeśli poproszę.

W chwilę potem Peader wskoczył do wody i zniszczył biegnącą po jej powierzchni złotą słoneczną drogę na wyspę. Kwiaty unosiły się na falach poruszonych przez Peadera, a Isabel klaskała i śmiała się, zapominając na jakiś czas o wszystkim, rumieniąc się aż po nasadę szyi i patrząc, jak z wyławianych pojedynczo kwiatów powstaje mokry bukiet – dowód, że jednak się kochają.

W sierpniu nadszedł list. Margaret Gore wyczekiwała go od dawna i odebrała na przystani brązową kopertę jak gorzkie lekarstwo, którego potrzebowała. Nie poszła prosto do domu, tylko nie otwierając listu ruszyła północnym brzegiem aż na czarny występ skalny, który wrzynał się w miękką pianę niebieskiego morza. Stała tam, gdzie wodny pył otaczał jej gołe nogi, i przeczytała, że Isabel nie zdała egzaminów z dwóch przedmiotów. Obejrzała wszystkie stopnie, cisnęła w wodę dołączone przez zakonnice wyjaśnienie, że Isabel opuściła się w nauce od Bożego Narodzenia, i zaczęła się zastanawiać, jak o tym powiedzieć mężowi.

Dzień był pogodny, bez jednej chmurki na błękitnym niebie. Za łąką białego piasku odcinały się na tle morza główki pływających dzieci, którym przyglądał się, oparty o czarny spód odwróconej łódki, Muiris Gore. Żona, gdy go zobaczyła, wciąż jeszcze nie zdecydowała, jak przekazać mu wiadomość o córce. Minęła powoli przystań i zeszła na piasek. Dostał jej się do pantofli, więc je zdjęła i stąpała boso po chłodnym, wilgotnym brzegu, który stał się dla niej więzieniem. To będzie dla niego cios, pomyślała. Wysłucha, co mam mu do przekazania, i w jednej chwili rozwieje się jego ostatnie marzenie, umrze nadzieja i wiara, że w jakiś sposób poprzez Isabel osiągnął to, co jemu samemu się nie udało. Zabiję w nim ostatnią miłość jego życia, myślała, trzymając list w opuszczonej ręce i podchodząc coraz bliżej. Jeszcze jej nie dostrzegł, wpatrzony w kąpiące się dzieci. Był ubrany w starą tweedową marynarkę, którą reperowała wiele razy i którą wolał od innych, w lepszym stanie. Ilekroć dotykała tej marynarki, miała wrażenie, że dotyka jego samego. Pokonując ostatni odcinek drogi przez piasek, Margaret Gore miała ochotę krzyknąć, zapragnąwszy nagle, żeby jej mąż odwrócił się zaskoczony i ujrzał ją nadchodzącą bez żadnego innego powodu prócz tego, że chciała usiąść przy nim, chłonąć przaśną, przesyconą whiskey woń marynarki i czekać, aż on obejmie ją ramieniem. Stawiając ostatnie kroki, marzyła, że listu nie ma, że żyje w prostszym, łatwiejszym świecie, gdzie dzieci zawsze kąpią się w ciepłym morzu pod błękitnym niebem, a ona i Muiris Gore są rodzicami tylko marzeń.

Mąż odwrócił się, gdy przestał słyszeć jej kroki. Stała nieruchomo na piasku, tuż za nim. Nie mogła się ruszyć. Nie powiem mu, postanowiła, nic mu nie powiem.

– Powiedz mi – rzekł.

Trzy tygodnie później Margaret pojechała do Galway aby na własne oczy zobaczyć, jak wygląda człowiek, który skradł serce jej córki, a duszę jej męża zapieczętował w jasnozłotej płyciźnie butelki. Nie dostała od Isabel listu od czasu egzaminów ani żadnej odpowiedzi na trzykrotne zaproszenie, żeby przyjechała do domu, gdy więc wysiadła z promu w zapiętym pod szyję płaszczu, zmuszającym do dumnego uniesienia głowy, ruszyła w miasto, pełne gwaru i życia, ze szczerym zamiarem wygarnięcia córce, że złamała ojcu serce.

Nie była przyzwyczajona do miejskiego ruchu. Denerwowały ją stale przejeżdżające samochody, niemal ocierające się o nią, kiedy szła zewnętrzną stroną wąskiego chodnika,

trzymała się więc jak najbliżej okien wystawowych, z rzadka pozwalając sobie na luksus oglądania rzeczy, których miłość tak bezlitośnie ją pozbawiła, i maszerowała z przekrzywioną głową, wypatrując nad sobą szyldu sklepu O’Luinga. Była wewnętrznie rozdarta. Jej córka zakochała się, a ponieważ sama dobrze pamiętała narodziny swej miłości w Donegal, domyślała się, że Isabel zanurzyła się w najważniejszych i najbardziej namiętnych chwilach swojego życia. Matka wiedziała, że teraz tylko to się liczy, te letnie dni w Galway, gdy serce córki bije szybciej, a szara kamienna wyspa zapada wraz z dzieciństwem w dalekie zakamarki umysłu, gdzie się zaczał migotliwie, aż Isabel zestarzeje się i będzie miała pamięć dłuższą niż życie. Dziewczyna jest zakochana, nie może myśleć o niczym innym, powiedziała sobie matka. Ale...

Margaret Gore przeszła na drugą stronę Shop Street. To chyba gdzieś tutaj?

Ale... od trzech tygodni, dzień po dniu musiała patrzeć, jak mężowi pęka z bólu serce. Kiedy nadeszły wyniki egzaminów, tam na brzegu morza zaryzykowała i postawiła na jedną kartę, mówiąc Muirisowi, że Isabel jest zakochana. Jeżeli jej wspomnienia zachowały taką siłę, wyobrażała sobie, wręcz była pewna, że te same słodkie urywki przeszłości poruszą się i utrwalą, przemieszczą się, podfruną i osiadą w pustych przestrzeniach jego duszy. Wobec takich wspomnień cóż innego się liczy, zapytała sama siebie i odpowiedziała: nic. Jeżeli nawet Isabel nie wybiera się na uniwersytet, jeżeli jest zakochana i wyjdzie za mąż za sklepikarza w Galway, to cóż z tego? Jeśli jest szczęśliwa, Muirisie, jeśli jest szczęśliwa? Margaret nie wygrała tą kartą, na którą postawiła. Nie doceniła ogromu nadziei, jaką przez siedemnaście lat życia na wyspie jej mąż wiązał z córką, w dodatku podwajając spoczywający na jej barkach ciężar, gdy Sean dostał ataku i pogodzone się z myślą, że nigdy nie wyprowadzi się z domu.

(Muiris nie wspominał porywów miłości tak jak jego żona. Do tamtej chwili na brzegu zachował próżność, nie zrezygnował z ambicji, wciąż wypatrywał, co przyniosą nadciągające fale życia. A potem, niczym grom z pamiętnego rozjarzonego błękitu nieba, spadł cios. Muiris poczuł się zdruzgotany. Był zaślepionym głupcem! Żona trzymała w palcach przycerowaną połę marynarki i mówiła tak cicho, że jej głos brzmiał w jego uszach jak szum morza. To morze do niego mówiło, więc poszedł nad morze w ten sierpniowy wieczór, rozgrzany whiskey, i potykając się na skałach dotarł tam, gdzie Isabel tańczyła dla Seana i gdzie wszystko zaczęło się psuć. Tylko on nie odczytał wtedy danego znaku, zrozumiał to teraz, dzierżąc butelkę odbijającą blask księżyca. Był próżnym, beznadziejnym głupcem, a rano znalazł go śpiącego na skałach syn Halloranów. Przez tydzień nie mógł pokazać się na oczy mieszkańcom wyspy. Inne dziewczęta z wyspy, uczące się u zakonnice, zdały egzaminy, a trzy z nich miały szansę dostania się na uniwersytet. Tylko córka nauczyciela oblała. Nie wychodził z domu, gdzie oglądała go tylko żona i wraz z nim czuła, jak pod uderzeniami młota życia kruszą się ściany jego głupiego serca).

Zajęta takimi rozmyślaniami, Margaret szła ulicą z głową przekrzywioną na bok i wysuniętą do przodu brodą. W jej przekonaniu wszystko sprowadzało się do tego O’Luinga, człowieka, który zjawił się w życiu jej rodziny jak nadciągająca powoli burza. Wyobrażała sobie, że jest silny i romantyczny, prawdziwy typ z Galway o czarnych kędzierzawych włosach i wypukłej



klatce piersiowej, kto wie, może ładnie śpiewa, ma zmysłowe usta, wyraziste niebieskie oczy. Im lepiej wyglądał, tym lżej robiło jej się na duszy, a gdy mijala Peadera na chodniku nieopodal sklepu, zapewne żaden z mieszkańców miasta nie mógłby się przyrównać do tworu jej wyobraźni. Przeszła obok Peadera, nie mrugnawszy nawet okiem, za to on zatrzymał na niej dłużej wzrok i obejrzał się przez ramię, nim przyśpieszył kroku, a potem zastanawiał się, uciekając samochodem jak najdalej od Isabel i sklepu, czyja to matka lub ciotka.

Były to odwiedziny pełne niespodzianek. Gdy Margaret odnalazła sklep, poczuła się zaskoczona. Cofnęła się i przeszła na drugą stronę ulicy, żeby się upewnić, że nie ma przed sobą opuszczonej rudery i że nie przywidziało jej się nazwisko O’Luing nad starym ponurym sklepem. Była zaskoczona. Zdziwił ją brak klientów. Równie dziwne wydawało się, że w ogóle w ciągu ostatnich dziesięciu lat zachodzili tu jacyś klienci. Prawdziwym zaskoczeniem okazał się kwaśny zaduch, który owionął ją, gdy otworzyła drzwi, przenikliwy dźwięk dzwonka, ciemne wnętrze, schludność i połysk kontrastujące z uderzającym na zewnątrz zaniedbaniem, bele materiału odwinęte a nietknięte, gotowe jak lepy na muchy, czysta drewniana podłoga, nad nią zaś gęsty kłęb wirującego kurzu, zmiatanego z wściekłością po niedawnej kłótni, lecz nade wszystko zaskoczył ją wyraz twarzy córki.

W ciągu zaledwie pół minuty Margaret nabrała pewności, że, po pierwsze, jej córka jest zakochana, i, po drugie, nie jest szczęśliwa. Szła przez sklep niezdecydowana, wciąż rozdarta. Kiedy jednak Isabel padła jej w ramiona i przywarła twarzą do szorstkiego tweedu matczynego płaszcza, Margaret od razu wiedziała, po czyjej jest stronie. Odpięła duży zielony guzik pod brodą i wreszcie mogła opuścić głowę. Czowała, jak córka przytula się do niej, i w jednej chwili, nim Isabel rozluźniła uścisk, wszystko zrozumiała. Pozostawało tylko wysłuchać Isabel, mogącej udzielić szczegółowych wyjaśnień.

– Mów – zachęciła.

Margaret i Isabel Gore nigdy nie były szczególnie sobie bliskie jako matka i córka. Oddzielali je dwaj mężczyźni, Muiris i Sean, których potrzeby i obecność otaczały staraniem, jak ciche morze oblewa wodą wyspy. Gdy Isabel wyjechała do Galway, tęskniła nie za matką, lecz za ojcem i bratem. Brakowało jej poczucia, że jest potrzebna. Margaret zaś brakowało marzycielstwa i nadziei męża, które opuściły go wraz z odpłynięciem córki. Teraz, w ponurym wnętrzu sklepu O’Luinga z wełną i tweedami, matka i córka po raz pierwszy spotkały się jak dwie kobiety. Usiadły na twardych drewnianych krzesłach za ladą, chłodne jesienne słońce to wyzierało, to chowało się za chmury zachodniego nieba, i Isabel wyznała matce, że jest zakochana. Nie potrafiła tego wyjaśnić. Jej wybranek w niczym nie przypominał wymarzonego ideału, a mimo to nie mogła zapanować nad swoimi uczuciami. Czasami była na niego zła, kiedy wychodził ze sklepu i do wieczora nie wracał, a ona szła do siebie na kwatere, nie zobaczywszy go przez cały dzień. Wtedy wyobrażała sobie, że już się z nim nie spotka. A potem coś się działo. Zawsze coś się działo. Pokazywał się. Patrzyła na niego i znów go kochała. Cóż mogła na to poradzić? Był cudowny, zabawny, gotów zrobić dla niej wszystko. Kiedy Isabel mówiła,

pierwszy raz wypowiadając na głos to, co przeżyła w ciągu ostatnich miesięcy, matka słuchała, kiwała głową i starała się nie okazać smutku, który się w niej gromadził. Miała nadzieję, że córka zdąży wszystko opowiedzieć, nim do oczu napłyną jej łzy, ponieważ w ciągu tej godziny, gdy Isabel zwierzała się z tego, co leży jej na sercu, tak żarliwie jak nigdy przedtem ani potem, Margaret nabrała pewności, że ta miłość skończy się nieszczęśliwie. Słuchała w milczeniu, a w sypialni na górze Maire Mor wychyliła się z łóżka i też nasłuchiwała, nic nie mówiąc.

– Jesteś jeszcze bardzo młoda, Isabel – rzekła wreszcie matka. – Powinnaś... czy on mówi, że ciebie kocha?

Matka nie potrafiła ostrzec córki przed tym, co ją czeka. Później, idąc na przystań i czując wyraźny chłód na ulicach, Margaret wyrzucała sobie, że nie wypełniła matczynego obowiązku, okazując przede wszystkim przyjaźń, a nie udzielając mądrych rad, że nie przykazała Isabel, żeby bardziej uważała, powstrzymywała się, ratowała tę cząstkę serca, którą już na pewno oddała. To wyglądało beznadziejnie, zupełnie beznadziejnie. Jak mogła powiedzieć sobie – bo przecież siedziała przed istotą będącą jej odbiciem – żeby nie przeżywała tego, co jest najważniejsze w życiu, cudownych dni pierwszej miłości?

Światło nabierało chłodnych tonów, a Margaret słuchała. Nim wstała i zapięła płaszcz pod szyją, uzmysłowiła sobie, że nie będzie mówiła nic o ojcu. Isabel nie zaprzętała sobie teraz głowy uniwersytetem ani egzaminami, myślała o czymś w rodzaju małżeństwa na próbę, o pracy w sklepie, której końca nie przewidywała, myślała o tym, żeby to i owo zmienić, odmalować, dać nowe półki, a gdy mówiła, jej matka widziała w jej niewinnych i pełnych nadziei oczach nieprzerwany korowód klientów. Wstała i uścisnęły się na pożegnanie. Poprosiła Isabel, żeby napisała do domu, a potem, z płaszczem opinającym ciasno pierś, Margaret Gore wyszła ze sklepu, przypuszczając, że już nigdy tu nie wróci. Usłyszała brzęk dzwonka zamykających się za nią drzwi i rozplakała się, idąc ulicą za swoją wysuniętą brodą. Isabel została w sklepie i sięgnęła po miotłę.

Powiedziała matce o wszystkim, prócz jednego sekretu, węzła zadzierzgniętego w jej umyśle i łączącego Peadera z dramatycznym wydarzeniem z przeszłości; kiedy bowiem Peader studiował swą miłość i wychodził ze sklepu, Isabel czuła, że na to zasłużyła; była to nieunikniona odpłata za krzywdę, jaką przed laty wyrządziła bratu; był to sąd boży.

Po wyjściu matki spuściła wzrok na podłogę pod ciężarem tej winy, zabrała się ostro za zmiatanie i patrzyła, jak miotła wzbija w powietrze nieubłagany kurz jej życia, który miał ciągle opadać, nawet za trzy lata i dwadzieścia osiem dni, gdy przed drzwiami stanął pewien nieznajomy.

## **Część IV**

Nie ma czegoś takiego jak przypadek. Ojciec był z grubsza tego pewien i uważał chaos rządzący jego życiem po prostu za swoisty porządek. Wiara w Boga wyklucza wiarę w przypadek, tak mi powiedział. Krowy, które przedostały się przez płot i zniszczyły obrazy, zostawiając tylko dwa nienaruszone, nie napatoczyły się ot tak, zrzędzeniem losu czy nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności. Były znakami, nosicielkami wieści i pozostawało jedynie czekać, aż mój ojciec dojdzie do tego, co miały mu obwieścić. Podobnie przybycie wujka Johna trzy tygodnie po naszym powrocie do domu z zachodu nie było zwykłym trafem. Przed wszystkim wujek John nie był wcale moim wujkiem. Pan John Flannery, dawny kolega ojca z czasów jego pracy w biurze, wszedł do czystego, lecz pustego hallu naszego domu w rześkich początkach jesieni, nie zdając sobie zapewne sprawy, jaką rolę przyjdzie mu odegrać.

Ja widziałem w tym szczęśliwy traf, ale dla mojego ojca było to po prostu kolejne objawienie boskiego porządku. Pan Flannery usiadł w pracowni na jednym z twardych krzeseł o prostych oparciach, wysłuchał, co się stało z obrazami, i wprost nie mógł w to uwierzyć. Uderzyły go dwie rzeczy: że taki wypadek, bo uważał to za wypadek, może się zdarzyć tylko raz w życiu oraz że mój ojciec albo kompletnie oszalał, albo jest geniuszem, skoro tak żarliwie wierzy w swoje obrazy. Rozparł się w krzesło, popijając przyniesioną przeze mnie mocną herbatę bez mleka, patrzył na ojca i czekał na stosowny moment, żeby się odezwać.

Ojcu, który miał takie a nie inne przekonania, nie przyszło na myśl spytać, co przywiodło starego przyjaciela na próg jego domu. Powitał pana Flannery'ego, jak to uczynił przy paru innych okazjach, nie okazując najmniejszego wahania ani nie wypyując o cel wizyty. Spodziewał się wtajemniczenia w większe, wspanialsze plany wyższego porządku, więc poczuł się zbity z tropu, gdy Flannery rzekł:

– Prawdę mówiąc, chciałbym kupić obraz.

Ojciec milczał. Pan Flannery wyjaśnił, że jest członkiem narodowej organizacji promującej kulturę irlandzką i zlecono mu kupno obrazu, który miał być przeznaczony na nagrodę. Słuchałem pod drzwiami. Czekałem na jakieś nowe nieszczęście, ale długą chwilę milczenia przerwał głos ojca:

– Są tylko dwa, o tutaj, popatrz.

Pan Flannery popatrzył. Słyszałem, jak patrzy. Wyczuwałem w panującej ciszy, jak powolna magia tych bajecznych obrazów działa na jego umysł, czułem morze, które się na nich kotłowało, niepokój i piękno, które – jak wierzył mój ojciec – były niepokojem i pięknem Boga. Pan Flannery był oczarowany. Spodziewałem się tego, bo odkąd parę tygodni temu wróciliśmy i zacząłem chodzić do szkoły, ojciec włożył wiele pracy w ich wykończenie, a ja na to patrzyłem i wiedziałem, że są co najmniej niezwykle. Może nie mieściły się w uznanych kanonach sztuki, ale bezsprzecznie ten szal barw miał w sobie coś. Ojciec też o tym wiedział. Poznał to po mrowieniu ręki, w której trzymał pędzel. Wiedział już, że przez resztę życia nie sięgnie po inne tematy niż te

widoki morza, które miał wciąż na nowo malować, usiłując na każdym płótnie utrwalić tamte chwile na zachodnim wybrzeżu Clare, gdzie jego pędzlem kierował Bóg.

– To naprawdę coś – odezwał się pan Flannery wzruszonym głosem.

Ojciec nie odpowiedział. Wyobrażałem sobie, że też patrzy na obrazy ze zdumieniem.

– Ile kosztują?

Czułem, jak matka zbiega po schodach i nasłuchuje odpowiedzi. Widziałem przed sobą niespodziewany, wspaniały kres wszelkiej biedy, ostateczne przewyciężenie ubóstwa, zwątpienia i trudów, początek boskiego wynagrodzenia. I wtedy ojciec odpowiedział:

– Są za darmo.

– Nie, nie, Williamie, ile kosztują?

– Są za darmo, nie na sprzedaż.

Serce mi się ścisnęło. Znałem ten ton głosu. Moja matka знаła ten ton i nawet pan Flannery poznał się na nim i więcej nie oponował. Ojciec poszedł na ustępstwo, zgadzając się oddać tylko jeden obraz, przy czym nalegał, żeby przyjaciel sam wybrał, i musiał się skrzywić w duchu, gdy ten wskazał jego ulubiony. Ojciec przyjął cios z uśmiechem i wziął obraz. Nie chciał już więcej o tym mówić, stanął na środku pustej pracowni na cienkiej nitce wiary, a pan Flannery jeszcze raz, tym razem ostatni, zaczął go kusić.

– Jesteś pewien, Williamie? – spytał. – Czuję, że to nie w porządku. Mam pieniądze, może jednak je weźmiesz?

Albo inaczej, daj mi coś innego, dobrze?

Cisza, z uchem przyciśniętym do drewnianych drzwi niemal słyszałem szum dalekiego morza, a potem:

– Nie.

W chwilę później obraz, owinięty w brązowy papier, opuścił nasz dom. Patrzyłem z okna swojego pokoju, jak pan Flannery niesie pakunek do samochodu. Ojciec zamknął drzwi wejściowe i wrócił do pracowni. Usiadł na krześle, spojrzął na ostatni obraz i wybuchnął śmiechem.

Tego Muiris Gore się nie spodziewał. To jak mrugnięcie z góry, powiedział dwóm kumplom w pubie, gdzie poszedł świętować. Gdy nadszedł list, jak zwykle pierwsza przeczytała go żona. Wiedział, że ma w tym przyjemność, lubi otwierać przychodzącą pocztę i czytać, siedząc przed nim, ze świadomością, że on czeka i wypatruje uśmiechu bądź ściągniętych brwi, próbując je sobie wytłumaczyć, i nic nie mówi, póki żona nie skończy czytać. Potem pytał „no i jak?”, ona mówiła „proszę” i podawała mu list. Gdy on z kolei czytał, żona oswajała się z wiadomością. Zła wiadomość zapadała szybko, cicho i głęboko gdzieś, gdzie nie można jej było dosięgnąć, a kiedy mąż kończył czytać, żona nic nie mówiła, dławiona smutkiem, i wstawała od stołu, żeby umyć ręce. Dobra wiadomość, jak tym razem, łechtala ją w ustach, tak że z trudem powstrzymywała chichot wyrrywający się zza zaciśniętych warg, aż Muiris skończył czytać, spojrzał z uśmiechem, który ogrzewał ją od stóp do głów, i wyzwolił jej radosny śmiech.

Tym razem jednak Muiris, zamiast uśmiechnąć się, ściągnął brwi. Chmurne zaskoczenie i zdumienie ustąpiło pogodnemu zdziwieniu, odłożył kartkę, popatrzył na żonę i zrozumiał, co do tej pory uchodziło jego uwagi, że ma przed sobą – ni mniej, ni więcej – anioła.

Jak inaczej mógł to wyjaśnić? Zgłosiła do ogólnokrajowego konkursu poetyckiego jego wiersz, napisany dawno temu po irlandzku, no i wygrał. Zapraszano go do Dublina po odbiór nagrody.

Kiedy dwa tygodnie później Muiris przyodziany w porządny garnitur przeprowadził się promem, siedząc potulnie w otwartej kabinie i patrząc, jak od słonej bryzy matowieją wyglansowane buty, postanowił nie odwiedzać córki w sklepie. To nie jest właściwa chwila na rozmowę z Isabel, powiedział sobie, i wszedł do wagonu dla palących, odbywając podróż przez kraj w gęstych białych oparach zapomnienia. Wieczorem wziął udział w uroczystej kolacji. Wysłuchał, jak jego wiersz odczytuje cathaorlach, Sean O’Flannaire, i myślami przeniósł się na wyspę, do żony, której oczy śmiały się tęczowo. Z trudem przełknął ślinę, wstał, aby złożyć ukłon, i zakochał się na nowo w młodziutkiej Margaret Looney, w chwili gdy odbierał nagrodę – obraz Williama Coughlana przedstawiający morze na zachodzie.

Na drugi dzień Muiris Gore ruszył pociągiem z Dublina w drogę powrotną, usiadł przy oknie, nie rozstając się z zawiniętym w brązowy papier obrazem, i na odwrocie kwitu ze sklepu żelaznego Nesbita i O’Mahony’ego zaczął pisać wiersz, pierwszy od trzynastu lat.

Czas nie płynie, a ból rośnie; tak to już jest w życiu, twierdził ojciec. Czas istnieje tylko wtedy, kiedy ma się zegar. W naszym domu na kuchennym parapecie stał zegar, ale z jego baterii dawno temu wyciekł kwas Czasu, tak więc ojciec i ja żyliśmy jakby w transie, odmierzonym szelestem zeschniętych liści pod drzwiami i radosnym szmerem wiosennego deszczu za oknem. Po naszej wspólnej wyprawie na zachód ojciec zrezygnował z planów powrotu w tamte strony. Najwyraźniej nabrał przekonania, że najwspanialsze obrazy, jakie mógłby namalować, zostałyby i tak zdeptane i podziurawione przez Boga. Zamykał się więc w swoim pokoju i nie zapalając światła, rozpamiętywał okrutną świadomość poniesionej klęski. Wyobrażałem sobie, że odwiedzała go tam matka. Nie wynosił stamtąd obrazów, żeby mi je pokazać. Ból się nasilał.

Czasami, kiedy siadaliśmy do podwieczorku, a wieczór był jasny, zapraszał mnie błyszczącymi oczami, którymi spoglądał na drzwi, żebym poszedł z nim na spacer. No i szliśmy. Zawsze rozpędzeni, bez możliwości przeprowadzenia prawdziwej rozmowy. Ojciec wygłaszał krótkie mowy, nigdy nie rozmawiał.

– Życie jest tajemnicą nie do pojęcia. Kiedy się z tym pogodzić, jest lżej. – Pauza i znów: – A przynajmniej powinno.

Galopowaliśmy naprzód ze swoimi urazami, niosąc je ze sobą skrajem podmiejskich dzielnic, jakby mile pokonane w milczeniu energicznym marszem mogłyby z nich wyleczyć, a wyczerpanie sprawić, że wszystko będzie wyglądało lepiej. Tak się jednak nie działo. Ojciec, który wyglądał staro, kiedy miałem dwanaście lat, wracał za każdym razem do domu, wyglądając jak własny dziadek. Szedł do swojego pokoju i siadał; cienka jak papier pierś rozbrzmiewała chrapliwym oddechem i ojciec wpatrywał się w obrazy, których nie mógł namalować. Gdzie był teraz Bóg?

Sześć pór roku przeminęło koło nas, po raz ostatni miałem szkolne wakacje, ale nigdzie nie pojechaliśmy. Rano leżeliśmy w łóżku i czekaliśmy na znak.

Ale znaku nie było.

Nie jestem pewien, jak doszło do tego, że zostałem urzędnikiem państwowym. Możliwe, że za sprawą pana Flannery'ego. A może mojego ojca. Skończyłem naukę w szkole.

Przeczytałem zawiadomienie o egzaminach i złożyłem podanie. Na rozmowę na mieście włożyłem szare spodnie i stary szkolny blezer, od którego odprułem godło szkoły. Ojciec myślał chyba, że wybieram się na przyjęcie. Baw się dobrze, powiedział z głębi pracowni, nie wychodząc, żeby mnie obejrzeć, a ja nie poszedłem mu się pokazać. Wyczuwałem, że nie powinienem go uprzedzać. Dwa miesiące po skończeniu przeze mnie szkoły nadal nie miał pojęcia, co zamierzam ze sobą zrobić, i najwyraźniej nie zaprzętał tym sobie głowy. Nigdy nie mówił: wstawaj, rusz się, znajdź jakąś pracę, zrób coś ze swoim życiem. Po prostu dawał mi spokój i być może w ten właśnie sposób uzbroił się w najpotężniejszą tajną broń, jaką dysponował. Pozwolił, żeby Życie natarło na mnie w najmniej oczekiwanym momencie; w dniu

rozmowy kwalifikacyjnej obudziłem się nagle z poczuciem, że to moje, a nie jego życie wymknęło się spod kontroli. Musiałem coś zrobić. Gdy mój ojciec machał pędzlem i tonował kolory, bez powodzenia usiłując dopracować zaczęty poprzedniego dnia obraz, ja wyruszałem z domu w tajemniczy labirynt, którego rozwidlenia i zakręty on już pokonał.

Był przepiękny poranek późnego lata, dzień tak przesycony światłem i nadzieją, że słońce zdawało się wyprażać jego ślad w pamięci. Dzień, w którym zaczynałem resztę swojego życia, dzień, w którym miasto lśniło w słońcu jak błyszczące warowne wieże ze średniowiecznego snu, a dwie katedry i budowle o grynspanowych dachach wznosiły się nad zakolem rzeki, którą widziałem pod sobą, niosąc obietnice fascynujących nowych odkryć. Siedziałem na samym przedzie górnej platformy autobusu, który wiózł mnie przez zmienne refleksy światła, rozmigotaną słoneczną jasność, i poddawałem się przez dłuższą chwilę wrażeniu, że dzieje się coś niezwykłego. Coś się zaczęło, zapowiedziane przez błękit. Pamiętam moją nadzieję jako słońce tamtego dnia. Nie dostrzegałem zagubienia czy obojętności w twarzach ludzi ani tłoku na skrzyżowaniach, spowalniającego naszą i tak dość powolną jazdę, tych wszystkich pojazdów podążających do centrum miasta niczym kondukt pogrzebowy, ani nie zwróciłem uwagi, jak coś zatrzasnęło się za nami z cichym szcękaniem, gdy schodziliśmy po schodkach, aby przemknąć pośpiesznie przez jasność dnia do biur, za drzwi odbijające promienie słońca, i zostawić na zawsze za sobą dzieciństwo i niewinność. Zdawałem sobie jedynie sprawę, że zaczynam coś nowego, co było mi pisane, i wszedłem do gmachu, opuszczając wielką przerażającą pustkę tych dni końca lata z sercem tak pełnym nadziei jak nigdy potem.

Kiedy miesiąc później zaproponowano mi pracę, nie miałem cienia wątpliwości, że właśnie tym się będę zajmował. Zamierzałem pracować w urzędzie, zarobić trochę pieniędzy, odnowić dom, płacić rachunki i zapewnić sobie i ojcu utrzymanie, jemu zaś pozostawało tylko dokończyć obrazy, które były jego przeznaczeniem. Wszystko ładnie pięknie, ale musiałem mu jeszcze o tym powiedzieć.

Uznałem, że najlepiej będzie podzielić się z nim nowinami przy podwieczorku. Co wieczór, na moje wyczucie około szóstej, pukałem do drzwi pracowni i ojciec przerywał pracę czy też bezczynność. Powolnym krokiem przychodził do kuchni, unosząc wysoko głowę na długiej szyi i mrużąc oczy. Spotykałem się tam z nim, jakbyśmy byli umówieni, siadaliśmy, aby posilić się chlebem z masłem i dżemem, wdychaliśmy jak robotnicy, rozsmarowując masło w ciszy i wyglądając przez gołe okno na dom na drugim końcu przykuchennego ogródka. Ojciec maczał chleb w herbacie. Robił tak od czasu, gdy latem znalazł na grzance dwa wyłamane zęby. Patrzył przed siebie i żuł rozmiękczone mięsz. Najpierw musiałem mu powiedzieć, że złożyłem podanie o pracę.

– Mam wiadomość – oznajmiłem.

– Dostałeś pracę, Nicholasie – rzekł ojciec. – Weź ją, jeżeli uważasz, że powinienes. Rób, co twoim zdaniem jest najwłaściwsze.

I na tym się skończyło. Głos miał tak cichy i rzeczowy, pełen spokoju, łagodności i



zrozumienia, jakby przemawiała sama mądrość. Nie spytałem, skąd wie. Ojciec był człowiekiem, któremu nie zadaje się pytań, a tego wieczoru, gdy wyraziłem w liście zgodę na podjęcie pracy, pojąłem nagle, że pewnie cały czas trzymał rękę na moim ramieniu.

Zacząłem pracować w poniedziałek. Siedziałem po dalszej stronie dużego mahoniowego biurka, a MacMahon po bliższej. Byliśmy młodszymi specjalistami, ubieraliśmy się w tanie granatowe garnitury, białe koszule ze sztywnymi kołnierzykami, a do tego w jeden z trzech krawatów, który już we wtorek nosił maślane ślady po kantynowych okruskach. W dużym podłużnym pokoju siedziało nas szesnastu, po dwóch stronach identycznych mahoniowych biurk. Nasze płyny do golenia mieszały się zapachami. Otwieraliśmy zielone tekturowe teczki z dokumentami i godzinami przeżuwalimy niestrawne rządowe flaki z olejem. Zegar tykał. Za wysokimi oknami w głębi pokoju robiło się to jaśniej, to ciemniej. Pokastywania i syropy dały początek jesieni. Codziennie rano padał deszcz. Jeździłem rowerem i docierałem do centrum ochlapany i z mokrą twarzą. Od dużej wycieraczki w hallu prowadził do schodów śliski czarny szlak, wydeptany kaloszami. W połowie drogi na górę wszystko wysychało i po uchyleniu ciężkich drzwi do długiego jasnozielonego pokoju nie było śladu po wietrze i deszczu, tylko ciche susy zegara co dwie minuty i otwieranie pierwszej teczki z aktami, pomagającej pokonać upływ czasu. Przerwa na herbatę, na lunch, o trzeciej wypad na dół do archiwum, pety pływające w niesplukanej urnie w męskiej toalecie, powrót na górę z niepotrzebnymi aktami pod pachą i znów hodowanie hemoroidów, aż jakiś śmiałek wstanie i włoży płaszcz za minutę piąta.

Jesień minęła w tym długim pokoju jak jedna chwila. Panowała wilgoć i woń przemoczonych nóg. Słabą pociechę przynosiło piątkowe popołudnie i lunch składający się z portera, po którym cała nasza szesnastka wracała, nieco spóźniona, do sennego, nudnego prostokąta popołudnia, aby trzymać przed poczerwieniałą twarzą akta i czekać na koniec dnia pracy.

Naszym kierownikiem był McCarthy. Nie dzielił z nikim biurka, tylko siedział sam, w końcu pokoju. Mówiono, że ma włoski garnitur. Zwracał się do nas per proszę pana i czasami przyglądał się nam z twarzą zastygłą w błogim zadowoleniu, jakby nasze pracowite pióra i bibuły odsłaniały przed jego wzrokiem tajną maszynę Państwa. Potrafił patrzeć na nas bez końca, a wtedy szybciej machaliśmy piórami, udając, że kreślimy kaligraficzne zawijasy, i odwracając puste kartki w tę i z powrotem, jakbyśmy szukali na ich czystej powierzchni runicznych znaków czasu. W nieoznaczonych porach pan McCarthy wstawał z powagą, którą podkreślały wielkie klapy marynarki, i energicznym krokiem wychodził z biura w sprawach wagi państwowej. Upłynęło pół roku, nim zrozumieliśmy, że najczęściej udaje się do toalety wchodzenie zaś i wychodzenie z pokoju dla kierownika wymyślił sobie jako sposób na to, żeby na garniturze nie osiadał kurz. Z chwilą gdy nas opuszczał, odsuwaliśmy krzesła, strącaliśmy z barków jarzmo Życia i czekaliśmy, obserwując drzwi z uniesionymi w gotowości piórami.

Wszystkie jesienie były wilgotne albo mokre. Liście zatykały rynny lub tańczyły taniec duchów pod drzwiami od podwórka, gdy zasiadaliśmy z ojcem w kuchni do podwieczorku. Zimy nadchodziły szybko i pokrywały drogi gołoledzią. W styczniowe ranki pedałowalem do miasta tak wolno, że każdy obrót koła zdawał się skrawać cienusieńki wiórek mojego życia, i dojechawszy do biura, czułem się o całe tygodnie starszy i bardziej zmęczony niż o jasnej mroźnej godzinie, gdy dosiadałem roweru. Dni przepadały bezpowrotnie, wieczorna ciemność gęstniała od węglowego dymu, który kłębił się w żółtym świetle latarni i zasnuwał mgłą gwiazdy. Gdy nastąpiła wiosna, ledwie ją zauważyłem. Ze schodów w biurze znikł mokry szlak, niebo szybujące za wysokimi nie otwieranymi oknami nad głową McCarthy'ego nanosiło jak pociągnięcia pędzla pędzące kolory dni. Na krótką chwilę bezchmurny błękit znieruchomiał i zintensywniał, a potem było lato. Wpatrywaliśmy się w rozpiętą za oknem płachtę obietnicy, pochylaliśmy głowy, maczaliśmy pióra w atramencie i znów robiła się jesień.

Któregoś dnia McCarthy wezwał mnie do siebie. Był skrupulatny i pedantyczny. Stojąc przy nim, nie sposób było nie spostrzec gładko wygolonych policzków, schludnej fryzury, wyprasowanego garnituru. Siadał tak, żeby nie przygnieść kantów spodni, na samym brzeżku krzesła, i jednocześnie pochylał się nad biurkiem, jakby podkreślając gotowość do pracy albo do zerwania się na nogi, aby przemaszzerować przez pokój i wyjść na jedną ze swoich rundek – bez zagnieceń, w spodniach w kant. Ten człowiek znalazł miejsce dla siebie, wygładził pogmatwany, szalony chaos atakującego życia w gładką jak wyprasowane spodnie rutynę pracy. Spojrzał na mnie i zniżył głos do szeptu.

– Ktoś o pana pytał – rzekł i wysunął się jeszcze bardziej do przodu na krzesło, aż jego kolana dotknęły moich. Ktoś z góry.

Patrząc w jego błyszczące brązowe oczy, widziałem, jak bierze do ręki moje życie, modeluje, nadając odpowiedni kształt, i zwraca z powrotem.

– Ankieta – szepnął, składając ręce między nogami. Trzymał je tam i kiwał głową, po prostu kiwał głową, zaglądając do serca chłopcu, który miał zostać gwiazdą w doskonale uporządkowanej rządowej konstelacji.

– Zachęcająca ankieta, panie Coughlan – szepnął, raptem przenosząc czujny wzrok na głowy pochylone nad kaligraficznymi wprawkami. – Bardzo zachęcająca – dodał, dobywając słowa ze sprasowanych w kant ust i omiatając spojrzeniem pokój.

Usiadłem potem przy swoim biurku, spojrzałem na zegar, uniosłem pióro i zastygłem. Jasność za oknem zgasła, popatrzyłem na leżące przede mną akta, a gdy znów podniosłem wzrok, uzmysłowiłem sobie nagle, że minęły trzy lata mojego życia.

Na początku tygodnia, w którym Peader O’Luing miał się jej oświadczyć, Isabel stała z miotłą na środku sklepu i nie po raz pierwszy wsłuchiwała się w nachodzące ją wątpliwości. Minęły już trzy lata. Po śmierci Maire Mor prowadzeniem sklepu zajęła się niemal wyłącznie Isabel. Dbała o ład i porządek, wymieniała półki, wietrzyła zapasy towaru i wyrzucała na podwórko najstarsze bele tweedu, które spadały z pylistym „pach”, wypuszczając mole czasu. Mimo to od poniedziałku do soboty w magazynie z wełną i tweedami O’Luinga nie pojawiali się klienci, handlował głównie Peader z tylnego siedzenia czerwonego forda, w sklepie zaś, ponurym i cichym jak grobowiec, straszły duchy rodziny O’Luingów.

Przez trzy lata Isabel do tego przywykła. Odkryła, że z miłością jest jak ze wszystkim innym. To nawyk serca. Najpierw człowiek mu się oddaje, a potem dzień po dniu żłobi coraz głębszą, niezmienną koleinę uczuć. Codziennie budziła się u siebie, wstawała, szła przez Galway i otwierała drzwi sklepu, nie oczekując więcej niż zdawkowego całusa od Peadera, który po zejściu z góry przytulał ją lekko na powitanie, po czym wychodził. Zasługiwała na taką, a nie inną miłość. Ich wzajemne uczucia ułożyły się w pewien schemat – rano okazywali sobie chłód, a wieczorem spotykali się niczym dwoje nieznajomych i znów miłość pchała ich ku sobie na tylnym siedzeniu samochodu, a później opuszczała zdyszanych pod wyczerpanym przedrannym księżycem. Peader nie chciał, żeby Isabel wprowadziła się do niego. Gdy umarła matka Peadera, Isabel widziała, jak poczucie winy wychodzi z niego wszystkimi porami. Przez miesiąc chodził wściekły. Miał pretensje do matki, że umarła, zupełnie jakby chciała ostatnim aktem woli zmusić go do posłuszeństwa, wepchnąć się na miejsce tej dziewczyny. W dniu poprzedzającym pogrzeb wypił jedenaście kufli porteru, siedem szklaneczek whiskey Jameson i dwa kieliszki wódki, a gdy przyprowadził z pubu chwiejącą się na nogach grupę żałobników, zwymiotował i padł bez czucia na podłogę sklepu. Rano Isabel umyła mu twarz. Widziała w nim rannego ptaka ze złamanym skrzydłem, którego odratuje, aby mógł latać, i wyobrażała sobie, że bez jego matki uda im się wreszcie wlecieć między obłoki bardziej ustabilizowanego szczęścia. Po pogrzebie przez tydzień Peader był spokojniejszy i radośniejszy niż kiedykolwiek przedtem. Nim wyszedł rano, ścisnął czule dłoń Isabel. Wieczorem porywał ją do tańca pod błękitnym baldachimem czerwcowego nieba.

A potem, w samym środku lata, wytrysnął gejzer winy. Isabel spytała o coś rano, a Peader odpowiedział krzykiem. Gdy zwróciła mu uwagę, że niesłusznie się uniósł, uderzył ją w twarz.

Czerwony płomień bólu palił ją przez cały dzień. Siedziała za ladą i płakała, rozcierając palcami piekący policzek i usiłując odnaleźć w sobie nienawiść. Nie mogła znieawidzić Peadera, bo gniew, który w sobie wzbudzała, od razu wyparowywał, i przez sześć godzin miotania się w pułapce miłości zrozumiała tylko tyle, że nie potrafi tego pojąć. Jak to się stało, że wpadła w tę pułapkę, i dlaczego teraz nie może się z niej wydostać? Będąc uczennicą lekkomyślnie uchylła drzwi do dorosłości i weszła w życie Peadera, a teraz równie lekkomyślnie

postępowała, nie wymykając się z jego życia. Przecież muszę zostać, powiedziała sobie; potem nagle podjęła decyzję, że go opuści. Obróciła wypłowiałą tekturową wywieszkę w drzwiach wejściowych i stała przez chwilę, wyglądając ponad napisem ZAMKNIĘTE z ponurym triumfem, ale nikt nie zwrócił na nią uwagi. Obróciła się, popatrzyła na bele materiału i poczuła, że się dusi wśród tych szaroburzych kolorów. Początkowo zamierzała ściągnąć z półki jedną belę, żeby wyładować gniew. Jednakże po chwili ściągnęła ich kilka i zaczęła rozwijać szerokie tweedy na ladzie i dookoła sklepu; zepchnęła kasę, która spadła na podłogę z żalonym brzękiem drobnych monet i rozbitego dzwonka. Wciąż jednak nie odczuwała prawdziwego triumfu. Ani ulgi. W sklepie panował rozgardiasz, ale bez wywrócenia wszystkiego do góry nogami ani takich zniszczeń, które odzwierciedliłyby stan jej oszalałego serca. Było jej mało; wzięła płaszcz i wyszła na ulicę. Co mogła jeszcze zrobić? Co mogła zrobić, żeby mu pokazać? Żeby zburzyć to straszne więzienie, jakie dla niej zbudowało jej serce. Peadar nie był tym, którego naprawdę pragnęła. Tyle mu brakowało, a mimo to... Szła Shop Street, niepewna, dokąd się wybiera ani czy kiedykolwiek wróci. Dotarła do mostu i poczuła odświeżający oddech morza. Szła dalej drogą prowadzącą do morza, uzmysławiając sobie, jak bardzo oddaliła się od spacerów po wyspie swojego dzieciństwa. Co mogła zrobić? Jakiś samochód zatrzymał się i mężczyzna mówiący z niemieckim akcentem spytał ją o drogę do Spiddal. Usiadła obok niego. Przez radio nadawano gwizdane melodie.

Tę samą muzykę radio grało dwa dni później, gdy odwoził ją do Galway, rozgrzany i naładowany jej bliskością, i pytał po raz ostatni, czy nie zechciałaby pojechać z nim do Donegal.

Isabel szła do sklepu, wiedząc, że nie potrafi się uwolnić od Peadera O’Luinga; że jej miłość do niego jest grubym węzłem sprzeczności i poczucia winy, ale też, że nigdy więcej nie pozwoli się uderzyć.

Jego samochód stał przed sklepem. Na drzwiach nadal wisiała wywieszka ZAMKNIĘTE. Gdy Isabel wkładała klucz do zamka, otworzył jej Peadar. Poraził ją ciężki zapach i półmrok sklepu. Materiały leżały nieuprzątnięte. Peadar stał z bijącym z oczu bezbrzeżnym żalem za to, co zrobił, i niemym gestem wskazał opadające tulipany, które kupił jej przed dwoma dniami. Wręczył je teraz jako dowody skruchy. Isabel wzięła kwiaty, patrząc prosto w jego wyczekujące oczy, i upuściła je na podłogę.

- Za kogo ty mnie masz? – spytała opanowanym głosem.
- Kocham cię.
- Za kogo ty mnie masz? – powtórzyła.
- Przepraszam.
- Uderzyłeś mnie.
- Jezu, Issy.
- Uderzyłeś mnie z nienawiści.
- Bardzo cię przepraszam. Cholernie mi przykro, Issy. Jezu.

– Jak ja mam właściwie się czuć? – spytała, mając przed sobą jego odwróconą twarz. – Mam się czuć fantastycznie z powodu tych kwiatów? – Podniosła wędnące tulipany i podetknęła mu je pod nos. – Mam uznać, że wszystko jest w największym porządku? Peadar, czy tak właśnie mam się czuć?

Peadar odczekał chwilę oszołomiony bólem. Za jego plecami stał ojciec i śmiał się szyderczo. Peadar poczuł palący rumieniec, nagle zakrył oczy rękoma, wydał wściekły okrzyk, jakby chciał odgonić ducha, i padł na kolana.

– O Jezu!

Tego Isabel się nie spodziewała; w machinie miłości coś zgrzytnęło, jakieś tryby zaczęły się obracać w przeciwną stronę i w ten letni dzień, w zrujnowanym sklepie coś pchnęło Isabel ku Peadarowi akurat w tym momencie, gdy mogła się wyzwolić z tej skażonej miłości.

– Nienawidzisz mnie? – spytał.

Ta chwila miała do niej wracać wiele razy, rozgrywać się wciąż na nowo w jej pamięci. Nienawidzisz mnie? – wyraźnie pamiętała, jak przed nią stał, z tą swoją toporną twarzą i grubymi wargami, jakże niepodobny do wyśnionego księcia z bajki, a jednak chwilę potem trzymała go w ramionach, odbudowywała na nowo świat, z jakąś straszliwą, płynącą z żalu czułością, i oddawała się rozpaczliwym pocałunkom, w których płonęła chęć naprawienia nieba.

Isabel czekała tydzień z odpowiedzią na oświadczyzny Peadera. Napisała list do matki, aby po raz pierwszy na piśmie zadeklarować, choć nie do końca, co czuje do Peadera. Niesłusznie sądziła, że matka nie zrozumie sprzeczności wikłających ich związek, i napisała tylko o jaśniejszej stronie, o kochaniu. Chciała w ten sposób przygotować grunt, stopniowo oswoić najbliższych z myślą o swoim małżeństwie, ponieważ wiedziała, że załamanie ono ojca. Obawiała się zresztą, że jest w ciąży i ślub trzeba będzie przyspieszyć.

Kiedy Margaret dostała list, od razu odczytała jego prawdziwy sens i wiedziała, że zapewne nie obejdzie się bez wesela. Muiris siedział w pokoju nad dziewiątą wersją nowego wiersza, gdy stanęła w drzwiach wychodzących na morze, zastanawiając się, jak powiedzieć o wszystkim mężowi. Bała się przerwać nić szczęścia, którą zaczął prząść, więc schowała list do kieszeni fartucha, odkładając na później decyzję, co z tym fantem zrobić. Wieczorem, gdy mąż wyszedł z domu, usiadła obok Seana i oglądała telewizję. Sean wyrósł na chudego bladego mężczyznę, którego dzieciństwo wraz z zamiłowaniem do muzyki przypadło jak rzucona w morze butelka. Nie tliła się w nim żadna iskra, żył pogrążony w niemocie niczym wyspa na nieprzebytym oceanie niezrozumienia. Wiadomo było, że nigdy nie opuści domu, i matka opiekowała się nim bez żalu, widząc w beznadziejnej tajemnicy jego stanu dowód istnienia skał na drodze miłości. Nie była pewna, czy Sean rozumie programy telewizyjne, ale zdawały się przynosić mu pewne ukojenie, więc co wieczór przesiadywał, gapiąc się z przekrzywioną głową na obrazy z innych światów. Tego wieczora, nie bardzo wiedząc dlaczego, Margaret wyjęła list i powiedziała Seanowi, że to od jego siostry. Kiedy Sean patrzył nieruchomym wzrokiem w telewizor, przeczytała mu list.

Nie spostrzegła żadnej reakcji, więc przypuszczała, że nic dla niego nie znaczył. Ale na drugi dzień przyszedł doktor Connell i powiedział, że Seanowi się pogorszyło. Muiris i Margaret stali w kuchni, patrzyli na syna siedzącego w fotelu, okutanego kocem, i oboje wyraźnie widzieli splątaną sieć, którą wokół siebie tkął. Nie chciał jeść, leżał zwinięty w kłębek, z oczami utkwionymi w siną dal smutku. Nie pierwszy raz rodzice słyszeli, że powinni go odesłać do zakładu na lądzie, i nie pierwszy raz odmówili. To nie byłoby w porządku, powiedziała Margaret, odsyłać go, jakby przynosił nam wstyd. Był ich dzieckiem i powinien zostać z nimi na wyspie, dopóki oni tu żyli. Gdy przyszły sąsiadki w odwiedziny do chorego, Muiris wymknął się do ogródka od frontu. Trudno mu było znieść to współczujące, bezradne grono, popijające herbatę i modlące się, stał więc na dworze, nie zważając na mżawkę, i dzielił swoją rozpacz na słowa układające się w nowy wiersz. Patrzył na morze i deszcz zacierające ląd w oddali i zarzucił wędkę modlitwy w nadziei, że coś się wydarzy, że świat nie jest przypadkowy, że nieskończony boski majestat odpowie.

Tydzień później Seanowi ani trochę się nie poprawiło. Zapadał się coraz bardziej w niewidoczny świat i jego matka postanowiła napisać o tym do Isabel. List został dostarczony do

sklepu w dniu, w którym Isabel miała dać ostateczną odpowiedź Peaderowi, czy za niego wyjdzie. Otworzyła list, zamknęła sklep i złapała prom do domu.

Kiedy ojciec ją zobaczył i przytrzymał za rękę, pomagając wysiąść na brzeg, tak się wzruszył, że zaczął kasłać i chrząkać, żeby ukryć łzy. Córka, ta oszołamiająco piękna kobieta, szła u jego boku z uniesioną nieosłoniętą głową i włosami rozwianymi na wszystkie strony. Spytała o brata, a kiedy odpowiedział, zobaczył ten sam wyraz twarzy co tamtego popołudnia, gdy sprowadziła Seana do domu znad urwiska. Wyteżył umysł, życie jego dzieci załopotalo jak rozwieszane pranie. A więc to nas teraz zbliża, pomyślał. To było jak rodzinna tajemnica, dziwna więź, bo choć Muiris i Margaret nigdy nie mówili przy córce o wypadku, wspomnienie tamtego dnia towarzyszyło im zawsze, kiedy znaleźli się razem we czworo.

Ojciec i córka szli do domu w milczeniu, nieco się chwiejąc pod ciężarem życia, każde pod swoim. Muiris przeciwiczył całe przemowy, zagajenia, powolne podejścia do grząskiego gruntu drugiego życia Isabel na lądzie, ale nie mógł się zebrać na odwagę i przemówić. Dlaczego, zadawał sobie pytanie, dlaczego nie mogę jej nic powiedzieć, cokolwiek, byle zacząć? Obracał w myślach jakieś zdanie, przygotowywał je, a potem puszczał z wiatrem. Daremne próby, nie mógł ryzykować, że ostudzi to niewyrażone słowami ciepło, które czuli, idąc obok siebie, ale gdy zbliżyli się do domu i Margaret otworzyła drzwi, zrozumiał, że nigdy nie doświadczy tego, co w jednej chwili przepłynęło między matką i córką.

Isabel przywarła do matki tak ściśle jak kawałek do kawałka układanki.

– Niedobrze z nim, Isabel – powiedziała Margaret, cofając się i przepuszczając córkę do pokoju Seana. Mając Muirisa u boku i patrząc, z jaką tkliwością Isabel pochyła się nad bratem, Margaret nie mogła zwierzyć się córce ze swoich obaw, że źle zrobiła, odczytując synowi jej list. Teraz nie mogła o tym mówić, więc razem z mężem stała i w milczeniu przyglądała się, jak Isabel tuli głowę brata i szepce słowa powitania, nie wiedząc, czy on je słyszy.

Wiatr świszczal pod oknami, zapadł zmierzch. Kiedy Isabel przyszła do kuchni na kolację, a Muiris znikł za drzwiami, chwytając wiatr w żagle i sterując w stronę pubu, Margaret spytała córkę, jak się miewa.

– Dobrze.

– Tak trudno ci powiedzieć?

– O czym?

– Że pewnie wyjdiesz za niego za mąż.

Matka mówiła ściszym głosem, żeby Sean w pokoju obok nie usłyszał. Isabel mieszała łyżką zupę.

– Oświadczył mi się.

– Wiem. Wiem o tym. I co mu odpowiedziałas?

– Nic.

– Ach tak.

– Powiedziałam, że odpowiem za tydzień.

– To znaczy kiedy?

– Dzisiaj.

– A więc nie jesteś pewna swoich uczuć?

Zadawszy do pytanie, Margaret poczuła, że się zagalopowała, że jej straszliwa tęsknota za córką szasta się od ściany do ściany i za chwilę zawyje jak demon witający nadejście smutku i błędów. Czemu, czemu nie zdusiła tej miłości w zarodku, kiedy jeszcze był na to czas?

– Nigdy nie jestem niczego do końca pewna – odparła Isabel. – Czasem jestem pewna, ale na drugi dzień się gubię. I wtedy się zastanawiam, czy ja w ogóle kiedykolwiek jestem czegoś pewna.

– Powinnaś być pewna swoich uczuć do niego. – Margaret znów poczuła, że jest zbyt natarcywa, jakby zaciskała metalową obręcz.

– Ale nie jestem.

– Więc nie powinnaś za niego wychodzić.

Nareszcie to powiedziała, ulżyła sobie, ryzykując, że córka odwróci się od niej; sama czuła się już jak teściowa – ta niechętna, potępiająca kobieta, której zięć nigdy nie zechce odwiedzić na wyspie. Już była jego nieprzyjacielem, a gdyby córka wybrała jego właśnie, nie byłoby odwrotu; jeżeli Isabel kochała choć trochę Peadera, to musiała w równym stopniu jej teraz nienawidzić. Pograżała się w poczuciu beznadziejności swojej sytuacji, gdy Isabel przerwała jej pytaniem.

– A ty byłaś pewna?

– Tak – odparła szybko, przenosząc się myślami do Donegal, gdy jako młoda dziewczyna szła ulicą i niosła w koszyku list, a potem wspominając z bólem, ni to gorzkim, ni to słodkim, jak wracała ze spotkania, jakby skrzydła urosły jej u nóg.

– Tak, byłam pewna – powiedziała. – I ty też musisz czuć tę pewność, Isabel, żeby znieść wszystko, co cię czeka.

Będzie ci potrzebna. Bo czekają cię próby, a gdy będziesz im stawiać czoło, przyda ci się poczucie, że wybrałaś tego, którego kochałaś.

W pokoju jęknął Sean – tak cicho, jakby opadł kurz – ale Isabel wstała, żeby do niego zajrzeć.

– Nie mam pewności – powiedziała i odeszła.



Deszcz ustał na drugi dzień i Isabel wyprowadziła Seana na dwór w wysłużonym twardym wózku. Drogi na wyspie były raczej wydeptanymi przez wieki ścieżkami i wózek podskakiwał na nierównościach, gdy oddalali się od domu i wychodzili ku swobodniejszym powiewom od morza. Sean siedział przechylony na bok, a Isabel czuła jego bezwładny ciężar i zaczęła się z nim szarpać, ledwie wydostali się z wioski. Ale pchała dalej, wywożąc go jak najdalej od domu, zarówno ze względu na siebie, jak i na niego. Kiedy obudziła się rano, powietrze w domu zgęstniało od odbijających się echem pytań zeszłego wieczoru. Położyła się spać w swoim łóżku z czasów dzieciństwa, pod oknem otwartym na nocne odgłosy morza. Nie było gwiazd, ciemne plamy chmur sunęły jak posępne duchy. Spała niespokojnie, a przy śniadaniu uczucie, że znalazła się na skraju przepaści, przerodziło się w pragnienie, żeby zabrać Seana nad morze.

Zostawili za sobą domy i poranne pozdrowienia. Brat i siostra, oboje wyciszeni, odbywali ponownie tę samą podróż co przed laty, gdy zdarzył się wypadek i gdy Isabel zaczęła wierzyć, że jedynym jej dziedzictwem będą nie spełnione marzenia. Była zła na siebie, że nie wie, jak postąpić z Peaderem, a spojrzawszy na brata na wózku, gardziła sobą za to, jakimi błahostkami się martwi. Życie było bezsensownym bałaganem krzepnącym wokół niej, a pełne zachwyty i radości dziewczęce lata odpłynęły wraz z cofającą się falą oceanu: Sean nie wrócił do zdrowia, Peader był jak świeżo odmalowany statek, który zaczął tonąć i z którego wycieka jakaś brzydka plama, ona zaś musi dokonać naprawy. Ci dwaj wydawali jej się ściśle ze sobą połączeni; jeżeli wyjdzie za Peadera, to może...

Posuwali się powoli naprzód, do przepaści na skraju wyspy. Isabel nie miała nawet pewności, czy Sean pamięta wypadek. Na pewno nie był na tamtym miejscu od lat, ale siostra, choć nie potrafiła wytłumaczyć czemu, właśnie tego ranka poczuła, że po prostu muszą się tam oboje wybrać. Mewy wylatywały spod brzegu urwiska i wybuchały chrapliwym śmiechem nad głową Isabel, która z coraz większym trudem przepychała wózek po kamieniach. Chmury strzępiły niebo, a wiatr nadawał powietrzu szklistość. Ptaki szybowwały wysoko, opadały i znów wznosiły się cudownymi łukami, jakby latały po niewidzialnych szlakach Bożego serca. Zdyszana i zarumieniona z wysiłku, Isabel zablokowała hamulce wózka i usiadła na skałach. Wstrząsnęła głową, uwalniając usta od zatykających je włosów, i spojrzała na brata.

– Wiesz, gdzie jesteśmy? – spytała. – Przyszliśmy tutaj tamtego dnia po szkole. – Popatrzyła na morze. – I wtedy właśnie wszystko zaczęło się psuć.

Sean przekrzywił się na jedną stronę w wózku i utkwiał wzrok w dalekim horyzoncie.

– Od tamtej pory było mi źle. Tak jak tobie. Pragnę tylko jednego, żebyś wyzdrowiał. Żebyś wstał i powiedział „sie masz, dziewczyno” albo coś w tym rodzaju. Poszlibyśmy do domu, opowiedziałabym ci o Peaderze, a ty byś mi pomógł. Wiem, że tak.

Słowa uleciały z wiatrem. Siedząc na skale, Isabel raptem uświadomiła sobie, że przyszła tu z nadzieją na cud. Na to właśnie czekała, czekała na chwilę, kiedy Bóg znowu będzie przechodził

koło urwiska i jednym skinieniem uzdrowi Seana. Wówczas jej pęknięty świat zrósłby się, a małżeństwo z Peaderem stałoby się słodkim rajem, jaki sobie wymarzyła. To byłby znak, na który czekała.

– Poprosił mnie o rękę – powiedziała. – Wiem, że o tym wiesz. Mama myśli, że właśnie dlatego gorzej się poczułeś.

Czy to prawda, Sean? Ja wcale nie wiem, czy za niego wyjdę. Jeszcze się nie zdecydowałam. Czasem go kocham, a czasem nie. Chyba więc nie powinnam za niego wychodzić. Jak uważasz?

Sean ani drgnął, więc Isabel już nic więcej nie mówiła, tylko przeczekiwała płynący wolno poranek i wypatrywała na niezmiennym zachodnim horyzoncie jakiegoś znaku zbliżającego się Boga. Od czasu gdy opuściła wyspę, przestała chodzić do kościoła i nie odmawiała zwyczajowych modlitw. Nadal wierzyła, że Bóg jest gdzieś tam, w niezbadanych przestworzach nieba, i być może w tej chwili nawiedza życie jakiegoś nic nie podejrzewającego, niewinnego człowieka. Przesądność w równym stopniu co wiara kazała jej trwać na skraju urwiska w nadziei na jakiś znak, na coś, co rozwiąże zagmatwany węzeł życia. Minęła jedna godzina. Potem druga. Zrobiło im się zimno. Nawet mewy dały za wygraną i odleciały. Zrób coś, zrób coś, zrób, błagała w duchu Isabel, zanosząc nieme wołanie pod niebiosa, żeby się rozwarły i spuściły łaskę. Zrób coś, zrób.

Nic nie nadeszło prócz popołudnia, głodu i duchów rozpaczy. Sean nie wydawał żadnego dźwięku i siedział bez ruchu, z oczami utkwionymi w pustkę z takim zachwytem, jakby otaczały go anioły.

Isabel dała Bogu szansę. Po południu wróciła do domu, ciągnąc Seana na wózku z tyłu, i poprzysięgła sobie, że jeżeli na drugi dzień będzie ładnie, to znów zawiezie go w to samo miejsce.

Tak też zrobiła.

Odprawiała jakby obrzęd czuwania i przez tydzień pobytu w domu codziennie rano opatulą Seana kocem i wypychała wózek przez drzwi. Matka patrzyła na to, domyślała się wszystkiego i w milczeniu bolała nad rozpaczliwą miłością i nadzieją, które paliły serce córki. Widziała w tym fragment nieszczęsnej zagadki życia, nieprzeniknionej tajemnicy: dlaczego jest to, co jest, i dlaczego staramy się dopasowywać i łączyć wydarzenia tak, by splotły się w cienką tkaninę sensu. Bez słowa wsuwała pod koc paczuszkę z herbatnikami, rozumiejąc, że Isabel robi to, co musi, a tkwiące w człowieku pragnienie, żeby kogoś uleczyć, jest silniejsze od ognia. Odprowadzała oboje błogosławiącym spojrzeniem, klękała przy kuchni i odmawiała modlitwę.

Kiedy Isabel i Sean mijali szkołę, Muiris zadał uczniom ćwiczenie i zaczął wyglądać przez okno. Patrzył na swoje dzieci z rozdartym sercem, samemu odczuwając żalną nadzieję Isabel równie mocno jak przed laty, gdy wypadek syna zdruzgotał mu życie. Ile on się wtedy nakłęczał, błagając o zmiłowanie. Teraz ból był nawet większy, bo Muiris wiedział, że pragnienia Isabel są płonne, modlitwy na nic się nie zdadzą, a czuwanie nad urwiskiem żłobi co dzień nową rysę w jej niewinnym sercu. Ze względu więc na nią, w równym stopniu co na Seana, pragnął odmiany na lepsze i kiedy córka z synem oddalili się, prowadził lekcje nieobecny duchem, układając w myślach modlitwę o to, żeby on sam padł martwy, a jego syn ozdrowiał i stanął na nogach.

Uczniowie skończyli ćwiczenia, a nauczyciel wciąż bujał w obłokach. Zaczęli więc mazać ławki i strzelać poplamionymi atramentem papierowymi kulkami. Niektóre z cichym pac! trafiały w wiszący z tyłu klasy obraz, który Isabel zatytułowała „Skarb” – wspaniałe zgiełkliwe morze w drewnianej ramie, namalowane przez Williama Coughlana.

W klasie zapanował niezły rwetes i Muiris był zmuszony oderwać się od rozmyślań o synu i córce. Śmignął spojrzeniem jak batem i kiedy głowy pochyliły się potulnie, zaczął rozważać rozmaite układy z Bogiem. Dzień dłużył się, chmury powoli zbijały się w groźną masę, a morze kłębiło się bez końca. Nie było od tego ucieczki i w takich chwilach, myślał Muiris, o wiele gorzej jest żyć na małej wysepce. Otaczające ją ze wszystkich stron morze było jakby niespokojnym, niezgłębionym sercem Życia, a pytania, które zadawał, wpadały weń jak kamienie. Zapragnął, by przed oczami roztoczył mu się inny widok, i nagle kazał uczniom odłożyć pióra i wysłuchać opowieści o Mojżesz i Morzu Czerwonym. Zaczął opowiadać – mimo że starsi uczniowie już raz słyszeli tę historię – i w mgnieniu oka wyobraził sobie, jak morze między ich wysepką a lądem rozdziela się, wyobraził sobie tamtą biblijną potrzebę i modlitwę, która rozcięła wody jak nóż; miał przed oczami Isabel i Seana na szczycie urwiska, wózek lśniący w świetle wietrznego dnia, Isabel błagającą o jakiś znak, a potem ta zapierająca

dech, podniosła chwila, „pomyślcie tylko – rzekł – pomyślcie tylko” – powtórzył, nachylając się nad katedrą, i zamaszystym ruchem wskazał otaczający ich życie Atlantyk, trzymając rękę tak, że Cronin i O’Flaherty wstali z miejsc i wyjrzelili wyczekująco przez okno.

– I w tym momencie – skrzywił się na ogrom wiary, jakiego to wymagało – gdy wszystko obróciło się przeciwko nim, gdy ogarnęła ich czarna rozpacz, a świat zdawał się bezbożnym padołem, na którym mogło dojść już tylko do straszliwego rozlewu krwi, właśnie wtedy, chłopcy i dziewczynki, morze się rozstało i zostali uratowani.

Wcześniej zakończył lekcje i został sam w pustym budynku, słuchając oddalających się okrzyków podekscytowanych dzieci i patrząc na ciemniejące szare morze. Popołudnie było chłodniejsze niż poprzedniego dnia, a mimo to nie widział jeszcze Isabel i Seana wracających znad urwiska. Siedział na swoim miejscu i czuł, jak ogarnia go bezrozumny strach, że stało się coś okropnego. Miał pod oknem zamykaną na klucz szafkę. Podeszedł teraz do niej, wyjął butelkę i nalał sobie kieliszeczek whiskey. Wypił, stojąc koło obrazu, który przypominał mu o miłości żony, i starał się opanować strach. Dlaczego wciąż spodziewam się jakiejś tragedii? – zapytał siebie w duchu. Nie potrafił uściślić, skąd brały się te złe przeczucia, ani ich nazwać, a whiskey zamiast mu w tym pomóc, rozmaszała tylko jego odczucia w rozmaite kształty i kolory, nie przybliżając go jednak do prawdy. Tego popołudnia ani następnego, ani żadnego dnia w tym tygodniu Muiris nie dowiedział się, że córka stoi na krawędzi nowego życia i że jego strach płynie właśnie stąd. Czekał, a kiedy niebo zaczęło ciemnieć, postanowił pójść nad urwisko i przyprowadzić córkę i syna do domu. Tak, pójdę po nich, myślał, jestem ojcem, przeprowadzę ich przez niebezpieczne wody. Do roboty, ponaglił się w duchu, idąc chwiejnie przez klasę. Do roboty. Kiedy otworzył drzwi szkoły, stado mew zakrzyczało mu nad głową, a whiskey nagle rozpałała od środka, stapiając szklane okruchy zawodu w błyszczącą taflę zdecydowania. Potknął się i sam siebie skarcił, każąc stanąć prosto i nie udawać głupca. Kto wie, co się zdarzyło. Ale coś się zdarzyło na pewno, przecież wiedział. Chryste Panie, wiedział to z całą pewnością. Wiedział, że coś się stało, i niepewnym chybotliwym krokiem ruszył spieszenie w stronę dalekiego brzegu, gotów dać głowę, że Bóg znów go trzepnie straszliwą karzącą ręką.

Może oboje nie żyją, myślał. Może utonęli, kiedy ja siedziałem w tej cholernej klasie. Mogli skoczyć. Isabel mogła zrobić wszystko, wydaje się taka... taka zraniona.

Przeszedł ze czterysta jardów rozgrzany płomieniem whiskey, spodziewając się najgorszego. Spiesząc naprzód, czuł w ogarniającym go podnieceniu, że mógłby ściągnąć na dół anioły, które unosiły jego utopione dzieci do nieba, że mógłby ściągnąć i uwolnić z dalekiego jaśniejszego nieba ich dzikie wyspiarskie dusze. Jeżeli je zabrano, myślał, jeżeli je zabrano, toby to zrobił, zrobiłby to.

Wtem zobaczył ich przed sobą. Wracali kamienistą ścieżką, jakby z Królestwa Zmarłych. Isabel ciągnęła wózek za sobą, a Sean, ogorzały od wiatru, przechylał się lekko na bok i widać było tylko jego głowę, więc w pierwszej chwili odnosiło się wrażenie, że siostra niesie dziecko na plecach. Nie doszło do tragedii. Nie zdarzył się cud ani nieszczęście, nie rozstało się morze

ani nie odmienił się świat i Muiris, stanąwszy przed synem i córką, rozplakał się rzewnymi łzami. Objął niezręcznie tych dwoje i uściskał, nie mogąc, jak niegdyś, otoczyć dzieci ramionami, nie mogąc uczynić ze swych rąk niezwyciężonej fortecy i przytulić dzieci do serca, ale trzymał je, jak mógł. Trzymał w objęciach i płakał bez słowa. Nachylił się i ucałował twarz syna, przytrzymał ją dłońmi i lekko potrząsnął, dając upust nagromadzonym emocjom. Boże, jak ja cię kocham, pomyślał, a te proste słowa i uczucie przeszły go dreszczem, rozdzielając w nim siłę miłości od daremnych prób pełnego jej wyrażenia. Muiris trzymał mocno syna i córkę. Przycisnął czoło do pochylonej głowy Isabel, jakby chciał tam zostawić laurowy wieniec wdzięczności dla niej i zrozumienia, dlaczego zabrała Seana nad urwisko. Ze słodkim szmerem whiskey we krwi Muiris obejmował dzieci na kamiennej ścieżce, na wietrze huczącym późnym popołudniem, pełen skruchy, żalu i miłości, z oczami pełnymi łez, roztrzęsiony i czujący się tak blisko obojga, jak już nigdy nie miał się poczuć do końca życia.

## 8

Na drugi dzień Margaret Gore powiedziała mężowi o oświadczeniach. Muiris bez słowa poszedł do szkoły, a Nora Liathain, która rzucała kurom okruszyny chleba, gdy koło niej przechodził, nie zwróciła nawet uwagi, jaki jest załamany.

Isabel została na wyspie przez tydzień. Przemawiała do Seana i czekała na cud, aż w końcu przestała wierzyć, że się wydarzy. Mimo to zabierała brata codziennie w to samo miejsce i coraz mocniej zaciskała węzeł łączący jej życie z jego bólem. Przez wiele godzin spędzonych na skalistym brzegu targowała się z Bogiem, najczęściej układając taką umowę: Jeżeli nie chcesz, żebym wyszła teraz za męża, uzdrów Seana. W niedzielę, po mszy w małym zatłoczonym kościele, postanowiła poczekać jeszcze jeden dzień i dopiero wtedy wrócić do Galway. Jeżeli coś się miało zdarzyć, to powinno się zdarzyć teraz, niezależnie od tego, gdzie przebywał Sean; nie musiała zawozić go nad urwisko, poszła więc do swojego pokoju zapakować walizkę. Z białej komódki, której uszkodzone metalowe uchwyty ojciec nieraz obiecywał naprawić, wyjęła ubrania z dziewczęcych lat, spódnice i sukienki, od których w sypialni cofnął się czas. Otóż i ona, dwunastoletnia Isabel siedząca na łóżku w sukience w czerwono-zieloną kratę. Wydobywała książki, fotografie, drobiazgi, przechowywane w szufladach, gdzie osiadał na nich kurz wspomnień, który teraz, w niedzielne popołudnie, mogła delikatnie zdmuchnąć.

Po godzinie była otoczona samą sobą sprzed lat. Wyjmowała rzeczy z szuflady jak zaginione skarby z rozbitego statku i rozkładała je na łóżku, na twardym krześle, a w końcu na podłodze, aż sypialnia zmieniła się w kolaż z kawałków jej życia. Im dłużej opróżniała szuflady, tym wyraźniej uświadamiała sobie, że tego popołudnia kończy pewien etap; nie była już tą dziewczynką, którą przywołały stare ubrania, patrząc wstecz, widziała kogoś obcego, nie siebie. Poszła po plastikowe torby, do których zaczęła pakować swoją przeszłość. Niczego nie chciała zatrzymać i ładowała jak leci szkolne wypracowania i dyktanda, i ulubione sweterki, które jej matka odłożyła, bo mogły się kiedyś przydać. Kiedy wszystko uprzątnęła i sypialnia przypominała teren wyrównany pod budowę z odłożoną na bok czarną plastikową stertą, położyła się wyczerpana na łóżku.

A więc z tym już koniec, pomyślała.

Pierwszy raz od tygodnia zaczęło padać, deszcz zaczął siąpić, jak to miał w zwyczaju – w niedzielne popołudnia o wpół do czwartej – i owinał wyspę ciemnym szalem. Od strony lądu wyglądało to tak, jakby niebiosy zstąpiły na oblewany przez morze skalisty garb i pod osłoną szarego welonu szeptały sekrety i tajemnice przeznaczone tylko dla mieszkańców wysepki. Wiatr siekł deszczem o dom od frontu. Margaret skończyła zmywać i przeszła przez małą kuchnię, żeby wyżąć mokry ręcznik uszczelniający od środka szparę w drzwiach frontowych. Potem, widząc, że mąż zapadł w głębokie ciepłe zadowolenie niedzielnej drzemki, zapukała do drzwi pokoju Isabel.

– Isabel?

Weszła do środka i od razu spostrzegła spakowaną walizkę i plastikowe torby. Trwoga przeszła jej serce.

– Dobrze się czujesz? Co robisz?

– Jutro jadę.

– Naprawdę?

– Zapakowałam do tych toreb mnóstwo starych rzeczy, ubrania możesz oddać, a reszta jest do spalenia.

Margaret popatrzyła na dwie torby i kiwnęła głową, choć dobrze wiedziała, że na drugi dzień po wyjeździe córki będzie je rozpakowywać, poprzekłada wspomnienia swojej dziewczynki, a potem schowa rzeczy na stryszku. Przysiadła w nogach łóżka.

– Powiedziałaś tacie?

– Tak. Nie mogłam postąpić inaczej. Ojciec bardzo się cieszy.

– Nic nie mówił.

– Wiesz, jaki jest. Potrzebuje trochę czasu i tyle. Pewnie był dość zaskoczony tą wiadomością, a poza tym powiedziałam mu, że nie jesteś pewna. – Margaret popatrzyła na córkę wyciągniętą na łóżku, z którego wyrosła. – A jesteś pewna?

– Sama nie wiem. Tęsknię za nim.

– Tak.

Isabel nie powiedziała, że ma przed sobą, jak jej się zdaje, jedyne wyjście, że nie widzi odwrotu, że los poprowadził ją długą drogą od urwiska tamtego fatalnego dnia, aż do chwili podjęcia decyzji o poślubieniu Peadera O’Luinga.

W pokoju było ciemnawo i robiło się coraz ciemniej, powietrze zgęstniało od niewypowiedzianych przez Margaret ostrzeżeń i życiowych mądrości, a umysł Isabel spowolniał, przytłoczony niespełnionymi nadziejami minionego tygodnia. O czym tu było mówić? Ani cudu, ani żadnej odpowiedzi. Wyszły razem z pokoju, żeby zaparzyć herbatę i zajrzeć do Seana, i przez resztę deszczowego wieczoru starannie omijały tematy, które mogłyby doprowadzić do sporu.

Nie czekając, aż rodzice pójdą spać, Isabel położyła się do łóżka i po raz ostami poprosiła w duchu o jakiś znak, nim rano wsiądzie na prom. Wydawało jej się, że prędzej dostanie jakąś odpowiedź czy znak właśnie tu, na wyspie, niż w tłumie miasta; chciała wyraźnie poczuć, co ma robić, więc leżała w łóżku, nie śpiąc, ale usłyszała tylko szuranie kapci, kiedy matka wchodziła do swojego pokoju, a w godzinę później szcęk rygla przy drzwiach, gdy ojciec wrócił z pubu. Dom ucichł, a potem zadrżał od chrapania, sennych szmerów i cichusieńkich westchnień morza. Isabel leżała bez ruchu. Plastikowe torby zostały przy drzwiach, a jej duch wymknął się z nich i przyczaił u jej stóp. Rano duch miał ponownie objąć w posiadanie pokój, zatrzymując echo dziewczęcych lat w uporządkowanej pustej przestrzeni, niczym szept morza uwięziony w obmurowanym polu na wyspie.

Noc była męcząca i o świcie Isabel wstała, czując, że wszystko ją boli. Poruszając się sztywno jak automat, pocałowała ojca na pożegnanie, gdy wychodził do szkoły, ale nie wspomniała ani słowem, podobnie jak on, o tym, co zaprzętało myśli ich obojga. Poszła do Seana, żeby ostami raz przed odjazdem do niego przemówić, i powiedziała, że za kilka tygodni wróci i znów wybiorą się razem nad urwisko. Popatrzyła na jego twarz i poczuła – jak zawsze –



ostre ukłucie żalu. Dlaczego? Dlaczego to musiało się stać? Dlaczego ona nie była na jego miejscu? Nie odpowiedział najlżejszym poruszeniem ciała, tylko leżał, nie widząc jej, zagapiony sennie w wizje odwijane ze szpul pamięci.

– Pora na ciebie – powiedziała Margaret.

– Tak, muszę już iść.

– Poradzisz sobie ze wszystkim?

– Tak.

Stały w drzwiach, wpuszczając do domu wiatr.

– Jeżeli będziesz chciała porozumieć się ze mną w jakiejś sprawie, ale tak, żeby ojciec nie wiedział, napisz o tym w liście – rzekła pośpiesznie Margaret. Popatrzyła na córkę, a kiedy błysk w jej oku zaświadczył o zrozumieniu prośby, przytuliła ją do serca. – Narysuj na odwrocie koperty małą gwiazdkę. To będzie znak.

I znów Isabel płynęła promem do Galway, osiem dni po tym, kiedy pierwszy raz poprosiła o znak z nieba. Siedziała na pokładzie, opryskiwana wodnym pyłem, sunęła przez rozkołysane, chłuszczące morze i rozmyślała o małżeństwie. Pograżyła się w apatycznej rezygnacji, a kiedy prom cumował w porcie, wstała i z walizką w rękę zamierzała znów wejść w niepewny labirynt swojego życia. Wtem ujrzała czekającego na nią Peadera O’Luinga. Stał z bukietem kwiatów w lewej ręce i ścisnął je tak, że słodki sok niemal ściekał mu po palcach.

Isabel zamarła. Skąd on się tam wziął? Dlaczego wybrał właśnie ten dzień, skąd wiedział, że ma wyjść właśnie na ten prom? Przemknęło jej przez myśl, że matka do niego zadzwoniła. Nie, to musiało być co innego. Zeszła na ląd i poczuła, jak zatrzepotały i wyfrunęły z niej czarne ptaki przygnębienia. Uśmiech osiadł na jej ustach. Rozpogodziła się w przekonaniu, że oto wreszcie widzi znak, na który czekała, oto chłopak, który wyciąga do niej rękę z kwiatami i uśmiecha się z zażenowaniem i ulgą. Nie przypuszczała wówczas, że jest zdesperowany, że w dniu jej wyjazdu osaczyły go echa ojcowskich docinków i nie mógł się doczekać jej powrotu, bo tylko ona mogła uciszyć wewnętrzne szydercze głosy. Nie przypuszczała, że w desperacji codziennie chodził do portu i czekał z kwiatami na prom, mając nadzieję zobaczyć swoją dziewczynę. Isabel myślała tylko, że ma przed sobą człowieka, który spadł jej z nieba jak błyskawica, równie oślepiająca i niespodziewana jak ta, która poraziła umysł jej brata, gdy bawili się razem na skałach. Myślała, że nie może wyprzeć się tej skażonej miłości, że jest jej pisana, i dlatego wiedziała, nim on się odezwał, że przyjmie jego oświadczyzny sprzed tygodnia i odpowie tak, Peader, tak, wyjdę za ciebie, a gdy nastanie wieczór, będą leżeli razem, nadzy, w pokoiku nad sklepem, pożądając siebie wzajemnie i w pocałunkach szukając ucieczki od potrzeby słów.

W piątkowe popołudnie pod koniec sierpnia Bóg ponownie przemówił do mojego ojca. Nadszedł ulicami Dublina ognistym rydwanem ze swiątą aniołów dmących w trąby. Skrzydlate rumaki były złote powietrze srebrnymi kopytami i raz po raz rozbrzmiewało pod bezchmurnym niebem radosne „hosanna”. Jego majestat wstrzymał obroty ziemi i Bóg zbliżył się do naszego domu, aby wejść i oznajmić ojcu, że dzieło jego życia dobiegło końca. Zwyczajny dzień uległ przeobrażeniu. Śpiew wypełnił powietrze, niewidzialne chóry grzmiały „Gloria in excelsis” niczym emanacje boskiej duszy. Nasz hall od frontu zaśnił jak polerowane złoto, gdy Bóg tamtędy przechodził. Gołębicę, wyczarowaną jak białe błogosławieństwo, podfrunęły i przysiadły na zdumionych ramionach ojca, który siedział wycieńczony, niczego nie podejrzewając, w pokoju, gdzie kiedyś odkrył, że nie może już malować. Drzwi otworzyły się tak, jakby światło wpadło do ciemnicy, ojciec wstał i światło go dotknęło. Milczał; wysoki, biały i chudy czekał na słowo jak arkusz papieru, a zebrane wokół zastępy anielskie grały coraz głośniejszą muzyką trąb. Dom był rzęsiście oświetlony i zdawał się unosić nad ziemią, biła od niego taka jasność, że widziano ją aż w górach pod Dublinem, a chóry duchów zmieniały popołudniowe powietrze w ambrosję, nawet na głównych ulicach i w pasażach handlowych, gdzie ludzie zatrzymywali się urzeczeni wspaniałością chwili, błogo nieświadomi, co się dzieje.

Ledwie Bóg wszedł do naszego domu, mój ojciec rozpoznał w Nim swojego Ojca, a gdy wstał oślepiiony blaskiem, zrozumiał, że od dawna tego oczekiwał. Cekał właściwie od tego momentu przed wielu miesiącami, kiedy usiadł w pracowni i nie mógł już malować. Codziennie oddawał się rytuałowi czekania i przygotowywania się na nadejście natchnienia. Czuwał dzień w dzień całymi godzinami, ale nigdy nie nabrał ani krzty otuchy, a pewność, która niegdyś płynęła silnym strumieniem w jego żyłach, wyciekła do ostatniej kropli. Przesiadując w pracowni po osiem milczących godzin, doprowadzał się do szału rozmyślaniami, że może wcale nie usłyszał głosu Boga i zrujnował swoje życie własnym zaślepieniem i głupotą. Migotał w jego duszy zaledwie lichy płomyk, gdzie kiedyś jasno się świeciło. Mimo to uparcie czekał, wchodził do pracowni i siadał na swoim miejscu przy piecyku, a każdy gasnący dzień odzwierciedlał jego własne przygasanie.

A potem... tamto popołudnie.

Wypalił się aż do krawędzi duszy, w palcach czuł mrowienie, włosy stały mu dęba – wyszedł z pracowni, w której już płonęło Boże wezwanie. Bóg nareszcie się zjawił. Przyszedł po niego. Wobec ogromu objawienia wszystko malało i ojciec wzleciał w powietrze. Unosił się z niematerialną lekkością duchowego świata jak ćma i bez trudu zatoczył półkole w hallu, jego chudość stała się przezroczysta, a wokół siwej głowy zatrzepotały gołąbki. Pofrunął nad schodami i wzbil się jak śmiech ponad falujące hosanny. Matka wyszła mu naprzeciw na podeście, ze skrzydłami i świetlistą aureolą wokół głowy, a on w locie wziął ją w ramiona jak białe giezło i we dwoje – napowietrzni gospodarze, za którymi podążał Bóg z chórem aniołów –

wlatywali kolejno do pokojów. Płomienne zwiady jak psotne dzieci goniły moich rodziców, którzy znaczyli swoją obecnością każdą piędź domu. Niebiański rydwan czekał zawieszony nad ogrodem, rumaki oddychały sierpniowym powietrzem, robiąc bokami ze zmęczenia po długim pędzie, a ich pot opadał na wysoką trawę kwiatami jabłoni.

Ojciec wykonał swoją pracę. Sprawił radość Bogu, żył, dążąc do celu, który wyrażał sens świata – wspaniałość Bożego Dzieła Stworzenia. Rozbrzmiewało „Gloria”, światło nabierało złocistej barwy, a kiedy Bóg zbliżył się do ojca i spotkali się nad oknem u szczytu schodów, stało się tak intensywne, że wlało się ojcu do oczu, uszu i ust, zagarniając go całego w najśłodsze objęcia – tak słodkie, jasne i złote jak nic na tym świecie.

Tego dnia tylko ja wiedziałem, co się stało. Odsunąłem od siebie okrutną opowieść strażników miejskich, zatarłem obraz człowieka, który – jak mi mówiono – siedział przed piecykiem i ładował do niego obrazy, aż spalił się cały dom. To był niewyobrażalny koszmar, jedna z tych historii, które strażnicy opowiadają w białych pokojach na skraju miasta, w jasnym świetle lamp nad kubkami z bawarką. Wysłuchałem jej i wyrzuciłem ją z pamięci. Tej nocy wynająłem bungalow u wdowy mieszkającej na mojej ulicy. Leżąc w łóżku, wpatrywałem się w szparę między zasłonami, przez którą sączyło się światło latarni, i wiedziałem, że mój ojciec śmieje się nade mną pośród aniołów.

Wymknąłem się z bungalowu o drugiej nad ranem i poszedłem w stronę domu. Nie odczuwałem smutku. Nim zobaczyłem dom, poczułem woń spalenizny i zadumałem się nad ogromną, wszechpotężną siłą, która przetoczyła się po południu nad ulicą. Nocne powietrze przesycił dym; nasiąkało nim ubranie, wchodził do oczu, aż zaczynały płynąć, łzy. Czarna skorupa domu rysowała się na tle granatowego nieba. Żółtobiała taśma furkotała ostrzegawczo na łagodnym wietrze, broniąc dostępu. Przykucnąłem, żeby się pod nią przedostać, stanąłem w bramie, przypominając sobie, jak wychodził przez nią ojciec, gdy nas opuszczał, i znalazłem się w gronie duchów. Drzwi wejściowe leżały na trawie; z jednej strony wgniecione, z drugiej spalone, odrzucone na bok, zdawałoby się niedbale, a dom stał otworem, niezabezpieczony i ogołocony. Kiedy wszedłem do środka, miałem uczucie, że powinienem coś za sobą zamknąć. Ale nie miałem co, a nade mną, w ogromnej dziurze zamiast sufitu i pięterka, które pracownicy zamiatała moja matka, było nagie niebo. Zamiast kurzu – gwiazdy. Okna, jak rodzina, rozpadły się pod uderzeniem fali gorąca i kiedy szedłem do pracowni, odłamki i okruchy chrzęściły mi pod nogami.

Właściwie nie był to już pokój, okno wypełniło się powietrzem, a sufit całkiem się wypalił i otworzył na piętro i jeszcze wyżej, na noc. To stąd uleciała dusza mojego ojca, pomyślałem i popatrzyłem na sierpniowe niebo – usiane gwiazdami, czyste i niewinne, nie znające śmierci ani niesprawiedliwości. Noc tak piękna, spokojna, granatowa kazała mi pomyśleć o ręce, która ją stworzyła, i z zadartą głową, po raz pierwszy i nieostatni, wypatrywać ojca pośród gwiazd. Usiadłem na czymś czarnym i metalowym, otoczony czarną przestrzenią, którą kiedyś wypełniały jego kolory, i wyrecytowałem werset po łacinie. Mówiłem cicho, wierząc, że jednak jestem słyszany. Noc mijała nade mną, ziąb przenikał ubranie, a ja deklamowałem wszystkie znane mi łacińskie wyrażenia, zwroty i werset. Powietrze rozbrzmiewało powolnymi, ceremonialnymi formułami mało komunikatywnego języka, który zdawał się pasować idealnie do złożonej i niezgłębionej natury Boga.

Przesiedziałem w wypalonym domu do samego rana. Duchy tej nocy przelatywały przez okna i pozdrowiały mnie – dziwnego osobnika, który utknął w pół drogi między istnieniem a śmiercią i nie może zebrać sił, aby wstać i ruszyć w dalsze życie. Moja dusza, jeżeli ją miałem,

pękła tak głęboko, że nic nie miało dla mnie najmniejszego sensu. Ciemność zgęstniała od wątpliwości. Co się właściwie stało? Jak miałem to rozumieć, że mój ojciec poświęcił swoje życie i sporą część życia matki po to, by pracować nad obrazami, które malował w takiej gorączce, a które teraz były brunatnym pyłem u moich stóp? Zgiąłem nogi i przygarnąłem je do siebie. Jeżeli Bóg naprawdę przybył na tę ulicę i do tego domu, czy nie mógłby zjawić się ponownie i zabrać mnie stąd? Nie wyobrażałem sobie, że kiedykolwiek wstanę z tego miejsca, na którym siedziałem. Co ja mam ze sobą zrobić? – pytałem sam siebie. – Co ja mam teraz ze sobą zrobić?!

O świcie niespodziewanie pojawiły się ptaki. Wpadały przez okno i fruwały po pracowni z zawrotnym zachwytem. Przysiadły i śpiewały, tak dalekie od smutku i bezlitośnie radosne, że rzuciłem odłamkiem opadłego sufitu. Ale nie dały się przepędzić. Cisnąłem grudą poczerńiałego tynku, podniosłem się z miejsca i ruszyłem na nie, wymachując rękami i krzycząc. Przeleciały koło mnie na drugi koniec pokoju i wcale nie chciały uciec przez okno. Zawitały tam drozdy, rudziki i większe sroki, brązowe ptaki i ptaki w żółte cętki, a wciąż dolatywały nowe, powiększając chór, ptaki, których nie rozpoznawałem, śmigające błyski szalonej energii, właściwie trudno by je uznać za ptaki, gdyby nie ich śpiew, drżąca niecierpliwość, z jaką wydobywały z gardziołek nieprzetłumaczalną na żaden język nieustanną muzykę życia. W godzinę od świtu pracownia napełniła się ptakami, a ja zrezygnowałem z prób ich wypłoszenia. Ptasi śpiew nasycił powietrze taką słodyczą, że zachłystywałem się własnym oddechem, jakbym miał w ustach kwiaty. Miodopłynne dźwięki oblepiały uszy. Ptaki siadały mi na ramionach, na kolanach, odlatywały i powracały z niekończącą się pieśnią, nie myśląc wcale mnie opuszczać. Czarna, wypalona skorupa pracowni zabarwiła się na bladoróżowo, żółto, zielono. Kolory mieszały się oszołamiająco, zupełnie, jakbym malował oczami, takie czyste i wyraźne widziałem kolory, wodząc wzrokiem za wyciągającym trele ptactwem. Ciemny pył na podłodze przejaśniał i poryw wiatru wznosił go w powietrze. Nie było nic prócz kolorów, muzyki i przelatujących ptaków. Wstałem, poczułem spływające po policzkach łzy i dopiero teraz uzmysłowiłem sobie, że płakałem. Wyszedłem jak w transie przez drzwi, nieledwie spodziewając się, że stado gołębic uniesie mnie ponad domy z czerwonej cegły na naszej strwożonej ulicy. Spodziewałem się znaków, objaśnień, sensu, oświecenia i omal nie zemdląłem, gdy czyjaś dłoń chwyciła mnie za ramię.

Anioły – tak powiedział kiedyś mój ojciec – mijają nas co dzień na ulicy. Są czymś równie zwyczajnym jak ptaki, zapewniał, a rozpoznajemy je wtedy, kiedy choćby na krótko się z nami zetkną. Z jego wywodu wynikało, że w pewnej chwili człowiek po prostu wie, iż spotkał anioła, a pomoc, jaką od niego otrzymał, nawet niewielka i trudna do zauważenia, odmienia życie. Kiedy stanąłem przed wejściem do naszego zrujnowanego domu i poczułem na ramieniu czyjąś dłoń, spodziewałem się co najmniej archanioła, jeżeli nie samego Boga, dlatego zaskoczył mnie widok niskiego siwego grubaska o twarzy pełnej bólu i współczucia. Był to John Flannery. Kiedy położył mi rękę na ramieniu, a ja omal nie zemdlałem, podtrzymał mnie za plecy i przygarnął do swoich korpulentnych kształtów. Kilka uścisków starczyło za kondolencje. Utkwił we mnie spojrzenie szarych oczu, z którego wyczytałem, że o pewnych rzeczach rozmawiać nie trzeba, że rozumiemy się bez słów i najlepiej będzie, jak pojedziemy jego samochodem i napijemy się herbaty.

Ten anioł, jakże niespodziewany i nieanielski, wyprowadził mnie z ogrodu, cały czas mocno obejmując. Wsiedliśmy do auta, a on, zanim ruszyliśmy, zapalił papierosa. Po chwili zorientował się zdenerwowany, jaki popełnił nietakt, dymiąc mi pod nosem, i w pędzącym samochodzie zaczął przepaszająco wymachiwać ręką, jakby chciał wygonić przez okno straszny pożar. A ja nic nie mówiłem. Siedziałem i pozwalałem wieźć się samochodem. Cóż miałem robić? Patrzyłem na drogę wbiegającą pod koła i na nudne, zwyczajne domy, a przed nimi przeważnie kobiety, które szły z dziećmi, robiły zakupy i pchały wózki przez niekończącą się codzienność. Wszystko to wydawało się nużąco smutne, powszednia krzątanina toczyła się obojętnie tak niedaleko od naszego domu, do którego zawitał Bóg. Na litość boską.

Mój anioł był kawalerem. Mieszkając samotnie w Drumcondra, wypracował miłe maniere, jakie niełatwo znaleźć gdzie indziej, i wiedział, że właściwym sposobem traktowania syna, którego ojciec spalił się na wiór w salonie, jest podkreślać milczenie, mądrze kiwając głową w stronę żyjącej ofiary tragedii. Nic nie mów, wystarczy, jeżeli zerkniesz podjeżdżając pod czerwone światło i dwa razy skiniesz głową, jakbyś mówił: O tak, przyjacielu, wiem, jak ci źle, a czy ty wiesz, po czym poznajesz, że ja o tym wiem? Poznajesz to, ponieważ ja tak dobrze cię rozumiem, że nie mogę wypowiedzieć ani słowa, rozumiesz? I jedziesz dalej.

Jechaliśmy tak wiele mil. Nie byłem pewien dokąd, wiedziałem tylko, że była mowa o herbacie i że moje ubranie przesiąkło zapachem ptaków. Przemierzając miasto, utknęliśmy w korku, posiedzieliśmy w milczeniu, kilka razy dzielnie kiwnęliśmy głową i z cichym mrużeniem silnika wyjechaliśmy na przedmieścia w drugim krańcu miasta. Bardzo powoli docierało do mnie, że powinienem zapamiętać. Powinienem zacząć wprowadzać w życie udowodnioną zasadę, że pokonywanie odległości w czymś towarzystwie łagodzi smutek i ból. Wszystkie wysiłki na nic, miałem popiół na butach i tak wiele we mnie umarło: cały mój ojciec we mnie umarł i moja matka. Co pozostało? Siedziałem skulony w kwaśnej przypalonej woni tragedii i dojechałem

przed południem do domu pana Flannery'ego jak podparty trup. Pan Flannery zgasił silnik i patrząc przed siebie na drzwi garażu, powoli skinął głową. Potem obszedł samochód, otworzył drzwiczki z mojej strony i znów ujął mnie za ramię. Weszliśmy razem do domu, który był niemal kopią naszego, tyle że wszędzie panował idealny porządek i pachniało odświeżaczem powietrza, po czym dawało się poznać życie niespełnione w miłości.

– A teraz napijemy się herbaty – rzekł pan Flannery, odzywając się pierwszy raz od godziny i zostawiając mnie w salonie między dwiema identycznymi poduszkami. – A może... – zajrzał do pokoju, trzymając butelkę whiskey. – Nie, nie, napijemy się herbaty. – Skwitował skinieniem własną radę i wyszedł.

Wtedy chyba zrozumiałem, że będąc moim aniołem, on nie zdaje sobie z tego sprawy. Nie miał pojęcia o zazębiających się kółkach i najdrobniejszych mechanizmach życia, które ja właśnie zacząłem odkrywać. Nie wiedział – teraz to dostrzegałem – że cały sens tkwi w splocie zdarzeń, w ogólnym kształcie, że to, kogo i w jakich okolicznościach spotykamy w naszych najzwyczajniejszych poczynaniach, jest kunsztownie wplecione w większy wzór, a nam jedynie pozostaje iść za danym znakiem – tak jak ja właśnie szedłem za panem Flannery. W przeciwnym bowiem razie rządził przypadek i ślepy los, o Coughlanach zaś można by gorzko powiedzieć, nie zostawiając miejsca na pocieszenie, że Bóg wcale do nich nie przyszedł i że mój ojciec zrujnował nasze życie i zabił moją matkę bez żadnego powodu. To nie mogło być prawdą. Był jakiś powód, to wszystko miało jakiś sens, więc w ubraniu powalonym popiołem siedziałem na sofie i czekałem na herbatę, wiedząc, że pan Flannery jest częścią obracającego się koła fortuny. Pozostaje mi jedynie, mówiłem sobie, iść za danymi znakami. Na pewno jest coś, co powinienem teraz zrobić.

– Niektórzy lubią z miodem. Ja nie. Ale przyniosłem miód. Proszę. – Postawił przede mną tacę i usiadł w fotelu naprzeciw, ściskając dłonie kolanami.

Minęła godzina. Może dwie, nie jestem pewien. Herbata ostygła, nim ją wypilem. Uniosłem filiżankę i odstawiłem ją po bardzo długim czasie. A przynajmniej tak mi się zdawało. Chwila, w której trzymałem filiżankę, zwielokrotniała. W ten sam sposób dni po śmierci mojego ojca przeciągnęły się w tygodnie, a tygodnie w miesiące, zgodnie z nieustającym okrucieństwem czasu, który niesie nas ciągle naprzód, nawet gdy nieruchomiejemy. Czas nie mija, a ból rośnie. Nie zdając sobie z tego w pełni sprawy, wprowadziłem się do pana Flannery'ego; nie miałem takich zamiarów, byłem jakby wysuniętym naprzód pionkiem w dawno porzuconej grze w szachy, tkwiłem tam, gdzie mnie pozostawiono, między nadzieją i klęską, a wokoło osiadał kurz. Mieszkałem w pokoju gościnnym na piętrze, na wprost łazienki. Dostałem komplet czystych, wyprasowanych ręczników i mogłem przesiadywać w jednym z dwóch pokoi na dole, kiedy mój gospodarz wychodził do biura. Przed wyjściem programował adapter na kilka godzin grania Bacha i Mozarta, więc budziłem się przy dźwiękach klawesynu lub fortepianu i leżałem w pościeli, zastanawiając się, jak dam radę dalej żyć.

Oficjalny rządowy przydział na smutek wynosi pięć dni powszednich; pięć dni miały mi

zająć formalności, porządkowanie papierów ojca. Oczekiwano, że potem znów zasiądę przy biurku, wypełniając przypisane mi wolne miejsce, które drażniło McCarthy'ego jak pusta komora w rewolwerze. Tak się złożyło, że nie miałem papierów do uporządkowania, a pan Flannery zajął się formalnościami. Leżałem w łóżku, słuchając Bacha, skąpany w muzyce, a w krótkich pauzach między częściami utworów słyszałem, jak za oknem opadają pierwsze liście. Chyba po dwóch tygodniach pojawił się McCarthy we własnej osobie. Jego niebieskie auto błyszczało na podjeździe, zamknąwszy je, przyglądał mu się przez chwilę, a potem obrócił w stronę domu. Krokiem służbisty, wyprostowany, jakby kij połknął, doszedł do drzwi. Patrząc na niego z góry, widziałem równusieńki wianuszek włosów dokoła głowy i usłyszałem dzwonek. Naciśnięty zdecydowaną ręką, zakłócił allegro. McCarthy cofnął się o krok. Spojrzał na samochód – auto stało w tym samym miejscu i tak samo błyszczało. Uśmiechnęli się do siebie. Potem obrócił się i znów nacisnął guzik, przecinając muzykę nożem ciągłego dzwonka i przytrzymując go tak długo, aż nabrał pewności, że usłyszałem. Przyjechał w czasie pracy; wiedział, że oddalając się od urzędu, dopuszcza do rozluźnienia dyscypliny wśród pracowników, pragnął więc jak najszybciej tam wrócić. Najpierw jednak chciał rozmówić się ze mną. Zadzwoił trzeci raz i na dodatek zapukał. Cofnął się i obrzucił spojrzeniem dom. Kiedy spostrzegł, że przyglądam mu się ze środkowego okna na piętrze, w chwili niepewności pomachał lekko ręką, jakby dawał znaki z dalekiego brzegu. Też mu pomachałem. Trochę go to zbiło z tropu. Kobieta z dzieckiem przeszła przez bramę, więc odruchowo obejrzał się na samochód, a potem z nagłą determinacją znów odwrócił się do mnie. Dał znak ręką, żebym zeszedł na dół, poruszył ustami, jakby mówił do głuchego, i zaraz potem krzyknął:

– Proszę zejść i otworzyć drzwi!

Nie usłuchałem. Przyglądałem się z góry, jak z rosnącym oburzeniem cofa się, znów podchodzi do drzwi, naciska przycisk dzwonka, puka i patrzy na mnie z całą surowością. Czytałem w jego oczach jak w starej, znajomej książce: Gorzko się rozczarowałem co do pana, oj gorzko. I to pan, panie Coughlan, którym interesowali się przełożeni, sprawia mi taki zawód. Taki wielki zawód. Proszę otworzyć drzwi!

Nawet nie potrząsnąłem głową. Ojciec powiedział mi kiedyś, że jeżeli uważnie przez pewien czas poobserwujemy ludzi, to ich zachowanie dość szybko zaczyna przypominać bezładne krążenie much po talerzu z winogronami. Teraz mnie to uderzyło: oto tłusty żuk, który drepcę po wycieracze pod drzwiami i ani rusz nie może pojąć, że patrzę na niego z innego świata. Cierpliwość McCarthy'ego wyczerpała się po czterech minutach; powtórzył wszystko, co zrobił przedtem: zadzwonił, cofnął się, okrążył winorośle, spojrzał gniewnie i w końcu zrezygnował. Kiedy wreszcie sobie poszedł, pomachałem mu krótko jak na początku przy powitaniu i patrzyłem, jak wraz z jego odjazdem kończy się moja urzędnicza kariera.

Ogarnęło mnie radosne podniecenie i zakręciło mi się w głowie, jakbym skoczył i spadał. Wstałem i chodziłem po domu; przyjemnie było nic nie robić, to sobie usiąść, to wstać, gdy miałem ochotę, wstrzymać oddech albo odetchnąć pełną piersią. Nic się przede mną nie rysowało



– nie miałem ani pieniędzy, ani pracy i tylko tymczasowo miałem gdzie mieszkać. Kiedy wieczorem wrócił wujek John, powiedziałem mu przy herbacie, że nie wracam do pracy. Czekałem na znak.

Wujek był cierpliwy i częstował mnie skinieniami głowy jak herbatnikami. Po podwieczorku zasiedliśmy w długim salonie na oddalonych od siebie krzesłach i zalała nas muzyka. Siedzieliśmy tak jakiś czas, spodziewając się lada chwila nadejścia rozmowy. Nie przyszła, a my trwaliśmy na swoich miejscach – dziwne postacie w domu na przedmieściu, wsłuchane w muzykę i czekające na jakiś zwrot akcji. Po godzinie wujek John otworzył butelkę whiskey, wyjął z teczki dokumenty i nachylił się nad szeregami cyfr, które zlewały się z dźwiękami sonat i koncertów, przywracając mu starokawalerskie poczucie bezpieczeństwa. Wieczory opatulały nas, a ja stopniowo stawałem się niewidzialny.

Mieszkałem u wujka przez całą jesień i zimę, czekając, aż Bóg przemówi. Życie dreptało naprzód beze mnie. Kiedy pogorszyła się pogoda i nocne powietrze gęstniało od dymu, pomyślałem, że może Bóg nie zamierza odwiedzić mnie w domu; powinienem wyjść i chodzić po świecie w oczekiwaniu na jakieś przypadkowe spotkanie. Dlatego codziennie po podwieczorku, kiedy mój anioł przenosił się do swojej bawialni i zapalał ogień w kominku, wkładałem palto i wychodziłem na zimną zawieruchę, gdzie mógł czekać Bóg. Co miałem robić? Co teraz?

Powiedz.

Ulice były opustoszałe, a zasłony, zaciągnięte w oknach skromnych domów, zamykały świat wewnątrz. Samochody niezmordowanie wymacały drogę w ciemnościach, poruszając się bez wytchnienia po krętej siatce ulic na skraju miasta jak stwory w czyścicu wiecznego podróżowania. Tyłu ludzi gdzieś jechało; jeżeli będę szedł wolniej, myślałem, może jakieś auto się zatrzyma. Może trafię na awarię i przymusowy postój. Może... co? Na co liczyłem? Nie potrafię powiedzieć; na coś, co zarysuje przede mną drogę, wymaże z mojego życia chaos i da mi poczucie celu.

Szedłem przez noc, przemykając się szerokimi i wąskimi ulicami, zagłębiając w ślepe zaułki, aż znalazłem się z powrotem przed domem Flannery'ego. Otwierałem sobie drzwi i szedłem spać. Na drugi dzień znów wychodziłem wieczorem; odbywałem ten sam spacer wokół pustki przedmieścia, obchodziłem nicość, a Bóg milczał. Wkroczyłem tak w luty; w marcu, gdy padał śnieg i zamarznięte drogi pokryły się twardym białym szkliwem, wychodziłem i ślizgałem się, bo a nuż była to próba i czekało na mnie za rogiem przeznaczenie. W ciemnościach tamtego wieczoru nic się nie ruszało; drogi opustoszały, więc mogłem ostrożnie stąpać i ślizgać się samym środkiem, niczym pierwszy człowiek w nowym świecie.

Latarnie oświetlały śnieżną drogę jak pas startowy. Z początku stawiałem małe, płaskie, posuwiste kroczki i nagle zarzucało mi głowę do tyłu, kiedy się przewracałem. Byłem napięty i cały czas spodziewałem się upadku. Zastygłe w bieli puste ulice były piękne. Po obu stronach obejmował je sen, a szary świat znikł pod lodem. Pod moimi stopami błyszcząły gwiazdy. W

ciągu godziny pokonywałem pół mili. Ale co tam. Szedłem środkiem pasa startowego, wiedząc, że lada chwila przyleci samolot. Poślizgnąłem się, ale nie upadłem, i ani się obejrzałem, kiedy zamiast iść zacząłem płynnie ślizgać się pomiędzy latarniami. Podbiegałem dla rozpędu i rozrzucając ręce na boki, sunąłem naprzód z zawrotną prędkością. I znowu. Krótki zrywny galop, a potem gładki pęd ślizgu. To było olśniewające, lód niósł mnie jak piórko, domy przelatywały obok, a ja za każdym razem nabierałem większej prędkości i sunąłem ulicami Dublina z rękoma rozłożonymi jak skrzydła i łopocącymi połami palta. Wpadałem ślizgiem na ronda i wypadałem z nich, mijałem z zamkniętymi oczami światła, nakazujące, aby się zatrzymać, i znaki sygnalizujące drogę z pierwszeństwem przejazdu. Niech coś na mnie wpadnie, niech cały świat się ze mną zderzy! Teraz, teraz!

Ale nic takiego się nie stało. Ślizgałem się przez puste przedmieścia, ziąb przenikał cienkie podeszwy moich butów i dopiero spojrzawszy w dół, upewniałem się, że mam całe stopy. Ślizgałem się na jednej nodze, próbowałem różnych skrętów i zataczania łuków, żeby się przewrócić, ale wciąż utrzymywałem się na nogach, wędrowałem, wysoki i rozchwiany, przez zbiebiającą noc. Wydawało się, że miasto specjalnie dla mnie zostało oczyszczone, przygotowane jak dekoracje do mojego małego dramatu – nagłego uświadomienia sobie, że jestem sam. Kiedy ślizgałem się po ulicach, uderzyło mnie to z całą siłą: nie mam przyjaciół, mój ojciec nie żyje. Zemdliło mnie, jakby przelewała mi się w żołądku jasna galareta. Mój ojciec nie żył. Byłem sam. Nie robiąc żadnego ruchu, dałem się ponieść w dół po oblodzonej pochyłości, poniżej kolan zupełnie straciłem czucie. Mój ojciec nie żył; zupełnie jakbym przeszedł amputację, a brakująca część teraz właśnie zaczęła mnie boleć. Zachwiałem się raz i padłem jak długi na lód.

Jak długo tam leżałem, nie wiem. Krew z rany na czole spłynęła na lód plamą przypominającą mapkę Norwegii. Stopy miałem odrętwiałe. Czułem pulsowanie i drobne ukłucia, jakby jakieś stworzonka o ostrych ząbkach gryzły mnie w czoło. Prawym okiem przywarłem do drogi, lodowy okład studził łzy. Leżałem, nie mogąc się ruszyć, i wpatrywałem się w długą wstęgę zmrożonej bieli, aż w końcu ujrzałem zbliżającą się postać. Może ten człowiek mi się przyśnił. Znajdował się jakąś milę ode mnie, ale sunął zamasyście i zdecydowanie, widać śnieg nie stanowił dla niego żadnej przeszkody. Mila, pół mili, a potem nie wiadomo kiedy znalazł się tuż przy mnie, jakby film przeskoczył do przodu.

To był mój ojciec. Bez śladu nadpalenia, o świeżej twarzy, uśmiechający się do śniegu. W tę cudowną noc wyszedł z nieba na spacer, podczas gdy matka zajęła się sprzątaniami.

Ciepłymi palcami dotknął mojej rany na czole. Jego błękitne oczy świeciły nade mną jak lampy i poczułem prąd przebiegający mnie aż do palców u stóp. Tato, chciałem powiedzieć, tato, weź mnie za rękę, proszę, i nie puszczaj. Chcę iść z tobą.

Położył się na drodze obok mnie. Tyle miałem mu do powiedzenia, a nie mogłem nic wykrztusić. Wszystkie słowa rozpuszczały się niczym śnieg na języku i leżeliśmy obaj cichutko, gapiąc się w gwiazdy. Czas może i mijał, ale ból nie narastał, i kiedy tak leżałem pośród znieruchomiałej mroźnej nocy, nagle zacząłem widzieć oczami mojego ojca: niebo w blasku gwiazd, upstrzone białymi punkcikami, rozmigotane, zaśnieżone i majestatyczne, olśniewające milionem jagód, śnieg osuwający się bezszelestnie z gałęzi wysokiego świerka, leciuteńki i spadający tak, jakby strzepnęła go niewidoczna ręka, światło zalewające niebiosa, chłodne powietrze zakomponowane jak muzyka, błyszczące jak srebro.

Leżałem obok ojca i widziałem, widziałem nieskończony świat, zaplanowany w każdym szczególe, plan każdej gwiazdy i płatka śniegu, doskonale dokładny i piękny. Potem się obróciłem.

Ale ojca już nie było.

Sny, zapewniał mój ojciec, to nasze drugie ja, które do nas mówi. Nigdy dokładnie nie powiedział, gdzie to drugie ja się znajduje, jak mieszka ani co je na śniadanie, ale ono z pewnością żyło i mówiło obrazami podczas naszego snu. Powiedział mi o tym, kiedy byłem mały, a on malował obraz „Fragment snu”. Niczego nie mogłem na tym obrazie rozpoznać – same błękity, zielenie i może jakiś potwór, jeżeli istnieją potwory. Ale potem przez wiele tygodni, gdy kładłem się spać na piętorku, całkiem przytomnie robiłem miejsce koło siebie na poduszce na sen. Moje drugie ja kiepsko sobie radziło z mówieniem obrazami. Było na poziomie przedszkolaka. Mówiło bez ładu i składu, zupełnie bez sensu. Moczyło się w łóżku. Ganiały je postacie, które poruszały się jak smugi farby olejnej i mazały schody, po których wchodziły na górę. Matka była odkurzaczem. Po jakimś czasie postanowiłem nie zwracać najmniejszej uwagi na drugie ja i budziłem się rano ze zbrodniczym poczuciem, że całkowicie zatarłem w pamięci minioną noc.

Na drugi dzień po śnieżnej wyprawie obudziłem się, kiedy wujek John już wymknął się po cichu do pracy. Przez chwilę leżałem na krawędzi snu, próbując ułożyć z kawałków noc, którą nauczyłem się regularnie zapominać. W jaki sposób dotarłem do domu? Usiadłem na łóżku i wyjrzałem przez okno: świat stopniał. Śnieg znikł, jak ściągnięta jednym szybkim ruchem zasłona magika, i spod spodu wyjrzał szary świat. Bliźniacze domy po drugiej stronie dymiły od rozpalonego rano ognia i miały otwarte bramy tam, gdzie samochody już wyjechały do miasta. Wzdęte kłęby dymu rozchodziły się w powietrzu. Otworzyłem okno i do pokoju wpadły zapachy i dźwięki ulicy. Nie dostrzegłem nic niezwykłego ani złowieszczego. O ileż byłoby mi łatwiej, gdybym zobaczył wyraźny znak, jakiś napis na nierównym skrawku śniegu, jakiś wzór w chmurach? Ale nie było nic prócz powszedniej pustki, monotonnej ciągłości czasu, świata, który znamy na co dzień.

A mimo to nagle zrozumiałem, co mam zrobić.

Kiedy John Flannery przyszedł wieczorem do domu, poprosiłem go o tysiąc funtów.

– Słucham?

– Te pieniądze są mi potrzebne na wyjazd.

– Nicholasie...

– Nie potrzebuję aż tyle na samą podróż. Chcę odkupić obraz. Chcę odkupić obraz, który dałeś, wujku, jako nagrodę.

Usiadł po drugiej stronie małego kuchennego stołu i odstawił filiżankę. Nadal miał na sobie garnitur. Spuścił wzrok na kromkę chleba z masłem, zwracając do mnie swoją łysinę. W starej głowie ożyły wspomnienia tamtego dnia, gdy dostał od mojego ojca obraz, a potem korytarze pamięci cofnęły go do chwili, kiedy poznał Williama Coughlana, do niepokoju i zgryzot z czasu zalotów do mojej matki, do pustki, jaka nastąpiła w biurze po odejściu ojca. W porównaniu z moim ojcem miał mało urozmaicone życie i gdy tak siedział na wprost mnie z opuszczoną głową,

widziałem ogarniający go smutek.

– Tak, tak – rzekł wreszcie, kiwając głową. – Może uda ci się go odzyskać. To byłoby właściwe. Powiem ci, gdzie jest.

Na drugi dzień pojechałem pociągiem do Galway. Na dworcu wujek John uściskał mi rękę i znów uraczył kiwaniem głową.

– Jesteś taki podobny do ojca – powiedział. Cofnął się, popatrzył na mnie i kiwnął głową, jakby przytakiwał wewnętrznemu głosowi, który podpowiada aniołom, co mają robić. A potem odszedł i znikł wśród przechodniów, zostawiając mnie ze swoją wiarą w dobry świat i tysiącem funtów.

Tego ranka drugi raz w życiu wyruszyłem pociągiem na zachód. Ta podróż niczym się nie różniła od poprzedniej; ojciec był gdzieś w wagonie przede mną, a ja jechałem, żeby sprowadzić go do domu. Tylko tym razem miałem karteczkę z nazwiskiem nauczyciela w wiosce na wyspie. Zwijałem tę kartkę w palcach i rozwijałem, a pociąg toczył się z szumem i gładką żelazną konsekwencją przez miękkie zielone pola. Kim był ten Muiris Gore, poeta, który miał obraz Williama Coughlana? Co z nim zrobił? Czy go cenił, czy nadal go miał? Nigdy o nim nie słyszałem. Jeden jedyny nauczyciel na wyspie – to było tak owiane romantyzmem, że aż wydawało się nieprawdziwe. Jak wyglądało tamtejsze życie? Pamiętałem morze u wybrzeży Clare, jego ekstrawagancką kapryśność, jego ogrom, białobłękitną kipieli, która omal nie porwała mnie ze sobą. Tam jakaś wyspa? Zupełnie jak w bajce. Im dłużej nad tym rozmyślałem, przykładając do chłodnej szyby pulsujące rozcięcie na czole, tym bardziej srebrne żelazo pociągu pracującego na zachód przypominało w mojej wyobraźni oddział rycerzy, podążających do baśniowego królestwa.

Plastikowe kanapki sprowadziły mnie na ziemię. Młodszy ode mnie chłopak przeciskał się przejściem, pchając wózek, a za nim gęsiego dreptali chętni do toalety. Pyszczata twarz chłopaka poczerwieniała po goleniu. Sprzedał mi kanapkę z szynką i serem, a ja dałem mu dwudziestofuntowy banknot pana Flannery'ego. Plastikowe w smaku kanapki uzupełniało plastikowe w smaku ciasto i słaba letnia herbata. Kobieta stojąca tuż za wózkiem próbowała się przepchnąć, ale chłopak nie pozwolił. Nikt nie miał prawa go minąć, dopóki nie dotarł na koniec wagonu. Taką miał na co dzień władzę; ubrany w cienką, tanią białą koszulę i czerwony krawat, zwalniał hamulec wózka, posuwał się kawałek dalej, prowadząc kolejkę do toalety, stawał i burkliwie przyjmował kolejne zamówienie. Kiedy skończył obsługiwać nasz wagon, przejechaliśmy rzekę Shannon; zastanawiałem się, czy taki ma swój rozkład, tak odmierza swoje dni, bo sama podróż nie miała dla niego żadnego znaczenia. Nigdy nie dojeżdżał do celu podróży, mknął przez kraj w tę i z powrotem, w tę i z powrotem, śmigał jak zając przez pola, od jednej ciemności do drugiej. Ze mną było tak samo, pomyślałem. Aż do dzisiaj. Dzisiaj pędziłem po to, żeby przybyć na miejsce, wysiąść i odnaleźć swoje przeznaczenie. Bo na razie nie miałem co ze sobą zrobić; czułem, że muszę najpierw odzyskać obraz, żeby móc zacząć żyć. Musiałem go odnaleźć, usiąść naprzeciwko i zapatrzeć się, zapatrzeć się tak, aż ujrzę wizję, którą

miał mój ojciec, i usłyszę głos, który on słyszał, i poznam, że świat jest pełen sensu i ładu, że zachowana pozostałość po jego malowaniu ma jakąś rolę do odegrania, i dopóki nie dowiem się, jaką, nie będę wiedział, co dalej. Im dłużej o tym myślałem, tym większą miałem pewność: obraz nie ocalał bez powodu. To był znak, że tylko on pozostał, gdy całe nasze życie legło w gruzach. Tak więc, gdy za oknem śmigały mokre pola, a krowy stojące w błocie pod żywopłotami oglądały się na nas i po chwili odwracały łby, siedziałem wsłuchany w rytmiczny stukot kół, przemierzałem kraj wraz z duchem mojego ojca i wyobrażałem sobie, że nazwisko Muiris Gore przyniesie nowy zwrot akcji.

## **Część V**

# 1

W dniu ślubu Isabel Margaret Gore upomniwała męża, żeby dobrze się sprawował. Poprzedniego wieczoru Muiris poznał Peadera. U Comana odbyło się przyjęcie; zaczęło się od uroczystej kolacji, którą wielki Padraig uświetnił czerwonymi papierowymi serwetkami i dwoma kompletami sztućców, ale towarzystwo dość szybko odeszło od stołu, mężczyźni stanęli przy barze i oglądali mecz piłki nożnej w telewizji, a Isabel patrzyła ponad pustymi miejscami na matkę i Seana. Między kolacją a tańcami zapanował na chwilę spokój. Peadar czuł się niezręcznie wśród wyspiarzy, aż wypił tyle, że zrobili się bardziej przyjacielscy. Zaczął się śmiać głośniej, niż na to zasługiwały ich dowcipy, i stał wśród spoconych mężczyzn lekko zamroczony whiskey.

Muiris był nim przerażony. Cóż to za głupiec, myślał, wielki, słaby, z miękką szczęką. Nawet kiedy zagrała muzyka, nie miał ochoty tańczyć; opierał się łokciem o kontuar i odwracał wzrok, gdy nawet najbardziej nieśmiali podchodzili poprosić do tańca piękność z wyspy. Kiedy grała muzyka, Muirisowi wydawało się, że gość się zasepia, i w końcu podszedł bliżej, żeby go wybadać. Przy dźwiękach skrzypiec spytał, czy Peadar zatańczy. Ruch miękkiej szczęki, uśmiech i potrząśnięcie głową. „Nie, dziękuję” – odparł. Uniósł kufel i zatapiając wzrok w piwie, przechylił go do ust. Co Muiris mógł mu powiedzieć? Najchętniej wygrzmociłby mu plecy pięściami; patrząc na niego, na tę jego ospałość, niechętną obecność na przedweselnym spotkaniu, nauczyciel nabrał ochoty, żeby go sprowokować. Od chwili przybycia na wyspę Peadar nie okazywał w widoczny sposób, że darzy Isabel miłością. Trzymała go pod ramię, nie za rękę, a on szczerzył się w uśmiechu do ludzi, których spotykali. Co ona w nim widziała? Jak mogła wybrać go zamiast chociażby Seamusa Bega, drobnego niebieskookiego chłopaka, który siedział obok niej w szkole, a teraz obracał ją w tańcu?

– Kochasz moją córkę?

Muiris wyrwał się z tym pytaniem bez zastanowienia. Tuż przy nich dwaj Joyce'owie grali skoczną melodię i Peadar nie dosłyszał.

– Co proszę? – spytał.

– Chodź no tu... wyjdź ze mną na chwilę.

W momencie gdy Margaret Looney ścierała z oka pyłek smutku, Muiris wyciągnął Peadera z gospody. Od zderzenia z nocnym powietrzem zatańczyły gwiazdy. Niebieska łódź Horana na przystani zdawała się unosić tuż nad wodą. Po chwili wszystko wróciło na swoje miejsce. Muiris zamrugał i poczuł za uszami chłód nocy. Nadeszła pora, żeby poznać prawdę. Chciał, by ten łachudra, który przed nim stał, udowodnił coś, co było nie do udowodnienia. Uniósł wskazujący palec.

– Powiedz mi. Chcę, żebyś mi powiedział, dlaczego niby mam ci pozwolić, żebyś ożenił się z Isabel. – Wyrzucił z siebie te słowa i od razu poczuł płynące w powietrzu wyrzuty żony.

Peadar wykrzywił się, uniósł wysoko brwi dla większego efektu, a potem opuścił nad same



oczy, cofnął się, prychnął kątem ust i znów uniósł brwi dla podkreślenia, że nie ma z nim żartów, po czym uśmiechnął się, patrząc w morze. Ton tego żądania tak go zaskoczył, że odebrał je jako atak. Poczul na ramieniu rękę nauczyciela, który oczekiwał odpowiedzi, a kiedy spojrzął w twarz Muirisa Gore'a, ujrzał swojego ojca. Odtrącił rękę.

– Nie możesz mi niczego zabronić – rzekł i ruszył w stronę baru, mijając nauczyciela. Nabral animuszu, zdobywszy się wreszcie na konfrontację z ojcem.

– Zaczekaj, proszę. Chryste, zaczekaj chwilę!

Muiris pociągnął Peadera za marynarkę. Gwiazdy zawirowały i z błyskiem osunęły się w morze, gdy odepchnięty upadł bokiem na ziemię. Żwir uwierał go w policzek, niebo zogromniało.

Peader nie zadał ciosu i wcale nie zamierzał przewrócić nauczyciela. Gdy zobaczył, jak upada, od razu chciał pomóc mu wstać, ale ubiegło go trzech mężczyzn, którzy właśnie wyszli na dwór. Pub opustoszał i wokół stawianego na nogi Muirisa zrobił się ruch. Margaret pośpieszyła do niego w upokorzeniu zapiętym ciasno pod szyją.

– Nic mi nie jest, nic mi nie jest, potknąłem się na mokrych kamieniach.

Zaczęły się prześmiewki i żarty o zagładaniu do kieliszka, o tym, jakich porad udzielał nauczyciel galwacyzkowi, a potem całe towarzystwo wróciło do pubu.

Margaret Gore wiedziała, że tu chodzi o coś więcej, ale nie śmiała spytać, o co. Tej nocy oboje z Muirisem nie mogli zasnąć i czuli się jak Ojciec i Matka Nieszczęścia. Muiris nie wspominał o wieczornym incydencie, tylko obrócił się na bok i spojrzął w oczy prawdzie: córka już go nie potrzebowała. Wybierała się za męża, a on miał przez resztę swoich dni żałować, że ją utracił. To był nowy cios w życiu, które obrosło przyzwyczajeniami. Dlaczego miałyby nastąpić kres rozczarowań i niepowodzeń, myślał; nie, jutro rano mam wstać i oddać ostatnią nadzieję na szczęście w tej rodzinie. Za rok moja córka mnie znienawidzi, znienawidzi mnie za to, że jej nie powstrzymałem, i będzie nosić w sobie uraz tego wyboru. Ale co ja mogę na to poradzić?

Margaret poruszyła się w łóżku. Wiedzieli, że żadne z nich nie śpi, ale nie mogli się zdobyć na to, żeby cokolwiek powiedzieć. Gdyby dali wyraz swojemu rozczarowaniu, ślub nie mógłby się odbyć i całkiem możliwe, że Isabel by uciekła i wzięła go gdzie indziej. Nie pozostawało nic innego, tylko biernie się przyglądać, jakby całe wydarzenie było tragedią w zwolnionym tempie, pełną grozy i cierpienia, wyświetlaną raz za razem na jaśniejącym w świetle gwiazd suficie nad łóżkiem. Margaret przysunęła się do Muirisa i objęła go od tyłu. Nie obrócił się do niej, przykrył tylko dłonią jej dłoń i tak leżeli bez słowa, nie śpiąc i patrząc w ciemność, jaka się przed nimi rysowała, a przez okno, otwarte i nie zasłonięte, gorzki zapach ich rozpachy ulatywał w słone nocne powietrze.

Rano Margaret wstała i zobaczyła, że Isabel już była w kuchni. Sean nie czuł się dobrze, wcisnął się w kąt łóżka i nie pozwalał siostrze się posadzić.

– A ja i tak wyjdę za męża – powiedziała do niego Isabel, wychodząc z powrotem do kuchni. Ponury nastrój w domu ciążył jej niczym kamienie uwiązane do nóg. – Dzień dobry, mamó. Ty

pewnie też nie miałaś dziś ochoty wstać?

– Nieprawda, kochanie. Dziś twój ślub. To najszczęśliwszy dzień mojego życia. – Margaret umilkła; jak mogła coś takiego powiedzieć? Potem klasnęła w ręce, jakby dawała znak do rozpoczęcia przedstawienia, i powiedziała: – Trzeba się zwinąć, mamy dużo do roboty.

Od tej chwili dom się przebudził i wibrował energią zbliżającego się ślubu. Margaret obudziła Muirisa, naszykowała mu garnitur i koszulę, wybrała krawat, a potem przyniosła do łóżka herbatę. Muiris zasnął dopiero o brzasku i przebudziwszy się teraz, postawił nogi na zimnej podłodze, jakby pierwszy raz miał stąpać po ziemi. Czy da radę wstać? Czy da radę iść? Margaret przyglądała mu się od drzwi sypialni, kiedy stanął przy oknie.

– Dziś twoja córka bierze ślub – przypomniała i przygryzła dolną wargę. – Pilnuj się, żebyś nie narobił wstydu.

Poszła nakarmić Seana, bezskutecznie namawiała go na wstanie z łóżka i wróciła do kuchni, gdzie właśnie zawitała Nora Liathain, najbliższa sąsiadka, która wywahała unoszący się przez całą noc z domu nauczyciela, kwaśny żółty opar rozpaczy. Była wdową i znajdowała upodobanie w smutku. Kiedy kogoś przytłaczało przygnębienie, jej było w to graj, znajdowała pocieszenie w tym, że utrata męża, pięknego Liama, nie była jedynym niesłychanym nieszczęściem, które Bóg spuścił na wyspę. Margaret rozmawiała z nią w drzwiach.

– Wszystko w porządku?

– Wszystko w porządku, Noro.

– Ach tak. Świetnie. – Umilkła i powąchała powietrze. – Wielki dzień dzisiaj. Tak. Tak. Może się na coś przydam? Może wejść i porozmawiam z Issy?

– Wiesz, Noro, jesteśmy tak zajęci, że nie mamy czasu na rozmowy.

– Naprawdę?

– Tak.

– No to przyjdę później.

– Wspaniale, Noro. Dziękuję.

– Och, proszę bardzo. Jeśli tylko będę potrzebna, powiedz.

– Na pewno. Dziękuję, Noro.

Poszła sobie, ale należało spodziewać się innych. Margaret wiedziała, że ślub wisi na włosku; chociaż sama go nie pragnęła, to zorientowała się, że córce na nim zależy, strzegła więc pilnie domu, aby nikt mu nie zagroził i nic nie zaprzepaściło tego dnia. Pracowała jak w transie, jakby ślub był swoistą odliczanką, a ona tego niebieskiego ranka skupiła całą wolę i energię na wykonywaniu czynności numer jeden, dwa, trzy według z góry ustalonego planu. Tylko w ten sposób mogła przez to przejść. Kiedy była w sypialni Isabel i szczotkowała jej włosy, przyszedł ojciec Noel i usiadł w kuchni z Muirisem.

– No i jak się dziś wszyscy czują? – usłyszała jego wysoki głos, gdy wchodził do domu. Teraz, stojąc ze szczotką do włosów za plecami Isabel, nasłuchiwała, co powie Muiris i czy przypadkiem wszystkiego nie zepsuje. Długimi, powolnymi pociągnięciami czesała córkę i

wyciągała szyję w stronę drzwi, obawiając się, że w każdej chwili może wejść ksiądz i spytać Isabel wprost: Czy to prawda, że się nie kochacie?

Po kwadransie usłyszała stuknięcie szklanki odstawianej na sosnowy stół, skrzypienie butów na kamiennej podłodze w sieni, kroki księdza zbliżającego się do sypialni. Zapukał tak cicho, że jego nadejście wydało się niezwykle wtargnięciem kawalera do pokoju kobiet.

– Niech was Bóg błogosławi.

– Wejdz, ojciec – zaprosiła Margaret. Już stał w drzwiach.

– I jak się dzisiaj czujemy?

– Dobrze – odparła Isabel, ale jej głos utonął w głośniejszej odpowiedzi matki:

– Cudownie, ojciec.

– Świetnie, wspaniale – rzekł i nie przestępując progu, wsunął głowę do środka. Stał tak przez chwilę; doszły go słuchy o wczorajszym zamieszaniu u Comana, ludzie gadali, że ślubu nie będzie; najróżniejsze plotki fruwały po – wyspie, dlatego nachylał się przez próg dłużej, niż wypadało, nadstawiając łagodne oczy i różową twarz na trzepnięcie prawdy. Ale nic go nie uderzyło. Wypełniła go wdzięczność. Dzięki Ci, Boże. Jakie dobre jest życie, kiedy posuwa się gładko naprzód, pomyślał. Mógł się uśmiechnąć, pobłogosławić, a potem oddalić się ze skrzypieniem butów przez sień i wydostać na bezpieczniejszą aurę nad Atlantykiem.

– Co mu powiedziałeś? – spytała Margaret.

– Powiedziałem, że chyba wiatr się nasila. Idę się ogolić. Nie masz nic przeciwko temu?

– Piłeś od rana?

– Słucham?

– Nie wypieraj się.

– Wyznam to księdzu na spowiedzi w przyszłą sobotę. Idę się ogolić.

Muiris odszedł, ściągnął sweter, który założył przy księdzu, i upuścił go na podłogę przed drzwiami do łazienki.

– Moje życie... moje życie to zbieranie tego, co raczysz dla mnie upuścić – zawołała za nim żona.

Zamknął za sobą drzwi łazienki i trzymał je, aż usłyszał, że Margaret wróciła do Isabel. Tutaj czuł się bezpieczny. Puścił ciepłą wodę i patrzył, jak jego twarz znika w pokrywającym się parą lustrze; okropna plamista opuchlizna zamiast zdrowej cery, gąszcz zmarszczek, przekrwione oczy, niemły wygląd, nikt nie chciałby takiego za męża, myślał, płuczac maszynkę do golenia. Spraw, żeby coś się wydarzyło, spraw, żeby coś się wydarzyło, kołatała mu po głowie modlitwa, przeciągnął ręką po obwisłych policzkach, zmieniających zarys szczęki, za oknem rozkrzyczały się mewy. Zapowiadały deszcz. Nie znosił, kiedy padało w sobotę, i bardziej mu to przeszkadzało niż w dzień powszedni, bo wtedy dzieci czuły się, jakby skonfiskowano im piłkę. Ale dziś wszyscy mieli być na ślubie. Wszyscy mieli to zobaczyć. Przesunął palcem po gładko wygolonej skórze i ucisnął kość policzkową, obolałą po upadku.

– Au!

Ochlapał się zimną wodą. Odczekał, aż twarz ocieknie mu nad umywalką, i stał tam dalej, nie mając siły się ruszyć. Był tchórzem. Bał się zranić córkę. Bał się powiedzieć jej, że ten człowiek to nic dobrego, i ryzykować, że znienawidzi ojca na zawsze. Bał się tego, co uważał za swoją powinność, i stał, gapiąc się we własną twarz w lustrze, i modląc, żeby wydarzyło się coś, co zdjęłoby z niego ciężar odpowiedzialności.

– Wychodzisz? – To wołała Margaret, domyślając się jego słabości i nie ustając w staraniach, aby weselna machina toczyła się gładko dalej. – Wyjdiesz stamtąd dzisiaj?

– Za chwilę.

– Siedzisz tam od roku.

– Rzeczywiście – szepnął, słuchając jej oddalających się kroków i obracając się znów do lustra. Ty sakramencki głupcze, pomyślał, ty głupcze. Taka wpadka w dniu, w którym spodziewałeś się być taki szczęśliwy. *Fecken eejit*, ty ciężki idioto, za kogo się uważasz? On jest w porządku. Ona da sobie radę. Dokonała wyboru, trzeba jej zaufać. On ci się nie podoba, ale to tylko pierwsze wrażenie. Co o nim wiesz? Wiadomo, chłopak był zdenerwowany, kiedy znalazł się wśród nas. Musi okrzepnąć. Poczuł, że zwarliłszy szeregi przeciw niemu, śledzimy każdy jego ruch. Włóż koszulę. On jest w porządku, zobaczysz.

Lustro odbijało jego ogoloną twarz przez mgiełkę pary i spływające krople, Muiris odwrócił się od umywalki i otworzył okno, ale nie mógł wypłoszyć uczucia, że wyrwano mu z głębi serca i ukradziono coś bardzo cennego.

W pokoju Isabel żona nasłuchiwała, aż szcęknie zamek i otworzą się drzwi łazienki. Kiedy wyszedł, westchnęła i zaraz udała, że kaszle, aby córka nie wyczuła wiszącego w powietrzu napięcia, które mogło zniweczyć ślub. Szczotkowała włosy Isabel, jakby trącała struny letejskiej liry zapomnienia. Szczotka przesuwiała się z góry do dołu raz za razem, aż w końcu Isabel podziękowała matce. Wstała, a wtedy jej matka zobaczyła, jaka jej córka jest piękna. Łzy napłynęły do oczu Margaret, broda jej zadrżała, więc żeby zapanować nad wzruszeniem, zawołała:

– Wyszedłeś już stamtąd? Wyszedłeś? – Zająknęła się i wybiegła z pokoju, jakby ktoś wydał niesłyszalny rozkaz.

Poranek w domu na wyspie był niczym zegar, który ktoś za mocno nakręcił; ślub miał się odbyć o drugiej. Termin ten wydawał się niemożliwie odległy, a jednak przybliżał się nagłymi skokami, czas nie był łagodną krzywizną, lecz szarpaniną pełną drgnień i zatrzymań. Była godzina dziesiąta. Muiris wyszedł z łazienki. W południe, kiedy dzwony przez radio dzwoniły na Anioł Pański, Margaret odkryła plamę na sukni. Skąd się wzięła ta plama? A przecież była; suknia przyjechała z Galway, została wyjęta z zapinanego na suwak plastikowego worka i teraz leżała rozłożona na łóżku Isabel, ujawniając wyraźny brązowy ślad po prawej stronie poniżej biodra. Ślad wyglądał jak wyspa.

– Cholera! – Tym razem odezwała się Isabel, odwracając się do okna i klaszczącego morza. – Cholera. – Jeżeli to był znak, oczekiwała następnych.

– Da się uratować – powiedziała Margaret, starając się nie okazać, że to z pewnością zły znak.

– Spójrz tylko.

– Nie martw się, Issy. Wywabimy ją.

Wpół do drugiej matka i córka wciąż nachylały się nad plamą, traktując ją wodą, octem, sodą i solą. Wreszcie, dwadzieścia minut przed rozpoczęciem uroczystości udało im się rozpuścić plamę, ale materiał wchłonął niezapomnianą woń gorzkiego octu, co wszyscy obecni tego dnia w kościele wzięli za zapach małżeństwa skazanego na niepowodzenie. Zanim kobiety wyszły z pokoju, ojciec panny młodej usiadł przy swoim niemym synu w pokoiku na tyłach domu. W dzielące ich milczenie wdzierał się krzyk mew i coraz głośniejszy łomot niespokojnego morza. Przyszły druhny, Sheila i Mary O’Halloran, stanęły w pustej kuchni i podjadały szynkę, przekonane, że nic się nie wydarzy. Czas znów skoczył do przodu; minęła druga, Isabel wyszła z pokoju wraz z drepczącą z tyłu matką – w nieskazitelnej sukni, z refleksami światła w wyszczotkowanych włosach. Była gotowa. Nora Liathain przyszła posiedzieć z Seanem i znaleźć pocieszenie w dławiącym go smutku. Ucisnęła dłoń Isabel brązowymi wykrzywionymi palcami, które kłuły jak kolce, i cofnęła się, żeby popatrzeć na ruszający pochód.

Do kościoła mieli iść na piechotę. Kiedy Muiris otworzył drzwi domu, poczuł, że wypuszcza na zewnątrz cały świat, i postawił niepewny, chwiejny krok na kamiennej płycie za progiem. Córka przytrzymała go za ramię. Margaret dołączyła z tyłu razem z druhnami. Mała grupka wyszła przez drzwi i ruszyła kamienną ścieżką między ogrodzeniami, jasne ubrania trzepotały na wietrze od morza. Niewiele mieli do przejścia i nikt się nie odzywał. Poruszali się jak w transie, każdy patrzył przed siebie na kamienny kościół i zadawał sobie na swój sposób to samo pytanie: czy coś się wydarzy. Jeżeli miał się zjawić jakiś znak, musiało to niechybnie nastąpić teraz.

Wiatr rozrzucał zapach octu i perfum. Muiris czuł piekący siniak na policzku i dłoń córki ściskającą jego ramię. Czy Isabel chciała, żeby coś zrobił? Chciała, żeby poprowadził ją obok kościoła czy żeby wprowadził ją do środka? Nie zdobył się, żeby na nią spojrzeć, i prowadził wspartą na ramieniu urodę jak wspaniałą bukiet, który miał wkrótce zniknąć. Doszli do drzwi kościoła, usłyszeli muzykę i uderzył ich w twarz gorący oddech zbitego tłumu. Tłum zaszumiał, zafalował odwracaniem głów i spojrzeniami,omalże słyhać było, jak pękają i krwawią wyspiarskie serca, bo oto najpiękniejsza kobieta z wyspy miała oddać rękę obcemu.

Cóż było robić. Prowadząc córkę środkiem kościoła – jeszcze wtedy – Muiris wyczekiwał, czekał na jakąś widowiskową interwencję, żeby buchnęły płomienie albo wiatr zerwał dach. Nie odrywał spojrzenia od tabernakulum, nie patrząc na równy uśmiech ojca Noel. Słyszał szelest ślubnej sukni na podłodze jak pożar poszycia i cichutkie skrzypienie nowych pantofli na błyszczącej posadzce.

Teraz.

Teraz. Czy coś wreszcie...?

Cokolwiek?

Nic się nie stało. Po chwili bukiet zsunął się z ramienia Muirisa i rozpoczęła się ceremonia zaślubin.

Na drugi dzień rano, kiedy młodożeńcy odpłynęli do Galway, żeby stamtąd udać się w podróż poślubną do Connemara, wyspa spała, pogrążona w słodko-gorzki śnie o odejściu swojej najpiękniejszej kobiety. Sny były grube jak poskręcane koce i potykały się o nie nawet osiołki na plaży. Czuwała tylko Nora Liathain. Nie poszła na ślub i całe popołudnie zachodziła do domu nauczyciela, doglądając Seana. Spodziewała się, że łąda chwila ślub zostanie zerwany, wybuchnie bójka, ale ponieważ nic takiego się nie stało, jej rozczarowanie wezbrało jak niewidoczny wrzód, który miał pęknąć później.

O tym była przekonana i tym się pocieszała.

Myła od środka okno w kuchni, gdy zobaczyła obcego idącego od promu. Przetarła szybę i wyjrzała przez czyste kółko. Zaszedł ją wrzód. Przyskoczyła do drzwi. To był rostry młodzieniec o wysokim czole i lekko przygarbionych ramionach. Gdy zbliżył się do wsi, wdowa pozdrowiła go po irlandzku, po czym spiesznie dodała:

– Dzień dobry. – Patrzyła, jak do niej podchodzi. – Zbiera się na deszcz – zawołała wesoło, przekazując niewesołą nowinę nad spłachetkiem ogródka i chowając ręce do kieszeni fartucha.

Zatrzymał się na nierównej drodze.

– Szuka pan kogoś?

– Tak. Szukam nauczyciela..

– Chodzi o jego córkę? – wystrzeliła pytaniem, nie dając mu dokończyć; a więc to już, swędzący wrzód piekł coraz mocniej. Wiedziała.

– Słucham? Nie, hm...

– Chodzi o Isabel? – dopytywała się i w oczach błysnął jej nikły uśmiezek. – Właśnie wczoraj wzięła ślub. Spóźnił się pan. – Umilkła, żeby wstrząsająca nowina dotarła do jego świadomości, chciała zobaczyć, jak pęka mu serce i przybysz żałośnie dołącza do grona zbolałych i pogrążonych w smutku. Nic jednak na to nie wskazywało.

– Isabel? – spytał.

– Ona wcale go nie kocha. Wiedziałam o tym. Wszyscy wiedzieli. Pewnie chciała zrobić panu na złość. To do tej dzikuski podobne. – Skinęła głową w stronę morza i przybysz obrócił się, żeby popatrzeć. Prom ruszył w kurs powrotny na ląd i był już tylko plamką w rozlanej szarości.

– W którym domu mieszkają państwo Gore?

– Jeszcze śpią. Wszyscy śpią. Ja jedna nie śpię. Mój mąż nie żyje, więc dlaczego miałabym spać?

– Bardzo mi przykro.

– Pan się w niej kocha, a ona odjechała. Ale nie umarła.

– To już coś – rzekła wdowa, rzucając mu pocieszenie jak okruch chleba i obserwując jego zagubioną minę z pewną otuchą.

– Który to dom?

– Ten. To ich dom. Ale jej tam nie ma, mówię panu.

– Dziękuję. – Odszedł od niej i przecinając wąską dróżkę, zbliżył się do domu nauczyciela.

– Spóźnił się pan! – zawołała za nim, ale już się nie odwrócił. – Wszystko zawsze jest za późno! – krzyknęła, bo a nuż tliła się w nim jeszcze nadzieja, on tymczasem pchnął furtkę, przeszedł ścieżką przez ogródek i trzy razy mocno zastukał w drzwi.



Isabel usiłowała wydostać się z zamknięcia. Długi korytarz miał drewniane ściany, przez które przesączała się woda, a Muiris biegł tym korytarzem, szukając drzwi. Nigdzie ich nie było, słyszał tylko walenie pięściami w drewno i wołanie o pomoc. Gramolił się dalej, sunąc dłońmi po chropowatej powierzchni i czując, jak wbijają mu się w palce drzazgi. A ona wciąż go wzywała. Szukał jej gorączkowo i wykrzykiwał jej imię, żeby dać znać, że jest blisko. Ale gdzie ona była? Gdzie były drzwi? Było ciemno, pochyło, wszystko tonęło w szarym mroku. Obejrzał się za siebie, a tam to samo.

– Isabel? Issy? Issy?

I wciąż to walenie pięściami w drewno: raz, dwa, trzy.

Raptem trzęsienie, drewniane ściany rozstępują się, do korytarza wpada jaskrawe światło, boleśnie kłujące źrenice – Margaret potrząsała nim i mówiła:

– Ktoś puka, ktoś puka do drzwi, Muiris.

Rozejrzał się oszołomiony. Czy otaczał go realny świat?

Przez chwilę wyobrażał sobie, że budzi się w dzień ślubu, a nie dzień po ślubie córki. Pokręcił głową, załomotało mu w skroniach, jakby koń walił kopytami.

– Muiris! Rusz się.

Znow pukanie – trzy razy. Przyłożył rękę do oczu, jakby osłaniał się przed ciosem, i usiadł, wyrывая się z gorączki snu. Czy można dziś wstać i spojrzeć na świat z nadzieją? – myślał. Dlaczego jest tak jasno? Przybliżając palce stóp do zimnej podłogi, poczuł, że musi zapanować nad kołysaniem ziemi, bo upadnie, jeżeli spróbuje stanąć. Światło było bezlitosne i nierzeczywiste, przez szparę w zasłonach, jak przez rozdarcie, jaśniała płachta bieli, od której odwrócił oczy. Nie, lepiej nie wyglądać. Wszedł w piżamie z sypialni, spodziewając się najgorszego. Kto dziś rano nie spał? Kto nie wiedział, że teraz nie wypada zakłócać mu spokoju? A może... Przemknęło mu przez myśl, że małżeńskie życie córki trwało zaledwie jedną noc; na pewno było ją stać na takie zerwanie. Otworzył drzwi, spodziewając się Isabel, ale ujrzał nieznanego młodego człowieka.

– Pan Gore?

– Kim pan jest?

– Przychodzę w sprawie obrazu.

Nauczyciel nie wiedział, o co chodzi, poranny chłód sklepywał mu sen z twarzy, ale świat wciąż wydawał się źle urządzony i bez sensu. Szare chmury na niebieskim niebie, stado osiołków, które przyszły za nieznanym od samej plaży i stały teraz rzędkiem przy furtce, oko Nory przysunięte do okna w chałupie naprzeciwko. I ten obraz, jaki obraz? Nic nie mówiąc, patrzył na stojącego przed nim młodego mężczyznę.

– Nazywam się Nicholas Coughlan – rzekł tamten. Mój ojciec namalował obraz...

Wdowa starała się coś dosłyszeć, wyęzając szare oczy, więc Muiris chwycił gościa za ramię

i pociągnął do środka.

– Proszę wejść, proszę. – Zimno lizało mu łydki. – Niech pan usiądzie, włożę coś i zaraz wrócę.

Nicholas usiadł w kuchni pełnej nieuprzątniętych śladów po przedślubnych przygotowaniach – leżały tam wstążki, igła z nitką, nożyczki, ucięte łydki goździków, cętkowany wodą celofan, kawałek tortu weselnego, który Margaret niosła do domu przy chwiejnym świetle księżyca i który – postawiony na samym brzegu kuchennego stołu – spadł na podłogę. Uratowane resztki były nieco sfatygowane.

– Już. – Muiris wrócił w spodniach i skarpetkach, ale w wiszącej luźno górze od piżamy wyglądał trochę rozpustnie. Sięgnął po czajnik. – Okropny tu bałagan, ale herbatę da się zrobić. – Odczekał, aż naleci woda, i po raz pierwszy w życiu wypowiedział zdanie: – Moja córka wyszła wczoraj za męża.

– Ach tak. Moje gratulacje.

Nauczyciel, z czajnikiem w ręku, zastygł między kontynuacją życia a napływem wspomnień o córce, która odeszła. Gratulacje – to zadźwięczało mu w uszach kpina. Zamrugął, żeby nie upaść, i rzekł:

– Nie ma czego gratulować.

– Muiris!

Margaret Gore wkroczyła do kuchni, jakby przybywała ratować swoje zagrożone życie. Ruszyła do boju w szlafroku i nie patrząc na nieznanego, wyjęła mężowi z ręki znieruchomiałe w powietrzu czajnik. Wszystko we właściwym czasie: najpierw trzeba przywrócić bieg światu, podeprzeć przewracającego się męża i przepędzić skrzydlate cienie rozpacz, trzepoczące się koło jego ramion. Musiał żyć dalej; nie dotarli tak daleko przez niekończące się zmagania światła z ciemnością wyspy, aby teraz popaść w przygnębienie. Podjęła takie postanowienie. Miał złamane serce i cóż z tego? Trzeba żyć dalej.

– Dzień dobry. – Skinęła głową Nicholasowi. – Muiris, obudzisz Seana na śniadanie?

Nauczyciel wyszedł, a jego żona zaczęła kroić chleb.

– Wczorajszy. Dziś jeszcze nie piekłam.

– Dziękuję, nie jestem...

– Ależ zje pan coś do herbaty.

Nie patrzyła na niego, kiedy mówiła. Przeciągnęła rękoma po blacie, zgarniając celofan i resztki po kwiatkach, i wrzuciła wszystko do kubła na śmieci. Nie wolno stawać w miejscu, trzeba coś robić. Zaczęła ścierać blat i przygryzła lekko dolną wargę, kiedy jej ręka zatrzymała się przy stojącej na parapecie fotografii matki z córką.

– Nie zna pan Isabel? – spytała.

– Słucham?

– To ona. – Podała mu zdjęcie. – Moja córka.

Niby nic takiego, naturalny gest, który jednak miała później wspominać, kiedy wszystko się

zmieniło i gdy zastanawiała się, co by się stało, jak inaczej potoczyłoby się życie, gdyby nie pokazała mu wtedy tego zdjęcia.

Spojrzał na nie i zaraz oddał, nie wiedząc, że z tego zdjęcia już sfrunął na niego jakiś zarodek czy marzenie i że jego życie już się zmieniło. Zobaczył podobiznę pięknej kobiety, ot i wszystko.

– To nasz gość. A to Sean, mój syn.

Muiris wtoczył Seana na wózek i Nicholas wyciągnął rękę. Sean nie poruszył się, więc Nicholas dotknął lekko jego wiotkich palców. Wózek stanął przy stole obok gościa.

– Zrobię herbatę.

– Siadaj – zarządziła stanowczo Margaret i dalej smarowała kromki ciemnego chleba, a tymczasem zaczął śpiewać czajnik. Trzej mężczyźni siedzieli chwilę w milczeniu, ulegli wobec gospodyni, po czym Nicholas wyjawiał powód swojego przyjazdu.

– Mój ojciec nie żyje – zaczął, dokładając do ich smutku porcję od siebie, i opowiedział o straszliwym popołudniu w Dublinie, jakby to była ponura baśń, legenda czy podanie z zamierzchłych czasów, a nie jeden z banalnych dramatów codzienności. Gore'owie nic nie mówili. Siedzieli zasłuchani wokół stołu, zapominając o herbacie i chlebie, tak wciągnęła ich ta historia. Opowieść chwilami brzmiała okrutnie znajomo; moment, kiedy William Coughlan zaczął malować, dzień, w którym umarła matka chłopca, śmierć ojca – wydarzenia te wywoływały w ich zdumionych umysłach echo katastrofalnej chwili, gdy Sean padł powalony chorobą. Jeden gasnący dzień i zdruzgotane życie.

Nicholas opowiadał, a herbata stygła. (W ogródku, pielęgnując niewidoczne rośliny, Nora Liathain nachylała się ku zachodowi i nasłuchiwała, kiedy nastąpi wybuch. Któż inny mógł przyjechać jak nie kochanek dziewczyny, czy nie należało się więc spodziewać, że lada chwila domem wstrząśnie tragedia? Może rozlegną się lamenty, krzyki i płacz? To dla niej nic nowego. To jej starzy znajomi. Może uda jej się jeszcze lepiej zrozumieć istotę straty, jeżeli pod jej ciężarem upadnie ze szlochem każdy, z którym ona, Nora, się zetknęła. Czekwała, oddychając słoną bryzą na niskim brzegu, skąd zobaczyła ojca Noel, który prowadził swoje grzechy do kościoła, zataczając się po whiskey).

Kiedy Nicholas zbliżał się do końca opowieści, bez wahania opowiedział zgromadzonej wokół rodziny o spotkaniu z ojcem na ośnieżonej ulicy w Wicklow niedługo po jego śmierci. Unikając przesady i komentarzy, jakby wydarzyło się coś najzwyczajniejszego w świecie, sprawił, że Muiris i Margaret tak to właśnie przyjęli. Ojciec nie kazał mu odzyskać obrazu, zapewnił Nicholas. Ale na drugi dzień obudził się z przeświadczeniem, że powinien to zrobić.

– Wszystko dzieje się zgodnie z planem – rzekł. – Tak mawiał mój ojciec. Musimy tylko domyślić się, jaki to plan.

Odczytać dane nam znaki.

Odczytać znaki. Margaret sięgnęła po talerz z chlebem i podała gościowi. Muiris nie odrywał od niego spojrzenia. Odczytać znaki. Nawet Sean zdawał się słuchać; zupełnie jakby dla każdego z trojga przybycie Nicholasa Coughlana do ich domu na drugi dzień po rodzinnym wstrząsie już

było jakimś znakiem. Nigdy kogoś takiego nie spotkali, można by pomyśleć, że nawiedził ich w dziwnym śnie, który śnili całą rodziną. Sean kiwał głową, siedząc na wózku, a kiedy Nicholas podchwycił jego spojrzenie, tamten uśmiechnął się do gościa.

– Mój mąż dostał obraz jako nagrodę za wiersz – powiedziała Margaret. – Prawda?

– Tak. – Muiris zwrócił się do Nicholasasa. – Nie wiedziałem, jaka będzie nagroda.

– Nawet nie zgłosił wiersza. Ja to zrobiłam.

Nicholas milczał. John Flannery opowiedział mu o konkursie i o wręczeniu obrazu nauczycielowi. Teraz chciał się dowiedzieć, czy ten obraz można odkupić. Siedząc w kuchni, którą nappełnił tragedią i ponurym nastrojem, nalał sobie gorącej herbaty, powtórnie zaparzonej w czajniczku.

– Pójdziemy go obejrzyć – rzekł Muiris, wstając. – Tylko się ubiorę.

Margaret od razu poprosiła go, żeby przyniósł coś ze sklepu, skoro szedł do szkoły. Zostawiła Seana w kuchni razem z Nicholasem i zniosła nierozwinięty tłumoczek przeczuć do sypialni.

– Napijesz się jeszcze herbaty? – spytał Nicholas.

Chory lekko potrząsnął głową i siedzieli tak we dwóch w ciszy, która nie ciążyła, bo była pełna nadziei; znaleźli się na progu czegoś, co ich obu przerastało. Nicholas zebrał naczynia i wstawił je do zlewu, a Sean, jakby to było coś najprostszego i najłatwiejszego, zaczął cichusieńko nucić skoczną melodię. Jakby wleciał małeńki ptaszek, choć okna i drzwi były zamknięte. Nie odwracając się od zlewu, Nicholas od razu poznał, że to jeden z ptaków, które fruwały nad zgliszczami domu ojca, i zmywał naczynia, słuchając melodii z tkliwością, z jaką wita się starego przyjaciela.

Odczytać znaki.

– Nie trzeba było tego robić. – Zjawił się Muiris i dopinając koszulę, sięgnął po wiszącą na drzwiach marynarkę. – Żona mnie zabije, że panu na to pozwoliłem – rzekł i umilkł, bo nagle wydało mu się, że słyszy trzepot skrzydeł, a kiedy się obrócił, zorientował się, że to melodia, którą nucił Sean. Była za cicha, żeby nazwać ją prawdziwą muzyką, zbyt nikła i delikatna, żeby wyhaftować powietrze, ale wzruszony ojciec musiał odwrócić oczy, żeby powstrzymać łzy.

Chociaż nie była głośniejsza od szeptu, Margaret też ją dosłyszała, kiedy strzepywała i składała pościel Isabel; co za radosna muzyka. Przeszła przez sień, zaciskając usta. Kiedy stanęła w drzwiach kuchni i zobaczyła nucącego syna, a po jego bokach zasłuchanych mężczyzn, ona też dojrzała unoszącego się w powietrzu samotnego białego ptaka, a wtedy nagle pękła w niej jakaś tama, wyzwalając wreszcie śmiech, i Margaret śmiała się pełnym głosem, wiedząc, że rozpoczął się ozdrowieńczy proces.

Nicholas i nauczyciel po wyjściu z domu natknęli się na osiołki. Stadko nie ruszyło się sprzed furtki, więc Muiris zaczął wymachiwać rękami i pokrzykiwać, lecz nie na wiele się to zdało. Zwierzęta odsunęły się trochę na bok, żeby przepuścić ludzi, a potem poszły za nimi karnym rządkiem w stronę szkoły. (Nora Liathain wiedziała, że to zły znak. Bardzo zły znak). Ranek był niepokodny, ostre porywy wiatru szarpały nogawkami spodni, wysuszając spodnie Nicholasa i odbierając pewność kroku nauczycielowi. Muiris nie mówił o Seanie, nie śmiał mówić, czuł jednak, że ten oto młody człowiek spadł mu jak z nieba. Oparł się o niego, kiedy omal się nie przewrócił, zaczepiwszy o obłuzowany kamień bruku.

– Muszę to poprawić.

Choć nogi mu drżały, Muiris szedł dalej, mając w uszach zanuconą przez syna melodię. Coś się działo, jakiś klucz obracał się w zamku świata, czuł to przy każdym kroku, wytrzeszczał oczy i otwierał usta jak do ziewania, żeby mieć pewność, że całkiem się rozbudził i to nie brandy czy whiskey płatają figle i udają Boga. Morze unosiło się w powietrzu, więc twarz miał wilgotną i odświeżoną. Jego oddech ulatywał w raptownych porywach, rozwiewany jak kwiaty nad domami przy zachodniej drodze, gdzie nikt jeszcze się nie obudził.

– Tam jest szkoła – powiedział, wskazując. – Musiałem powiesić obraz na dużej ścianie, żeby dobrze się prezentował, a nasze domy są dość małe. – Urwał. – Pomyślałem, że lepiej powiesić go tutaj, gdzie dzieci będą mogły... sam pan zobaczy.

Wraz z nieodstępującymi ich na krok osiołkami doszli do szkoły. Muiris otworzył drzwi i puścił przodem Nicholasa. Niewielki budynek wymagał drobnych napraw i odnowienia, na szczytowej ścianie od wschodu oberwała się rynna, pomarańczowa farba złaźiła ze ścian, jakby Atlantyk co roku próbował obrać owoc i go pochłonać, ale i tak Muiris z dumą wpuścił gościa do środka. Zamknął drzwi i zapadła cisza.

– Tam wisi.

Nie musiał nic mówić. Nicholas już stał przed obrazem, między małymi ławkami, przyklejonymi taśmą akwarelkami najmłodszych uczniów, laminowanymi mapami Europy i Stanów Zjednoczonych, obrazem Najświętszego Serca i dwiema tablicami. Stał jak wryty, oddychał szybko, płytko i wpatrywał się w jedyny dowód na to, że jego ojciec miał kiedyś słuszność. To był właśnie ten obraz – namalowany na początku lata na wybrzeżu Clare, kiedy on, Nicholas, omal nie utonął i ojciec wyciągnął go z wody. Kolory na obrazie szalały, opowiadając baśń o zieleniach, żółciach i błękitach, w których dzieci widziały bezkształtną materię służącą stworzeniu świata; był to Ezop i Grimm, był Adam, było morze i Cuchulainn. Nicholas oparł się o ławkę. Stojący za nim nauczyciel milczał, przypominał sobie wiersz, który Margaret zgłosiła na konkurs, i nagle poddał się wzruszeniu, co zdarzało mu się na tyle często, że mieszkańcy wyspy uznawali to za słabość. Oczy mu się zaszklily i musiał mocno zacisnąć usta, żeby broda nie zaczęła mu skakać, tak bardzo kochał swoją żonę.

Minął wiek. W szkolnej sali pociemniało, potem nagle rozjaśniło się i znów pociemniało, jakby przesunięto pośpiesznie naprzód czas i tylko dwaj mężczyźni trwali nieruchomo i w milczeniu przed obrazem. Płynęły chmury.

Jadąc przez kraj, Nicholas wiedział, co zamierza: zobaczyć obraz, następnie zapłacić za niego nauczycielowi i przywieźć go z powrotem do Dublina. Ale teraz, kiedy stał przed nim oparty o ławkę, nie było to takie proste, nie miał tej pewności. Nie chciał zabierać obrazu. Tutaj, na ścianie w szkole, wyglądał najwłaściwiej, z morzem widocznym po obu stronach przez duże okna. Nicholas nie wiedział, co robić, i ulżyło mu, kiedy wreszcie przemówił Muiris.

– Może pan go zabrać, oczywiście. Ale będzie mi go brakowało.

– Nie.

– Będzie brakowało.

– Chciałem powiedzieć, że chyba nie powinienem go zabierać.

– Nie podoba się panu?

– Nie w tym rzecz, tylko... – Odwrócił się i spojrzał na nauczyciela. – Skąd pan wie, jak postępować? Skąd to można wiedzieć?

– Tego się nie wie. Ja nie wiem – odparł Muiris, podchodząc bliżej. – Człowiek prosi o jakieś wskazówki, żadnych nie dostaje i bierze się za to czy za tamto. Wszystko może się zdarzyć. Wszystko zależy od przypadku.

Coś głucho stuknęło, drzwi raptownie się rozwarły i z głupkowskim zaciekawieniem zajrzał do środka osiołek.

Wracając do domu nauczyciela, Muiris i Nicholas zauważyli, że łód znikł. Wyspa zdawała się płynąć swobodnie z wiatrem, otoczona ze wszystkich stron ruchomymi parawanami z deszczu i mgły. Mżawka otuliła ich, kiedy szli kamienną drogą. Osiołki przestały podążać ich śladem, zbiły się w gromadkę pod południową ścianą szkolnego budynku i stały z pochylonymi łbami, jakby słuchały szeptanych w trawie opowieści o duchach. Kiedy przyszedli, w kuchni była Nora. Modliła się nad Seanem, który nucił beztrioską *Melodię Donnellana*. Margaret stała trochę dalej, przy czajniku. Porozumiała się wzrokiem z mężem, gdy ten wszedł i stanął na środku kuchni.

– To cud – rzekła Nora, zakończywszy modły. – Wraca do was. – Cofnęła się, żeby ocenić skutki modlitwy, ale Sean zwyczajnie nucił dalej, bez najmniejszej przerwy przechodząc do *Wdowy i jaskółki*.

– Nie przestał ani na chwilę, odkąd wyszliście – powiedziała Margaret, nie bardzo wiedząc, jak o tym mówić przy Nicholasie, i czując dziwne mrowienie w krzyżu, kiedy przy nim stanęła. – Wydaje mi się, że to pan coś zrobił – dodała.

– Nic nie zrobiłem.

– Zaczął zwyczajnie siedzieć. Nigdy nie nucił. Nigdy tak się nie zachowywał.

Muiris położył dłoń na ramieniu syna i usiadł koło niego. Próbował pochwycić jego spojrzenie, ale nie mógł, ponieważ oczy Seana błędziły pod sufitem wraz z dźwiękami melodii. Zaprosił gestem Nicholasą, żeby usiadł, a Margaret odwróciła się do szumiącego czajnika.

– Ojciec Noel powinien tu przyjść – odezwała się wdowa – i powiedzieć kilka...

– Dosyć. – Nauczyciel był stanowczy. – Nie chcemy tego. Nie chcemy tu zbiegowiska.

– Ale może to sam Bóg...

– Nic z tego. Bóg nic tu nie zdziałał, jak nie zdziałał od lat. Idź już do domu, Noro.

– Ale...

– Idź do domu. Dziękuję, do widzenia.

Jego głos zmusił ją do odwrotu, wypchnął za drzwi. Takie traktowanie przynosi pecha, już ona swoje wiedziała, szykowało się nieszczęście. Jak on mógł, myślała, przecinając wąską dróżkę, i szła do domu w deszczu, pocieszając się, że Bóg Wszechmogący ześle karę na bliźniego, aby ją wynagrodzić.

– Porozmawia pan z nim? On na pana reaguje.

– Na mnie? – spytał Nicholas.

– Sam nie wiem – rzekł Muiris. – Ja już w ogóle nic nie wiem. Jestem największym ignorantem na ziemi i niczego nie rozumiem, nie wiem, co ma sens, a co nie ma, ale od lat nie widziałem, żeby mój syn tak się zachowywał, a pan przyszedł tu dziś rano i... – Szerokim gestem wskazał muzykę, która wypełniła kuchnię. – Porozmawia pan z nim?

– Co ja mu powiem?

– Tego też nie wiem. Nie wiem.

Nicholas patrzył to na Muirisa, to na jego żonę, a w końcu sięgnął po kubek mocnej herbaty, który przed nim postawiono. Czuł ciężar ich oczekiwań, jak łożowane ręce uciskające mu pierś, i nie miał pojęcia, co robić. Co to wszystko miało znaczyć? Nie zrobił nic ich synowi. Nie miał daru uzdrawiania. Przyjechał tu tylko z powodu ojca, tylko dlatego, że za sprawą wąskiego przypadku obraz, który był ostatnim śladem pracy ojca na ziemi, trafił do tego domu. Przyjechał po obraz, a kiedy go zobaczył, stracił pewność, że powinien go ze sobą zabrać. A teraz to. Zadrżał, chudy i wysoki, pod ciężarem chwili, trząsł się pod stołem, strużki potu spływały mu spod pach, jakby ktoś sunął po skórze chłodnym nożem. Co robić? – myślał. Odstawił kubek na sosnowy stół i zwrócił się do muzyki.

– Sean – powiedział.

Melodia się urwała.

Tę noc Nicholas spędził w opuszczonym przez Isabel pokoju na końcu domu, obok pokoju Seana. Muiris i Margaret leżeli u siebie, pod otwartym oknem, i zwracali ku bezgwiezdnemu niebu swoje bezgraniczne zdumienie tym, co przyniósł miniony dzień. Ich syn powracał do zdrowia – przemówił do Nicholasa, jakby połączyła go z nim niewidzialna więź, dzięki której mógł wrócić do rzeczywistości. Nauczyciel i jego żona pękli pod naporem nadziei, rozcięła ich po samo serce, na dzień którego spoczywały – odsłonięte teraz i bezbronne – najskrytsze marzenia i aspiracje, jakie ojciec i matka mogą wiązać z jedynym synem. Sypialnię zaludniały twory ich wyobraźni, a niesłyszalna muzyka podrywała je do tańca. Przytulili się do siebie, leżąc w piżamach, i wypatrywali za oknem zapowiedzi nowego dnia, pragnąc, aby nadszedł jak najprędzej, nim rozplynie się i zniknie ten czar czy cud, który nawiedził ich dom.

Nicholas też nie mógł spać. W nocnym powietrzu, ciągle jeszcze słodkim i ciężkim od urody Isabel, latały jak ćmy pytania, które sobie zadawał. Co się stało? Przecież nic nie zrobił, temu nie dało się zaprzeczyć. On tylko zadawał choremu pytania, patrzył na niego, a jednak Sean zmieniał się w oczach, uległ tak głębokiej przemianie, jakby na wózku zasiadł inny człowiek. I wciąż to do niego wracało: przecież nic nie zrobił. To przypadek, fortunny splot zdarzeń. Powód jego przyjazdu wynikł z czystego przypadku, to mógł być inny dom, inny poeta mógł wygrać tę nagrodę. To mogło nic nie znaczyć. Jak dopatrzeć się sensu w takim zbiegu okoliczności? Przekręcił się w pościeli i wzbil zapach dziewczęcych marzeń. Grzmotnął poduszkę i sam o tym nie wiedząc, wypuścił z niej udreżone majaki wszystkich nocy, gdy leżała tu Isabel, winiąc siebie za to, co stało się z bratem. Jej poczucie winy zawiroowało w powietrzu niczym drobny pył; zadrapało go w gardle, aż się rozkaszał. Łzy popłynęły mu z oczu ciurkiem i nie przestawały płynąć, aż zdumiały go te strugi smutku. Obrócił twarz do poduszki i zmoczył ją łzami, wypłakując je z wewnętrznej przepastnej otchłani, takiego miejsca, które otwierało się jak zaczarowana skała za dotknięciem palca. Uciszył się, tłumiąc szloch, żeby inni go nie usłyszeli, a nie wiedział, że jego płacz zdążył już obudzić Norę Liathain w jej sypialni na tyłach sąsiedniego domu i że powietrze nad wyspą było szklane i ostre od żalu. Mężczyźni wracający od Comana nachylali się pod uderzeniami jego latających odłamków.



Tej nocy na wyspie Nicholasowi dojmująco doskwierała samotność. Znikł z oczu ląd, wysepka zdawała się odpływać coraz dalej w czarną nicość Atlantyku, i może dlatego ogarniało go jeszcze silniejsze uczucie odcięcia od świata i opuszczenia przez wszystkich. To zagubienie na morzu odzwierciedlało jego życie. Co on takiego zrobił? Dlaczego tu przyjechał? Jacy tu ludzie żyli na tej skale i co on tu między nimi robił? Im dłużej nad tym rozmyślał, tym mocniejszego nabierał przekonania, że przywiódł go tu głupi, nie przemyślany kaprys, który go naszedł, gdy dokuczał mu smutek i żal po stracie ojca. Strata, strata, strata. To słowo cięło go przez pierś jak nóż otwierający ciało i sięgający wnętrzości. O ileż łatwiej byłoby, gdyby został ranny, stracił rękę lub nogę, kuśtykał przez życie okulały, wymachiwał kikutem i pokazywał: tyle straciłem, tyle ze mnie wyszarpała rozpacz.

Ale on leżał w łóżku zapłakany, choć zdrowy, i tęsknił za ojcem. Całe jego życie zdawało się skupiać wokół tego rosłego mężczyzny o wysokim czole. Dorastał i dojrzewał pełen lęku i podziwu dla niego. Nie myślał o sobie, dopóki nie pomyślał o ojcu; z jego powodu nie miał prawdziwych przyjaciół, z jego powodu nikogo nie kochał, z jego powodu tu przyjechał. To było złe, to był przymus i zniewolenie, a gdzie jego własne życie? Gdzie krył się sens, jeżeli nie w tym, co zrobił jego ojciec? Zacisnął powieki i posłał pod powałę błysk gniewu: Jezu, co ja tu robię? Dlaczego wszystko spaliłeś? Dlaczego nie pomyślałeś o mnie? Dlaczego? Dlaczego?!

Nicholas wykrzyknął to pytanie, jakby mógł w ten sposób przywołać ojca, ale w drzwiach stała Margaret Gore.

– Nic panu nie jest? – Czwała w pokoju wilgoć łez.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało.

Stała przez chwilę bez słowa, okryta szlafrokiem, i przyglądała się młodemu człowiekowi, który przyjechał z Dublina i płakał w łóżku Isabel. Czekwała. A on leżał, patrzył w sufit i milczał. Poruszyła lekko dłońmi, jakby chwytała albo wypuszczała małego ptaka, i powiedziała:

– To minie.

Potem poszła. Łzy obeschły tak raptownie, jak popłynęły, i Nicholas zapadł w sen o ptakach i latających wyspach, pachnących dziewczętami. Unosił się w ekstatycznych przestworzach, gdzie delfiny skakały po obłokach, kolory mieniły się wszystkimi odcieniami obrazu ojca, a on sam połyskiwał i błyszczał, dotykały go kwiaty jak języki ognia. Poczul dym i obudził się – dom zmaterializował się wokół dziewczęcej sypialni, a z kuchni doleciał zapach przypiekanej na patelni grzanki.

W naturalnym świecie nic nie jest przypadkowe – na takim założeniu opierała się filozofia Williama Coughlana. Weźmy na przykład łososia wypływającego na szerokie wody, nie wyrysowany na mapach i nieoznakowany ogrom mórz, który dla pojedynczej ryby ma niepojęte rozmiary; a potem powrót, chwiejny skok w górę rzeki i lśniący pęd pod prąd, który sprowadza łososia znów na miejsce tarła. Dlaczego? Bo właśnie tak ma być. Taki jest porządek świata. Kiedy człowiek pojmie porządek świata, mówił ojciec, o nic się nie martwi. Jest jak jest, inaczej być nie może. Nie da się temu zaprzeczyć, wszystko ma swoje miejsce, wszystko, co Bóg stworzył, gdzieś pasuje.

Zatem tego właśnie ranka, mimo trawiących wątpliwości i wilgoci łoż, z której nie obeschło jeszcze powietrze, Nicholas Coughlan stwierdził, że pasuje do rodziny Gore'ów i ich życia na wysepce u zachodniego wybrzeża Irlandii. Chociaż z pozoru nie było w tym logiki, żadnego wyraźnego uzasadnienia w ogólniejszym planie, to obróciwszy się na łóżku i rozejrzawszy dokoła, Nicholas poczuł się mniej obco niż poprzedniego dnia wieczorem. Kiedy spuścił nogi na kamienną podłogę, jego stopy trafiły akuratnie, jakby już się tu zadomowiły. Stał przy oknie i wyjrzał, czy łód powrócił na swoje miejsce. Morze było przepelnione i przelewało się, uderzając o brzeg i podrywając mewy do krzykliwego kolistego tańca tuż nad powierzchnią wody. W powietrzu unosiły się aromaty domowych palenisk, a trzy kominy, które widział z okna sypialni Isabel, malowały niepokojąco skośny pióropusz dymu, nachylony przez wiatr ku wschodowi.

Poszedł do kuchni, gdzie zaproszono go na śniadanie. Kiełbaski turlały się na skwierczącej patelni, jajka zsunęły się i wylądowały z cichym plaśnięciem na jego talerzu, a nauczyciel podrzucił mu trzy kromki chleba posmarowane masłem.

– Muiris!

– On tego potrzebuje. Popatrz tylko na niego. Chudy jak chart. Daj mu jeszcze kiełbaskę.

Sean siedział obok na wózku. Tego dnia obudził się, czując w sobie muzykę, i kiedy matka przysłała go ubrać, powitał ją po raz pierwszy od lat *Melodię Ryana*. Teraz pozwalał się karmić jajkiem i zerkał na Nicholasa, uśmiechając się co chwila, jakby wciąż ten sam dowcip przebiegał w tę i z powrotem po łączach jego umysłu.

Niebawem Muiris wstał od stołu, obdarzył żonę spojrzeniem pełnym szczęścia, które odnalazł w sobie pierwszy raz od lat, i wyszedł z domu, żeby otworzyć szkołę. Umówił się z Nicholasem, że spotkają się o trzeciej, i kroczył ogrodową ścieżką, jakby to była pierwsza strona cudownej i pełnej niespodzianek powieści. Idąc do szkoły, niósł ze sobą melodię, którą od rana nucił syn, a kiedy otworzył drzwi i dzieci wbiegły do środka, melodia też się tam z nimi wślizgnęła i słyszał ją, unoszącą się zwiewnie po klasie, kiedy usiadł na katedrze.

– No to jakie macie plany na dzisiaj? – spytała Margaret, kiedy mąż odszedł, a szczęście, którym ją obdarzył, było jeszcze ciepłe jak wyrabiane przez nią ciasto.

Jasny i wyblyszczony poranek nie był już młody, kiedy Nicholas wytoczył Seana po

nierównej ścieżce za furtkę ogródka, na spacer po wschodnim brzegu. Wcale tego nie planował; wynikło to, jak wszystko, co teraz się działo, samo z siebie. Wstając od kuchennego stołu, nie myślał, co będzie robił, wyjrzał przez okno na nabrzmiałe morze i uprzytomnił sobie, że właściwie nie zwiedził jeszcze wyspy. Kiedy się odwrócił, napotkał spojrzenie Seana i jego zmrużony uśmiech.

– Tak, tak, oczywiście, tak. – Najbardziej zaskakujące było ciepło kobiecego głosu, które go oblało, gdy spytał, czy może wziąć Seana. Zupełnie jakby był łódką, którą popycha naprzód wezbrana fala życzliwości i nadziei. Poczł, jak go unosi, i zarumienił się zdumiony, widząc siebie przez chwilę oczami matki – był dla niej opatrnościowym mężem, przywdziewając płaszcz, szykował się niczym baśniowy bohater do walki z wrogiem.

– No dobrze – powiedział, kiedy znaleźli się poza zasięgiem wzroku matki, stojącej w drzwiach, a także Nory Liathain czujnie wypatrującej ze swojego punktu obserwacyjnego. – Musisz mi powiedzieć, w którą stronę mamy iść.

– Sean przechylił się lekko na lewo i wózek pod jego ciężarem też. Gdy byli już na właściwej drodze, wietrznej i wyboistej, Sean znów zaczął nucić. Wesoła melodia towarzyszyła im od tej chwili wraz ze stadem osiołków.

– Nie jesteś naprawdę chory, nie. Wiem, że nie jesteś.

Słyszysz wszystko, co mówię, i mógłbyś odpowiedzieć, gdybyś tylko chciał. Ale ty po prostu nie chcesz. W tym cała rzecz.

Dotarli na skraj urwiska, w dole morze burzyło się jak ferment choroby. Nicholas mówił, a wiatr rozrzucał mu kosmyki włosów. Nic nie wskazywało na to, że Sean go słucha, ale on mówił dalej, jakby zwracał się do uważnego słuchacza, któremu miał coś do powiedzenia.

– Zastanawiałem się nad tym. Po śmierci ojca. Nic nie mówiłem. Nic nie robiłem. Siedziałem sobie albo leżałem w łóżku. Miałem kogoś, kto się mną opiekował. Tak jak ty.

Mogłem cały dzień słuchać Mozarta, leżąc w łóżku, jeśli tylko przyszła mi na to ochota. Wyobraź sobie. Nie musiałem nawet nucić. Muzyka po prostu była wokół mnie. Jak anioły, powiedziałaby mój ojciec. Mówił takie rzeczy. Muzyka po prostu jest, tak jak anioły. Albo łacina. Znasz łacinę?

Odczekał chwilę, ale Sean milczał, nieruchomo zapatrzony w kapryśną wodę, błędzącą po ciemnej skale.

– Ja znam. Dość długo się uczyłem. Właściwie bez powodu. To trochę przypomina zbieranie kamieni na plaży albo inne takie zajęcia. Łacina. Uwielbiał jej brzmienie. Tak mi się zdaje, bo chyba jej nie rozumiał. Schowaliśmy się kiedyś przed deszczem do stodoły i krowy zniszczyły mu wszystkie obrazy, a wtedy poprosił, żebym powiedział coś po łacinie. Nie mogłem tego pojąć. Jakby to było błogosławieństwo. Wyobrażasz sobie?

Nicholas umilkł, ale nie oczekiwał odpowiedzi. Przemawiał do niewidzialnego świata, do powietrza nad Atlantykiem i do wzburzonej wody u ich stóp.

– Łacina w stodole, w deszczu, gdzieś w Clare. *Cetera per terras omnes animalia somno*

*laxabant curas et corda oblita laborum.* Wergiliusz. Wszędy na ziemi wszystkie stworzenia we śnie odpoczywają od trosk i sercu dają zapomnienie.

Mniej więcej tak. Podobało mu się. Myślałem, że to z powodu samego brzmienia, czystej muzyki. Przy innych okazjach też recytowałem po łacinie. Kiedyś przyszedłem z pracy, a on siedział przy pustym stole; jakby usiadł, żeby napić się herbaty, tylko że na stole nic nie stało, jakby właśnie odkrył swoją samotność, w mojej rodzinie tak właśnie było, troje nas, a każdy samotny, zapominamy o tym na jakiś czas, ale potem, trzask, wychodzi szydło z worka. A wracając do mojego ojca, przyszedłem, a on siedzi przygarbiony nad stołem, przy którym jadał zwykle podwieczorek. Kiedy wszedłem, czały się w nim łzy, taki był napięty, niemal załamany. „Porecytuj dla mnie” – poprosił. Nawet nie wiem, o co mu właściwie chodziło, ale tak mnie prosił, łacina, muzyka, jakby anioły spływały spod powały, tak mówił. Więc zacząłem i doszedłem do jakiegoś słowa, a ojciec nagle mi przerwał. Spojrzał na mnie ze łzami w oczach i wiesz, co powiedział? Powiedział *amor*. Po prostu. Oblekł to słowo w dźwięk. *Amor*. A potem wymówił imię mojej matki. Bette. *Amor Bette*.

Nicholas urwał i znów otoczyło ich morze, wiatr i mewy.

Przepastna, wietrzna pustka, silny ciąg wżwyż przy urwisku były zachętą dla mew, które zataczały śmiałe, długie, powolne łuki nad skalnym występem. Niebo spychało białe obłoki przed deszczem i rozwieszało nad wyspą jak na pół podsuszoną pościel. Wysoko nad głowami obu mężczyzn, na wschodniej skale, w niewidocznych białych przestworzach nieoznaczonego na żadnej mapie królestwa, gdzieś tam otworzyły się jakieś drzwi albo uniosła się zasłona, gdyż po chwili, wyraźnie i bez odpowiedzi, Sean po raz pierwszy przemówił.

– Pomóż mi wstać – rzekł.

W szkolnej sali wciąż rozbrzmiewała melodia. Im dłużej Muiris wpatrywał się w główki dzieci, tym wyraźniej ją słyszał. Niebawem zaczął ją widzieć – cienkie zwiewne wstęgi muzyki, niebieskie i bladożółte, falujące w powietrzu jak opadające suknie przelotnych duchów. Dzieci nie zwracały na to szczególnej uwagi, ale były, jak zauważył, wyjątkowo grzeczne i pilne. Nawet O'Shea nie sprawiał kłopotów i nie rzucał się na ławce jak delfin na piasku. Tak, to wszystko sprawiała unosząca się w powietrzu muzyka. Z początku chciał spytać dzieci, czy ją słyszą, ale odpowiedni moment minął i nauczyciel odczekał, aż wszystkie zwyczajne buzie zwrócą się do niego i będzie mógł coś dzieciom zadać. Jeżeli słyszały melodię, to uchem wewnętrznym, myślał; ta muzyka mieściła się w paśmie na co dzień niesłyszalnym, niemniej rozbrzmiewała na pewno. Był przekonany nie tylko o tym, że ją słyszy, ale i o tym, że gra jego syn.

Kiedy uczniowie pisali ćwiczenia z irlandzkiej gramatyki, nauczyciel siedział na katedrze, słuchał i patrzył. Barwne festony muzyki przesuwały się w tę i z powrotem przez salę, jasne, delikatne, prawie przezroczyste. W samo południe Muiris wstał, żeby przejść się po klasie i sprawdzić, czy coś się przez to zmieni. Pod drzwiami zawrócił i stwierdził ze zdumieniem, że kolory, które widział, emanowały miękkimi wyrazistymi smugami z obrazu Williama Coughlana wiszącego na ścianie z oknami. W głowie mu się zakręciło, podparł się ręką o ławkę Nuali Ni Cealligh i myślał, że się przewróci. Zamrugał, znów popatrzył i zobaczył to samo. Jakieś drżenie, jakiś ruch, którego nie powinno być. Jak mechanizm jednego zegara, dzieci raptem przestały pisać i znieruchomiały; zwracały do niego twarze, jakby chciały nastawić od nowa świat i puścić go w ruch, ponieważ to, co właśnie zobaczyły, zdumiało je ponad wszelkie pojęcie. Patrzcie, tam! Odwróciły się równocześnie i spojrzały w drugą stronę, a Muiris szedł między ławkami do okna wychodzącego na wschód, oniemiały, chwiejny i oszołomiony. Nagle zabrzęczały wokół głosy dzieci, zrobiło się głośno, choć powinno być cicho, narastający hałas, podniecenie i ogólne zamieszanie zaczęły przebijać się przez muzykę, która potężniała w jego głowie, aż wreszcie dotarł do okna i przyłożył czoło i dłonie do zimnej szyby, żeby czuć coś prawdziwego i twardego, gdy patrzył i widział – tam, o tam – jak jego syn i ten przyjezdny idą do niego przez wyspę.

Zanim Nicholas i Sean doszli do szkoły, dzieci wybiegły im na spotkanie. Nauczyciel zdołał dotrzeć tylko do drzwi, stał tam, czując wiatr na wilgotnej twarzy, i patrzył na dzieci, które biegły naprzód i wesoło pohukując, przeganiały gromadkę osłów, truchtających cierpliwie z tyłu za nadchodzącymi. Dzieci wciąż zerkały na nogi Seana, ale on cały czas wpatrywał się w ojca i nie zbacząc z drogi, przeszedł przez bramę szkoły. Kiedy zostało mu już kilka kroków, zatrzymał się, a potem podbiegł do nauczyciela, który zaczął głośno, spazmatycznie szlochać, dając upust nagromadzonemu przez lata żalowi. Osunął się na ziemię w drgawkach i krzyczał rozdzierająco, aż dzieci stanęły jak wryte. (Wdowa Liathain, słysząc te krzyki, wstała od pieca i od razu poszła włożyć buty).

Tego było za wiele, tego było dla niego za wiele. Udręczony nauczyciel wyciągnął na ślepo rękę i ścisnął palce syna, nareszcie ciepłe.

– Przepraszam – powiedział Muiris, stłamszony jak stara gazeta, z mokrą od łez koszulą.

Nicholas i Sean pomogli mu wstać. Zamieszanie przed szkołą zwróciło uwagę niejednego mieszkańca wyspy i kiedy trzech mężczyzn szli do domu, gdzie czekała Margaret, zbierała się wokół nich rosnąca gromada starych rybaków, wdów i dzieci. Spoglądali to na Nicholasa, to na Seana, wypatrując dowodów cudu, szli po kamieniach, cicho poszeptując między sobą, a z tego rozszeptania wyrwały się co chwila radosne skowoty i piski dzieci uwolnionych ze szkoły. Wdowa Liathain wyszła im na spotkanie i zasysała policzki, jakby ktoś raz po raz ją uderzał. Patrzyła na niemal świąteczny, karnawałowy pochód, wiedziony przez trzech mężczyzn. Muiris szedł, nie tykając stopami ziemi, starannie stawiał każdy krok i przebierał nogami w powietrzu ze skupieniem linoskoczka. Nie wolno mi teraz upaść, powtarzał w duchu, nie wolno mi upaść, nie wolno się obudzić. Muszę dojść do domu. Przytrzymał się Nicholasa, żeby nie unieść się jeszcze wyżej nad powierzchnię wyspy, i nawet nie zamrugał załzawionymi oczami, choć świat zaczął się przed nim rozmywać.

Co to było? Co się stało?. Te pytania bez odpowiedzi trzepotały się jak rozwieszona pościel w umyśle Nicholasa i Seana, kiedy szli, szamocząc się z wiatrem od urwiska do szkoły i teraz do domu. Nicholas był pewien, że niczego nie zrobił; nie dotknął Seana, nie odmówił modlitwy ani nawet specjalnie o nim nie myślał wtedy, gdy ten wstał. To nie miało z nim nic wspólnego, czysty przypadek. Nieprzewidywalny zbieg okoliczności, a przecież wchodząc przez ogrodową furtkę, czuł napierający z tyłu tłum, jego mroczne domysły i osądy, które siadały mu jak ptaki na ramionach.

Z jednym przeciągłym westchnieniem trzech mężczyźni stanęli przed drzwiami chaty i w momencie, kiedy zapukali, Margaret Gore otworzyła je, wyrzucając w górę ramiona, żeby wytrzepać koc, którym syn okrywał się na wózku. Koc wyrwał się z jej rąk, uleciał na zachód i tyle go widziała. Oniemiała, spojrziała na tłum, który wtargnął do jej ogródka.

– Matko – rzekł Sean, gdy rzuciła się mu w nadstawione ramiona z taką siłą, że aż

poczerwieniał. Po chwili odstąpiła na krok, pociągnęła nosem i szybko wepchnęła męża, syna i gościa cło domu, potem obróciła się i zatrzasnęła drzwi plecami, broniąc dostępu innym wyspiarzom, którzy już zbliżali się, , żeby wejść do środka.

Tłum został w ogrodzie; jakby aura cudu mogła opaść na głowy pod postacią pyłu lub języków ognia. Ludzie stali ściśnięci, z nadzieją i wiarą, lecz bez miłości, każdy w duchu tylko sobie życzył odkupienia, wygranego losu na loterii, obfitości ryb, a wrogom, żeby się dom na nich zawalił. Wdowa rozdawała złe wróżby jak czarne mszaliki; nic z tego nie będzie, przepowiadała. To bardzo dziwne, bardzo złe. Co ten obcy mu zrobił? Z upodobaniem siała ponure proroctwa, gdy przybył ojciec Noel w poszukiwaniu gospodyni oraz wytłumaczenia, dlaczego nie dostał przedpołudniowej herbaty.

- Co się dzieje? – spytał.
- Sean Gore zaczął chodzić, Ojczy.
- Dublińczyk przywrócił mu władzę w nogach.
- Tak było, ojczy. Tak było.

Ksiądz uciszył ludzi i machając rękoma, daremnie próbował cofnąć ich do furtki. Był spokojnym człowiekiem i pragnął spokoju, dlatego mocno zaniepokoiło go niespodziewane wydarzenie w parafii. Przestrach kłuł go w dole brzucha, jakby miał tam worek igieł. Tego właśnie się życzy najgorszemu wrogowi – cudów. Niechby biskupowi zdarzył się taki pasztet u siebie, niechby to się stało w Galway, byle nie tutaj. Dlaczego miejscem cudu zawsze są takie ciche wiejskie zakątki? Boże! Ogolone policzki szczypały go na słonym wietrze, te żyłki, które kupił u O’Gormana, były do niczego.

– Wyjdźcie stąd – powiedział do wiernych. – Wyjdźcie stąd i rozejdźcie się do domów. Powinniście teraz iść do domu i... – Nie był pewien, jakich słów użyć; zatrzymały się na szpilkach. – Idźcie. A ja... dowiem się...

Tłum cofnął się poza furtkę, ale nie rozproszył. Ludzie powracali jak fala, gdy ojciec Noel odwrócił się do nich plecami i podszedł po schodkach do drzwi. Cuda! – myślał. Ta rodzina w ogóle była dziwna, wszystkiego można się było po niej spodziewać. Zastukał zdecydowanie, ale wciąż był odwrócony tyłem do parafian, więc nie widział, że coraz mniej są mu posłuszni i podchodzą ławą, żeby lepiej widzieć. Wyobrażał sobie, że jest reprezentantem porządku w tym całym zamieszaniu, że interweniuje, aby przywrócić ład, więc stał wyprostowany i uroczysty przed drzwiami chaty. Nie otworzyły się, więc zastukał ponownie, tym razem głośniej. Z pewnością w domu panował ruch, gwar i podniecenie. Ojciec Noel przesunął brzuch na lewo, żeby złagodzić kłujący niepokój, ale cały czas był odwrócony tyłem do rybaków i dzieci. Cekał, a wiatr bawił się jego spodniami. Od dymu unoszącego się z paleniska w chacie powietrze było szare jak morze i ojciec Noel, wznosząc oczy do nieba, pomyślał, że to jedna z boskich sztuczek. Bóg poddawał go małej próbie. O tak. Oczekaj, zapukaj jeszcze raz. Bądź cierpliwy.

Zapukał więc znowu, starając się, aby zabrzmiało to łagodniej i grzeczniej niż poprzednio. Przepinając z nogi na nogę, obejrzał kostki palców, zerknął na zegarek, poczuł na sobie spojrzenia mieszkańców wyspy i nagle uprzytomnił sobie, że z trudem oddycha. Z odległości



paru kroków ludzie napierali na niego, wyczekując wydawania sądów. Uniósł pięść i uderzył w drzwi. Jeszcze raz. Do diabła! No dalej, otwórzcie. Znów podniósł rękę i walił w drewno, zgrzany, ogłupiały, oszalały ze zniecierpliwienia i złości, wiatr od morza dmuchał mu w plecy, rumieniec policzków rozlał się czerwienią po szerokim karku. Czuł, że drzwi zatrzaśnięto przed nim umyślnie, kopnął je błyszczącym butem, a gdy nic tym nie zyskał i worek igieł wybuchł mu w brzuchu, odwrócił się i chwiejnym krokiem wyszedł z ogrodu przez rozstępujący się tłum.

To Margaret zarygłowała drzwi i kazała trzem mężczyznom siedzieć cicho w kuchni, kiedy ksiądz dobijał się do nich.

Przeżyty wstrząs odebrał jej zdolność normalnego reagowania, wiedziała jednak instynktownie, że to jedna z najważniejszych chwil w jej życiu. Czowała w domu obecność wielkiego ducha i mrugała oczami, w których wciąż wzbierały łzy, gdy patrzyła na Muirisa trzymającego Seana za rękę. Nastawiła wodę na herbatę i zasunęła zasłonę. Starła się nie patrzeć na Nicholasa, ale jego dziwnie blada twarz kłuła ją w oczy jak promień światła, gdy wyjmowała kubki. Kim on był? Co go tutaj sprowadziło? Jakim sposobem sprawił, że Sean odżył?

– Nic mi nie jest. Czuję się świetnie – powiedział Sean, wyczuwając, że zasypuje go grad niezadanych pytań.

– Nawet go nie dotknąłem – rzekł Nicholas, zwracając do matki Seana własne oszołomienie i zdumienie, własną otepiałość. – Nic się nie działo. Mówiłem i nagle... poczuł się dobrze, jakby jednym ruchem ktoś ściągnął z niego koc. Ja nic nie zrobiłem.

– Ależ zrobiłeś – zapewnił nauczyciel. – Bo któż by inny? Nikogo tam nie było. A on przecież...

– Przestańcie! – przerwała ostro Margaret, odrywając – wzrok od ściany, gdzie się zapatrzyła. – Przestańcie. Nie chcę o tym słyszeć. Nie trzeba o tym mówić. To przynosi pecha. Spokojnie. Posiedzmy spokojnie. Dobrze się czujesz, Sean?

– Tak, mamo.

– I nic cię nie boli?

– Nie.

Co ona teraz powie, jak uszereguje wydarzenia i przetłumaczy na język praktyki, jaką przyjmie linię interpretacji, człowiek nigdy nie wie. Margaret runęła przez kuchnię jak fala przyływu i rzuciła się synowi na szyję, ściskając go z żalem i wdzięcznością i uwalniając sól lat, która się w niej nagromadziła.

Tego wieczoru, gdy tłum czuwał wytrwale przed zamkniętym domem i nowenny wlatywały jak świetliki w księżycową noc nad Atlantykiem, Sean zagrał na skrzypcach dla Nicholasa i rodziców. Muiris przyniósł z bawialni whiskey, którą trzymał dla gości, a potem matka z ojcem puścili się w tany, pokraśnili z radości, jak nie zdarzyło im się od lat. Kuchnia się kołysała, podłoga dudniła do taktu i wkrótce cała chata pozegłowała na falach muzyki. Muzyka hipnotyzowała i wyzwalała, posuwiste i skoczne tańce zmieniały powietrze w wirujące włókna, stopy wystukiwały taneczne kroki dokoła podłogi i niosły w podróż do takich miejsc, gdzie myśl już nie sięga.

Nicholas siedział naprzeciw Seana i przyglądał mu się jak zagadce. Nie widział w tym sensu. Nic się nie stało, a przecież tutaj, w chacie, zdawało się, że wydarzył się cud. Łyknął whiskey,

przyjemnie zapiekła go w gardle. Muiris wyrwał się z tanecznego kręgu, wychylił szklaneczkę i wrócił do Margaret, nie gubiąc rytmu. I tak to szło: rodzice tańczyli, Sean grał na skrzypkach, a Nicholas pił i w szybkim tempie zbliżał się do zamroczenia. Nim padł nieprzytomny na stół, wszystko wokół tańczyło, krzesła, wirujące stoliki, podskakujące na ścianach obrazki. Zamknął oczy i otworzył usta, oglądając w myślach jeszcze dziksze wizje, a gdy znów otworzył oczy, stół wyskoczył mu na spotkanie.

Przed północą tłum sprzed chaty przeniósł się do Comana i tylko mieszkająca po sąsiedzku wdowa wypatrywała, czy nie zobaczy skrzydlatych postaci zlatujących się nad dom nauczyciela. Mocno się rozczarowała, gdy zgasły światła i muzyka ucichła. Na wyspie zapanowała rozszepkana, podekscytowana noc i w każdej chacie historia Seana Gore'a nie dawała spać mężowi i żonie, leżącym w łóżku i drętwiejącym na myśl, że kiedy oni bez zastanowienia pchali naprzód codzienny kołowrót zajęć, może właśnie wtedy Bóg przechadzał się po ich wyspie.

Przez dwa dni i dwie noce Sean nie wychodził z domu. Nauczyciel też został w domu i szkołę na ten czas zamknęto. A potem, przed szóstą rano w piątek, rybak Seamus Beg zabrał małą łodzią Seana i Nicholasa do Galway. Wymyślił to Sean; chciał tam być, żeby powitać Isabel, wracającą z podróży poślubnej. Zaplanował niespodziankę z premedytacją i kazał Nicholasowi łąpać Isabel, kiedy zemdleje. Muiris i Margaret przystali na to tylko dlatego, że nie potrafili się nie zgodzić. Wydarzenia płynęły własnym tempem, akcja przyspieszyła, zaczęły się rządy czasowników, a matka i ojciec czuli się wciągnięci i porwani przez ten nurt. Cóż mogli zrobić? Podzielić się z synem, który wyglądał jak dorosły, swoimi obawami, że nie da sobie rady na ładzie? Powiedzieć, że nie mogą obdarzyć całkowitym zaufaniem skromnego, spokojnego przybysza, który – jak wszystko na to wskazywało – sprawił cud? Nie mogli się na to zdobyć, wszystkie argumenty wzięły im w gardle. Poza tym chętnie przyznali, że kiedy Sean i Nicholas wyjadą na kilka dni, oni zajmą się rozpraszaniem nabożnej czci i wiary w przesady, które zagęszczały atmosferę nad wyspą jak zapach kadzidła.

A zatem w piątek rano Margaret obudziła chłopców, kiedy było jeszcze ciemno. Muiris wstał z łóżka, rozczochrany i pognieciony, i przygotował dziesięciofuntowe banknoty dla Seamusa Bega. Usiedli razem, by po raz ostatni posilić się w domu kielbaskami i popić je herbatą. Sean nie posiadał się z radości i wesoło postukiwał nożem i widelcem.

Kiedy trzech mężczyzn mieli wyjść do łodzi, Margaret najpierw zgasiła światło, a dopiero potem otworzyła drzwi. Sięgnęła palcami do święconej wody, ale mała gąbka w kropielnicy wyschła, więc stojąc w drzwiach, na sucho pobłogosławiła ich pochylone głowy. Do domu wtargnął wiatr, morze było niespokojne i rozbryzgiwało się w powietrzu. W półmroku za ogrodzeniem ogrodu coś się poruszyło, zdawać by się mogło, że to budzi się obozowisko odbywających nocne czuwanie, ale to były osiołki. Margaret mocno przytuliła Seana i wsunęła mu do kieszeni płaszcz list dla Isabel. Obróciła się do Nicholasa i poczuła, że wiatr zdmuchuje z jej ust słowa; chciała powiedzieć, że niezależnie od powodów, które go do nich przywiodły, zawsze będzie witany z otwartymi ramionami, że nigdy nie będą w stanie słowem ani uczynkiem odwdzińczyć mu się za to, co zrobił, aby stał się cud, chciała powiedzieć, że jego dobroć otula go jak szal i że nie zmrużyła oka od chwili, gdy ten cud się wydarzył, bo cały czas błagała Boga, niebo i gwiazdy, żeby to, co się stało, już się nie odstało, jeżeli to był błysk światła, oby nie zagaśł, jeżeli to uchyliły się jakieś drzwi, oby znów się nie zatrzęsnęły. Zamrugęła i mężczyźni odeszli.

Przemknęli spiesznie jak szpiedzy do przystani, a tam zastali Seamusa Bega, który pluł i patrzył, jak wieje wiatr. Rybak w wełnianej czapce przeżegnał się, kiedy ich zobaczył.

– Nie utopi mi łodzi?

– Nie utopi. – Nauczyciel podał pieniądze. – Nie po to został uzdrowiony, żeby utonąć. Z nikim nie byłbyś tak bezpieczny.

Rybak, marszcząc się, obserwował pogodę.

– No to wsiadajcie.

– Wróć do nas – rzekł Muiris do Nicholasa, wyciągając rękę, nim rozdzieliła ich woda. –  
Dam ci obraz.

Pasażerowie usiedli na mokrych ławkach i uzmysłowili sobie kruchość tej łupiny, gdy silnik kaszlnął tłusto i zadygotał. Niebo było jeszcze ciemne, grubo pokryte sinymi chmurami, a ląd krył się w mrocznej dali. Nauczyciel uniósł rękę i powoli pokiwał odpływającej łodzi, wyciągając palce, jakby chciał dosięgnąć nieznanych niebios, i zastanawiając się, co będzie dalej.

## **Część VI**

# 1

Niektórych rzeczy nie da się opisać. Mój ojciec o tym wiedział. Chyba wiedział, że słowa czasami spłaszczają najgłębsze uczucia albo przyszpilają je jak swobodne motyle, zatrzymane w cudownym locie – cieniutkie, kruche pamiątki po jedwabiu, który fruwał i barwił powietrze. Lepiej posłużyć się wyobraźnią. Wyobraź sobie muzykę, światło przebijające się przez chmury i spadające na ulicę o poranku, towarzyszący nam zapach wyspy, gdy szliśmy, szukając sklepu. Wyobraź sobie, że na świecie nie ma nic brzydkiego, a my idziemy jako namacalne dowody dokonanego cudu, stopami ledwie tykając ziemi, rozplywając się w uśmiechach, a nad nami śpiewa tysiąc ptaków. Wyobraź sobie bijącą od nas dobroć, która nasycza miejskie powietrze, kierowców zwalniających i otwierających okna, żeby wciągnąć w nozdrza zapach białych świec i świeżo wypranego płótna. Wyobraź sobie, że jedna z trosk świata została uleczona, muzyka wieści tę nowinę, wzbijając się allegrem radości i dzwoniącego śmiechu, gdy otwieraliśmy drzwi.

Tak ujrzałem po raz pierwszy Isabel Gore.

## **Część VII**



# 1

Kiedy po pięciu dniach Nicholas powrócił wraz z Seanem na wyspę, Margaret Gore jednym rzutem oka spostrzegła, że wydarzyło się najgorsze. Nie musiała o nic wypytywać, postawiła przed chłopcami w kuchni herbatę, a kiedy podsuwała Nicholasowi talerz z grzankami, wyczuła rozchodzący się w powietrzu aromat zgniecionych różanych płatków. Już wiedziała – i nie oglądając się na nic, zaczęła planować, jak ukryć tę nowinę przed Muirisem. Mało prawdopodobne, że cokolwiek wykryje, myślała, bo jest mężczyzną, martwiła się jednak o poetę, którego miał w sobie, o tę cząstkę jego duszy ani męską, ani kobiecą, a tak realną jak pachnące powietrze. Gdyby Muiris posiedział dłuższą chwilę z Nicholasem, z pewnością dostrzegłby to co ona – młody człowiek był zakochany.

Sean nie odzywał się przy stole, za to z wielkim apetytem pochłaniał grzanki z masłem i kiwał głową, że słucha matki. Powiedziała mu, że ojciec Noel chce się z nim widzieć. Że odbyła się msza w jego intencji. Że od jego wyjazdu cała wieś o niczym innym nie mówiła; oczywiście, ludzie mieli pretensje, że pozwoliła mu wyjechać.

– Z twojego ojca nie ma żadnego pożytku, nie umie się postawić. Najwyżej ryknie czasem na kogoś, ale wtedy przemawia przez niego alkohol.

Postawiła przed nimi jajecznicę.

– Jedzcie, proszę.

Odsunęła się i patrzyła, jak Nicholas odsuwa kawałeczek jajecznicy na bok, co potwierdziło jej podejrzenia, że chłopak się zakochał i stracił apetyt.

– Może wolałbyś coś innego?

– Ja to zjem. – Sean przechylił talerz i zsunął jajka razem. – Wyhuštało go na morzu i teraz go mdli.

– W takim razie napij się herbaty – powiedziała Margaret, napełniając kubek i spoglądając ze współczuciem na biedaka, zwieszającego głowę nad stołem. Wiedziała, nie musiała o nic pytać. Czula, że wiedziała od początku, gdy przestąpił próg ich domu, jakby już wtedy zaczęła odczytywać znaki, otaczającą go aurę niezwykłości, to coś, co zapowiadało i tragedię, i cud. Ale wówczas tylko częściowo odczytała te znaki. Teraz wszystko było dla niej jasne, Isabel go oczarowała. Kiedy tak siedział ze wzrokiem wbitym w stół, na pewno myślał o jej córce, tęsknił za nią, wszystkimi nerwami i włóknami ciała wspominał jej różany zapach. Bardzo pragnęła go o to spytać, ale nie mogła, więc kręciła się po kuchni, gdy młodzi ludzie jedli, przetarła szmatką kran i zlew, a morze w oddali pieniało się ze śmiechu.

– Więc obaj dobrze się bawiliście?

– Cudownie.

– To dobrze.

– Wspaniale jest chodzić po Galway na własnych nogach – rzekł Sean. – Do tej pory jeździłem tam tylko do lekarzy. Ale teraz było po prostu wspaniale. Mogę jeszcze dostać

jajecznicy, mamó?

Kiedy Margaret dojrzała zbliżającego się do ogrodu Muirisa, strach ścisnął jej gardło; zaraz tu wejdzie, pomyślała, spyta o Isabel i prawda wyjdzie na jaw. Godzinę temu skończył lekcje, a powód przybycia do domu o tej porze mógł być tylko jeden: Muiris zaszedł po drodze do pubu i trochę wypił, splukując zmęczenie szkołą i wprowadzając się w stan ożywienia i podniecenia, a wtedy był gotów na wszystko. Widząc go przez okno, zwróciła się do chłopców.

– Nie mówcie teraz dużo do ojca. Na pewno jest zmęczony.

Muiris otworzył drzwi z rozmachem i znalazł się w domu, nim żona wyszła mu naprzeciw do sieni.

– Nasi panowie w domu?

Zajrzał do kuchni jak czerwony przekrzywiony księżyc, a radość, malująca się na jego obliczu, zapowiadała rychły śmiech. Uścisnął ramię syna.

– No i co powiedziała? Zdumiała się?

– Są zmęczeni po podróży, pozwól im zjeść.

– Omal nie zemdlą. Prawda, Nick?

Muiris parsknął niepohamowanym śmiechem, który wydobywał się z niego wszystkimi porami, a potem usiadł, żeby usłyszeć więcej.

– Omal nie zemdlą?

– Tak. Omal nie padła na podłogę, kiedy mnie zobaczyła. Podbiegła i pocałowała mnie. Powiedziałem jej o naszym gościu i jego też pocałowała. Całe szczęście, że nikogo nie było w sklepie.

– Całe szczęście – powtórzył ojciec, kiwając głową. Wzruszenie wycisnęło mu łzy z oczu.

– Tak w ogóle to do tego sklepu nikt nie zagląda. Ani razu nikogo nie widzieliśmy. Prawda, Nick? Ani jednego klienta.

– Może pouciekali, kiedy was tam zobaczyli – wtrąciła Margaret.

Przeniosła brudne naczynia nad głowami mężczyzn do zlewu i stała tam, przygryzając wargę i czekając, czy jej mąż pochwyti woń beznadziejnej miłości. Wystarczy na niego spojrzeć, pomyślała, zerkając na Nicholasa, podczas gdy jej syn karmił ojca kawałkami opowieści. Wystarczy spojrzeć – siedzi blady, wymizerowany, jakby cała krew i czucie wypłynęły z niego i znalazły się gdzie indziej. Wystarczy spojrzeć na tę pochyloną głowę, przygięcie w dół szyi, drżące wargi, z których nie padały żadne słowa. Tylko woń róż w nozdrzach pozwalała zatrzymać Jej obraz.

– Codziennie?

– Codziennie. Isabel powiedziała, że albo niech sam się zajmie sklepem, albo go zamknie, mało ją to obchodzi, wyjeżdża z nami.

– Zuch dziewczyna.

– Prowadzi jego furgonetkę. Pojechaliśmy do Oughterard.

– Boże.

– Wróciliśmy dopiero... Nieźle sobie użyliśmy, co, Nick?

– A czy była mowa o... Czy przypadkiem Isabel nie myśli nas odwiedzić? Nie wspominała o tym?

Muiris przywołał w pamięci drogi sercu obraz córki i oddał się słodkiemu marzeniu, że cała rodzina znów jest razem – w komplecie, w harmonii i w izolacji od innych, bez presji czasu. Sentymentalna fantazja porwała go – mimowolnego pasażera uczucia – jak wezbrana wiosną rzeka.

– Idźcie już, chłopcy, dajcie ojcu zjeść. Porozmawiacie jeszcze później. No, idźcie już. Doprowadźcie się do porządku. Zabrakło w Galway wody do mycia?

Margaret wypchnęła młodych ludzi z kuchni i postawiła na stole nakrycie dla męża.

– Po co ich o to spytałeś? Przecież dopiero co wyjechała. Przecież dopiero co wyszła za męża, a ty pytasz, kiedy przyjedzie. Robisz z siebie głupca, tyle ci powiem. – Głos miała ostry i łamliwy, jakby milczenie, trzymane dotąd w zamkniętych ustach, było szklanym talerzem, który teraz wypluwała potłuczony. Przyniosła czajnik do parzenia i postawiła przed Muirisem. – Oczywiście poszedłeś do Comana.

– Tak.

– Nie pomyślałeś, żeby przyjść do domu, przywitać się z nimi.

– Wiedziałem, że pierwsza zechcesz ich przeprobać.

– O nic ich nie pytałam. Nie wiesz, że modliłam się tylko o to, żeby nie wrócił na wózku? Od pięciu dni nic innego nie robię, tylko się o to modlę. To ty chciałeś, żeby pojechał zobaczyć się z siostrą. To ty nie mogłeś z tym poczekać.

– Przestańże wreszcie.

– A wiesz dlaczego? Ja wiem. Bo myślałeś, że to ją sprowadzi z powrotem. Wiem, jakie ci się marzą bajki... wiem...

– Co się z tobą dzieje? Na litość boską, Margaret, co ty...

– Nic. – Przygryzła dolną wargę i przytrzymała, tym razem mocniej. Widzisz, pomyślała, ledwie otworzysz buzię, zaraz wszystko byś wygadała. Odwróciła się tyłem do męża i zaczęła zmywać tłustą patelnię, a on pił herbatę i czuł, jak działanie whiskey wyparowuje. Był jak balon, z którego uchodzi powietrze, a kiedy Margaret spojrzała na sine niebo, pożałowała, że była taka ostra. Wyjęła z piecyka szarlotkę, ukroiła szczodry kawałek i polala śmietaną, ale nie za dużo, żeby serce mu nie stanęło.

– Proszę. Jabłka trochę kwaśne.

– Dziękuję. Na pewno jest pyszna.

Kiedy zaczął jeść, napięcie między nimi zelzało, i po chwili powiedział:

– Margaret, nie masz chyba nic przeciw temu, żebym wpadł razem z chłopakami wieczorem do Comana? Ludzie chcieliby zobaczyć Seana, nie możemy trzymać go w ukryciu. Zresztą, ty też mogłabyś przyjść.

– Nie – odparła od razu, puszczając wargę. – Idźcie i bawcie się dobrze. Tylko nie siedź tam

z nimi za długo.

– Oczywiście. – Muiris wstał i wierzchem dłoni otarł z ust okruszki. – To było pyszne ciasto, Margaret Gore – powiedział, przynosząc jej pusty talerzyk. – Jak zwykle.

Nie wiedziała, o której godzinie usłyszała kroki na zwirowanej ścieżce, ale gwiazdy jeszcze jasno świeciły, a morze spało spokojnie. Odczytała chrzest kroków jak Morse'a i poznała, że mężczyźni wracają do domu weseli. Nie spała, ale obróciła się tyłem do drzwi, a kiedy mąż wszedł do sypialni, niosąc w ręku buty, nie odezwał się do niej, bo myślał, że śpi. Usiadł na łóżku, woń whiskey i dymu uniosła się smugą nad Margaret i uleciała do okna. Margaret leżała zupełnie nieruchomo i usiłowała wyczuć w ciągu tych paru chwil, nim Muiris zapadł w głęboki sen, czy domyślił się, co dzieje się z Nicholasem. Ale nic nie wyczuła. Kilka minut później zaszeptała do Muirisa, a gdy nie odpowiedział, wysunęła się z pościeli i popatrzyła na niego przy świetle gwiazd – leżał zwinięty na boku, w spodniach i kamizelce, z ręką przewieszoną przez brzeg łóżka, jakby zbierał sny.

Margaret wyszła z sypialni i stanęła w ciemnej sieni. Zimno ciągnęło od podłogi – nacisnęła ją palcami stóp i zaczęła iść po cichu, powoli, aż stanęła pod drzwiami pokoju gościa. Nie spał jeszcze, tego była pewna. Nawet jeżeli trochę wypił, to kiedy znalazł się sam w pokoju, przypomniał mu się zapach róż. Na pewno nie śpi, myślała. Wstrzymując oddech, żeby nie zdradzić swojej obecności, przybliżyła ucho do drzwi, ale nic nie usłyszała. Nic. A potem szmer pióra sunącego po papierze.

Cofnęła się i odetchnęła. A więc pisał. Jakżeby inaczej. Od razu powinna była się domyślić; wyglądał na takiego, który wyraża silne uczucie bezradnymi słowami. Margaret wiedziała, że tymi słowami nie rozwodni uczuć. Nie, on podsycał żar, pisząc list miłosny.

Przekradła się na palcach z powrotem przez sieni, nabrawszy całkowitej pewności, że Nicholas zakochał się bez nadziei. Kiedy wróciła do sypialni, myślała tylko o tym, co teraz zrobić, w głowie kłębiło jej się od pomysłów. Położyła się ostrożnie, jakby kładła delikatną porcelanę do gniazdka pod kocem. Nie mogła zasnąć. Wiedziała, że Nicholas nie śpi, a teraz pozostawało jej tylko dowiedzieć się, czy nie śpi także Isabel. Wpatrywała się w gwiazdy i wyobrażała sobie, że widzi rozpaczliwą daremność romantycznej miłości, żalostną historię gasnącego blasku księżycy i zachwytu przerażającego się w nieustanne rozczarowanie szarego dnia codziennego; czar pryskał, a uroda, odwaga i obiecująca młodość mamliła krótko, odbijając się szyderczym echem od banalnych gwiazd. Czowała, jak od pokoju w końcu sieni płynie niewypowiedziana tęsknota i smutek. Czowała je tak mocno, jakby płynęły z głębi jej serca, i wcale nie zdziwiły jej łzy na policzkach ani ciężki aromat połamanych łądyg róż. Wiedziała, o czym pisze Nicholas, jakby to ona sunęła piórem po papierze, a im dłużej leżała, tym bardziej była pewna, że on wciąż pisze, wygląda przez okno na ślepe morze i wyobraża sobie twarz Isabel. Przełykała grudy żalu jak fioletowe kwiaty, lecz ani przez chwilę nie dopuściła do siebie myśli, że to może skończyć się szczęśliwie. To mogło sprowadzić tylko rozpacz, więc Margaret Gore

uznała, że musi zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby ją zmniejszyć, kładąc jak najszybciej kres temu uczuciu. Postanowiła bronić się przed zaśnięciem, dopóki Nicholas będzie pisał. Ale tuż przed tym, gdy Cian Blake pierwszy otworzył drzwi na wyspie i spojrzał na morze przed świtaniem, zsunęła się bez niczyjej pomocy w miękki różowy sen i leżała uśmiechnięta w łóżku, a Nicholas tymczasem skończył pisać pierwszy list do Isabel i poszedł wzdłuż brzegu do poczty, aby tam poczekać, aż pani Hurley ją otworzy.

Skok wyrwał Margaret ze snu. Dosłownie. Był zamek, wąskie wysokie okno i ktoś stał na dole. Ten skok ją obudził i obróciła się do Muirisa, w którego nabrzmiałym nieogolonym obliczu całkiem rozmyła się olśniewająca młodzieńcza twarz, nie było po niej śladu, ale Margaret widziała ją we śnie i wstała z łóżka, czując się bardzo nieswojo. Wiatr już się zerwał i łodzie w zatoce stukały i skrzypiały z niezadowoleniem.

Dopiero kiedy wyszła do sieni i zobaczyła otwarte drzwi do pokoju Isabel, serce zaczęło jej szybciej bić. Gdzież on jest? – zastanawiała się. – Łazienka pusta, Sean śpi. A w kuchni? Nie, i tu go nie ma. Pobiegła z powrotem do pokoju Isabel i weszła do środka. Bez chwili wahania rzuciła się gwałtownie szukać listu, ale nie mogła go znaleźć. Wszystko inne było na swoim miejscu, nie wyjechał, nawet pióro i papier leżały na stoliku przy łóżku, czuła lekki, lecz nieustępliwy zapach opadłych jabłek, ale listu nie było. Która to godzina? Gdzie on poszedł?

– Muiris!

Obróciła się w chwili, gdy odpowiedź wystrzeliła jej w mózgu jak działo, w mgnieniu oka wróciła do sypialni i zrzuciła szlafrok, a Muiris właśnie się przeciągał. Uniósł nieco głowę, zobaczył ją naga przy oknie i kładąc głowę znów na poduszkę, wyobraził sobie, że jest w środku płótna Rubensa.

– Muiris, wstawaj, spóźniliśmy się. Obudź się, słyszysz?

Podniosła z podłogi zimny termofor i rzuciła mu na brzuch.

– Jezu! – krzyknął, jakby ktoś go uderzył, ale nadal tulił twarz do poduszki.

– Zrób sobie śniadanie. Muszę wyjść. Słyszysz?

Nie odezwał się i Margaret rozejrzała się po pokoju, szukając czegoś, czym mogłaby w niego rzucić, znalazła buty i na odchodnym cisnęła nimi, celując z grubsza w plecy męża.

Było dwadzieścia osiem minut po dziewiątej. Wiatr wiał jej prosto w twarz, gdy wymknęła się przez furtkę i przecinając brukowaną drogę, pośpieszyła na pocztę. Stado mew kołowało na wietrze jak gazeta, która wymknęła się komuś z rąk. Dym z komina O’Leary’ego skręcał ostro na wschód i wywoływał wrażenie, że niebo osiadło nisko nad wyspą, jakby bogowie opuścili się na dół niewidzialnym zgromadzeniem, ściskali potężnymi udami chmury-poduchy i przyglądali się z wysokości, jak żona nauczyciela śpieszy się, aby powstrzymać wyroki Losu. Jeszcze nie była pewna, co zrobi, wiedziała, że musi tak przechwycić list, żeby Nicholas się nie dowiedział. Tak powinna postąpić matka. To było właściwe i niezbędne działanie; tylko postępując w ten sposób, mogła mieć nadzieję, że powstrzyma tragiczną miłość, która przyniosłaby jedynie ból i rozpacz.

Wiatr odprowadził Margaret do samej poczty, ledwie pozwalając jej oddychać, gdy uderzał ją w twarz zapachem słonych fal i smażonych u Comana jajek. Zadzwoił dzwonek nad drzwiami, kiedy wchodziła do środka, ale nikogo tam nie zastała. Chwilę potem od strony kuchni Aine Hurley, nie widząc klienta, zawołała powolnym poważnym głosem:

– Zaraz przyjdę.

Tej jednej minuty bogowie nie przewidzieli – wystarczyła, żeby Margaret spojrzała ponad małą ladą i zobaczyła na małym stoliku, noszącym ślady odręcznych rachunków i pamiętającym niezliczone uderzenia stemplem pocztowym, pierwszy przyniesiony tego ranka list, zaadresowany do Isabel ni Luing w Galway.

– Coś się wszyscy dziś rano zrywają.

Aine Hurley pokazała się z okruszkami grzanki w kącikach ust. Poruszając miękko szczęką, doszła do kontuaru i najpierw skończyła żuć, a dopiero potem przystąpiła do pracy. Miała sześćdziesiąt dwa lata i pochowała dwóch mężów, co miało świadczyć o jej czerstwym zdrowiu i długowieczności. Obu, jej zdaniem, zabił pośpiech, dlatego też uważała za swój obowiązek – dla równowagi – zachowywać się spokojnie i statecznie, obracając w rękach kilka razy każdą chwilę życia, zanim się z nią rozstanie.

– Co u ciebie słyhać, Margaret? – Popatrzyła nad kontuarem na żonę nauczyciela. – Zawitał tu już do nas twój gość.

– Właśnie w związku z tym przychodzę, Aine.

– Ledwie zeszedłam do kuchni, a on już się dobijał do drzwi.

– Miał list...

– Tak mu było spieszno, widzicie go.

– Dał ci list.

– Nic z tego, powiedziałam. Tu nie wolno się śpieszyć.

– Tak.

Margaret czekała, a morze wzdychało.

– Nadał list, w rzeczy samej.

– Właśnie dlatego przyszedłam, Aine. Napisał do Isabel i miał zostawić otwartą kopertę, żebym dopisała coś od siebie, ale zapomniał. Dlatego mam prośbę, żebyś oddała mi list. Wezmę go do domu i zwrócę na pocztę po południu.

– Zapomniałaś o czymś?

– Tak.

Nastąpiło długie uderzenie serca, przemknęła chwila, jakby czyjaś dłoń kręciła pedałami odwróconego roweru Czasu i minuty płynęły wraz ze swobodnie kręcącym się kołem. Wreszcie Aine Hurley obejrzała się na stół, gdzie leżał list.

– To dlatego, że tak się śpieszy. Wiadomo, dublińczyk powiedziała. – Dwa różne kraje, mówił mój Tom, Dublin i nasze strony. Tylko udają, że są całością.

Machnęła raz listem i kiwnęła głową, po czym oddała go i nie spostrzegła, że niebo nagle się uniosło, wiatr ledwie zauważalnie zmienił kierunek i bogowie odlecieli tam, skąd przybyli, Margaret Gore zaś wyszła z poczty z pierwszym listem miłosnym Nicholasa Coughlana w rękę.

*Droga Isabel,*

*Piszę te słowa, nie wiedząc, czy je przeczytasz. Jestem w Twoim pokoju i nie mogę spać. Nie mogę nic robić. Nigdy jeszcze nie pisałem takiego listu. Nie wiem nawet, czy to w ogóle jest list, ale minęła już północ, a ja nie mogę przestać o Tobie myśleć.*

*Wróciliśmy na wyspę po południu. Twoja matka posadziła nas w kuchni, ale ja nie miałem siły z nią rozmawiać. Wszystko wydaje się takie nierzeczywiste. Czy wydarzyło się naprawdę? Czy doświadczyłaś kiedykolwiek tak silnego, intensywnego uczucia, że w chwilę potem wtapia się ono w twoją skórę, staje się nieodłączne od twojego wężu, smaku, oddechu i nic innego nie istnieje, tylko te chwile, te wspomnienia? Jesteś tu ze mną, w tym pokoju, jesteś ze mną tej nocy. Piszę te słowa, zamykam oczy, siedzę, czekam, a Ty tutaj jesteś. Przeszłość i teraźniejszość równocześnie. Jesteś tu i nie jesteś. Oto stoisz w długim szarym swetrze w sklepie, kiedy my wtłaczamy się przez drzwi, płynie od Ciebie jakaś jasność, Twoje oczy wypełniają się łzami, jakby trafiła Cię ostra strzała. Nie mogę uwierzyć, że piszę o tym wszystkim do Ciebie; to dotknięcie, to pierwsze dotknięcie, które dla Ciebie nic nie znaczyło, Twoja dłoń na moim ramieniu, gdy Sean opowiadał, a Ty oparłaś się o mnie, żeby się nie przewrócić, obróciłaś się i spojrzałaś. Ta chwila wszystko dla mnie zmieniła. Czuję się tak głupio, pisząc do ciebie, tak absurdalnie; czuję się jak słoń kłękający przed różą. Wybacz. Zdobywam się na odwagę pisania tych słów tylko dlatego, że nie mam pewności, czy je wyślę.*

*Kiedy pierwszego dnia zamknęłaś sklep i szliśmy razem ulicą, we troje, śmiałaś się i spoglądałaś na mnie co chwila. Wpadaliśmy na siebie; ten Twój rozkołysany krok, jakbyś brała w posiadanie drogę, i ten zapach, który mnie oplątywał. Czy to stało się wtedy? Nie wiem. Nie wiem, dlaczego dzieje się tak a nie inaczej, nie znam przyczyn. Nieraz wszystko wydaje mi się takie przypadkowe, zagmatwane, a zarazem tak niesłychanie zaplanowane. Czy miliony ludzi żyją obok siebie niezależnie jak linie równoległe, czy są przeznaczani do tego, aby się spotkać? Jesteś obecna w setkach wspomnień, które krążą mi po głowie, a ja leżę tu, w Twoim pokoju, otoczony zewsząd morzem. Jak to się stało? Przyjechałem tu ze względu na ojca, chciałem odszukać ostatnią jego część, jaka pozostała z ruin naszego życia, cień przyczyny, jakieś wyjaśnienie, dlaczego wszystko jest takie, jakie jest. A kończy się na tym, że wchodzę przez drzwi i spotykam Ciebie.*

*Ciebie. Ciebie.*

*Zadziwia mnie, jak w ciągu pięciu dni świat mógł się tak bardzo zmienić. Jesteś piękniejsza niż wszystkie dziewczęta, które znałem. Czy to źle, że o tym piszę? Zamykam oczy i w tym momencie widzę Ciebie przed sobą. Ale przecież to źle. Przecież to beznadziejne, głupie i prowadzi donikąd. Ona przecież dopiero co wyszła za mąż, powtarzam sobie. Jest świeżo upieczoną mężatką i kocha innego. Więc jaki to wszystko ma sens? Gdzie jest ten plan, porządek, dlaczego nie czuję, że słusznie zrobiłem, przyjeżdżając tutaj, gdzie jest dotknięcie nieuchronnego*



*przeznaczenia, które mój ojciec nazywał Bogiem? Przyjechałem dwa tygodnie za późno i patrz, co się stało. Ktoś śmieje się ze mnie. Wiem, że nie uleczyłem Seana, to nie miało ze mną nic wspólnego, a przecież, gdybym nie przyjechał po obraz, gdybym nie spotkał Seana, gdybym, gdybym, gdybym...*

*Widzisz, jak te kawałki dopasowują się do siebie, chociaż pochodzą z różnych układanek. Isabel, Isabel. Trzeciego wieczoru pocałowałaś mnie i wszystkie kawałki zawirowały w powietrzu. Na ulicy, przy przejeżdżających samochodach. Nie w ukryciu. Twoja dłoń na mojej szyi i wtedy... pokonałem o wiele więcej niż odległość dzielącą moją twarz od Twojej. Byłem blisko omdlenia, jakby coś ze mnie uleciało. Ty nic nie powiedziałaś, odsunęłaś się, a potem znów mnie pocałowałaś, Twoje włosy opadały na nasze usta, Twoje palce szukały mojej twarzy, jakbyś chciała się upewnić, że jestem naprawdę. Czulem smak migdałów na końcach Twoich palców i pierwszy raz w życiu ogarnął mnie przemożny apetyt i pragnienie, żeby kogoś pochłonąć, gryźć i jeść i mieć każdą cząstkę Ciebie, zatracić siebie i Ciebie w tej jednej chwili na ulicy, zatrzymać czas i obroty gwiazd, żeby nie było nic prócz tej jednej jedynej chwili. Gdyby życie mogło takie być, dochodziło do takiego momentu i zatrzymywało się w ekstazie. Ale nie. Chłodne powietrze owionęło moją twarz i pocałunek się skończył. Nic nie powiedziałaś. Cofnęłaś się, wzięłaś mnie pod rękę i poszliśmy. Czy to mi się śniło? Czy nic nie mówiliśmy, tylko spacerowaliśmy wokół portu – ja z poczuciem, że tracę rozum, a wielka fala pożądania zalewa wszystko czerwienią? Świat cały składał się z zapachu, smaku, dotyku, obywał się bez słów. Nawet wtedy, gdy owego wieczoru opuszczałaś mnie, żeby wrócić do niego, nic nie powiedziałaś.*

*O czym ci mogę napisać? Piszę te słowa, żeby czuć, jak Twoje oczy je czytają. Żeby przynajmniej w ten sposób czuć, że dotykam Ciebie, że jesteśmy połączeni drżeniem każdej litery, którą kładę na papierze, a ty podnosisz wzrokiem. Ale ja chcę czegoś więcej. Chcę Ciebie zobaczyć. Chcę trzymać Ciebie w ramionach. W czwartek, kiedy spotkałaś nas obu, myślałem, że Sean o wszystkim wie. Wydawało mi się, że mam to wypisane na twarzy, że moje serce zaczyna walić jak młotem i wszyscy je słyszą, gdy przyszłaś rano do gościnnego domu i radośnie oznajmiłaś, że Peader zajmie się sklepem, a my pojedziemy do Connemara. Czy wiesz, że zaparło mi dech, kiedy usiadłaś przy mnie do śniadania i dotknęłaś mojej ręki? Wiedziałaś o tym wtedy? Tyle w tobie życia, tyle nieokielzanej radości, że siedząc obok Ciebie, miałem wrażenie, jakbym brał udział w bajecznym karnawale uczuć, jakbym siedział na wirującej karuzeli i leciał przerażony i zachwycony zarazem, czując, jak pod obrusem Twoje palce wędrują po mojej ręce.*

*Tamtego dnia. Tamtego dnia na drodze do Oughterard. Czy to był ten moment, od kiedy wiedziałem?*

*Naprawdę nie wiem. Nie wiem, co Ty czujesz. Wiem tylko, że z trudem oddycham. Czy już o tym pisałem? Nie wiem nawet, co powiedzieć; kocham Cię, zakochałem się w Tobie bez pamięci. Nie mogę się doczekać, kiedy znów Cię zobaczę. Napisz do mnie, proszę.*

*Błagam.  
Nicholas*

Słowa te odcisnęły się na zawsze na pożółkłych stronicach umysłu Margaret Gore, gdy wrzucała list do pieca. Skarciła się w duchu za łzy, które wciąż napływały jej do oczu, i przygryzała dolną wargę, aż zrobiła się czerwona jak surowe mięso. Niewinność i czystość tej miłości przeszła ją jak włócznia, a kiedy wstała, rozgrzała żelazko i zabrała się za prasowanie koszul Muirisa, włócznia wciąż tkwiła w jej sercu. Nicholas nie wrócił, ale ona wiedziała, że oddalił się gdzieś na ubocze, rozmyśla pośród skał i wzdychaniem wypełnia czas oczekiwania na powrotną, jutrzejszą pocztę. Teraz już mogła nie wystarczyć prośba do Muirisa, żeby go odesłał z wyspy. Miłość zbytnio wybujała; Nicholas pojechałby do Galway, zaczekał na Isabel, a potem... Peader był gwałtowny, Margaret aż bała się o tym myśleć, więc przyciskając żelazko do guzików koszuli, uznała, że muszą go tu zatrzymać, dopóki miłość nie zgaśnie albo nie zostanie zerwana.

Świat nie powinien być taki. Ona zaczynała w innym świecie, inny świat niosła w koszyku, mijając łódzie rybackie w Donegal w tych pierwszych dniach, kiedy poznała poetę Muirisa Gore'a. Tu nie było miejsca na „potem żyli długo i szczęśliwie”; wiedząc, ile smutku wywoła spaleniem listu, Margaret wyobrażała sobie, że ratuje przed smutkiem dobrze jej znanym. Taki był świat, w którym żyła; lepiej na świecie tym, którzy spalą miłość, niż tym, którzy ją przeżyją. Była o tym przekonana, a mimo to włócznia kołysała się dziko, stercząc z jej piersi, i przez cały dzień Margaret była bliska wybuchnięcia histerycznym szlochem. Kiedy Muiris wrócił ze szkoły do domu, zamarała i czekała, czy zauważy w niej jakąś odmianę. Nic nie powiedział, a wtedy wskazała rząd pustych butelek koło zlewu.

– Co to jest? – spytała.

– O co ci chodzi?

– Co to jest?

– Butelki.

– I co się z nimi robi? Gdzie się je odstawia? Trzeba je wynosić do śmietnika, a nie stawiać przy zlewie. Dlaczego zawsze ja mam wynosić po tobie butelki, które zostawiasz koło zlewu? Dlaczego uważasz, że nie mam nic lepszego do roboty, jak chodzić za tobą, zbierać twoje śmieci i wynosić kilka kroków dalej, bo dla ciebie to za daleko? No powiedz, dlaczego.

Na to pytanie Muiris nie potrafił odpowiedzieć, więc tylko udawał, że patrzy przez okno.

– Może chociaż sam zanieśiesz koszule do pokoju – powiedziała Margaret i wymaszerowała z kuchni, uderzając tkwiącą w piersi włócznią o framugę drzwi.

Muiris stał zagubiony i bezradny, usiłując zrozumieć, o co chodzi żonie, a pół tuzina koszul z wprasowanymi w materiał zmarszczkami składało rękawy na gorsie, jakby osłaniając się przed straszliwymi ciosami.

Kiedy Nicholas przyszedł wieczorem na kolację, wszyscy wyczuli sączącą się z niego melancholię morza. Włosy miał zmierzwione bryzą, zwieszał ramiona pod ciężarem wilgoci. Spędził dzień, pogrążony w bezruchu i było to oczywiście jak pogoda, a kiedy usiadł, ruch czyjejs

ręki, sięgającej po sól, zdawał się naruszać jego posepny nastrój. Przygnębienie otulało go jak gruby płaszcz deszczu, a po bladej twarzy Margaret od razu poznała, że szykuje się choroba. Wyglądał, jakby od wczorajszego dnia ubyło mu włosów. Czoło połyskiwało mu w świetle lampy, był bielszy niż papier i Margaret zrozumiała – stojąc tyłem i wycierając nóż po maśle – że przesłał swoje kolory Isabel. Nie mogła znieść widoku jego twarzy i poczuła ulgę, gdy wstał od stołu, podziękował za posiłek i powiedział, że musi się położyć.

Sean i Muiris wybrali się do pubu, ale dopiero wtedy, kiedy nauczyciel urządził pokazową lekcję sprzątanania: pozmywał i wytarł naczynia, złożył ściereczkę, starł stół i zademonstrował Seanowi, jak ważną rzeczą jest zamieść pod stołem, a nie tylko dookoła. Skończył, odstawił szczotkę i rozejrzał się po kuchni, omijając wzrokiem Margaret, która siedziała koło pieca z czasopismem w ręku. Zostawił sprzątniętą kuchnię jako dowód miłości i zadowolony z siebie, zamaszystym gestem sięgnął po marynarę.

Margaret podniosła wzrok dopiero, gdy wyszedł. Rozejrzała się po lśniącej czystości kuchni i głośno westchnęła, bo wygrała kolejną bitwę. Poprawiła się na krześle, ale włócznia jak tkwiła, tak tkwiła, podeszła więc do drzwi, otworzyła je i zaczęła nasłuchiwać odgłosów z pokoju Nicholas. Wywnioskowała, że padł na łóżko. Leżał w straszliwej ciszy wypełnionej wspomnieniami, słysząc tylko wewnętrzny głos, powtarzający wciąż od nowa to, co zapamiętał z wypowiedzi Isabel. Nicholas wsłuchiwał się w mowę pamięci, starając się dokładnie odtworzyć brzmienie głosu ukochanej. Leżał w nieprzewietrzonym pokoju i wciągając powietrze nozdrzami, usiłował przypomnieć sobie aromat róż płynący z jej włosów. Na przemian to otwierał, to zamykał usta, rozpaczliwie szukając na stykających się własnych wargach zapomnianego smaku jej ust. Głaskał się po piersi, czuł ciepło bijące od własnego ciała, w wyobraźni zamieniał swój palec w jej dłoń, wyobrażał sobie, że ona jest przy nim. W ciszy, w drugim końcu domu, Margaret wszystkiego się domyślała, wiedziała, że Nicholas po raz dziesiąty szuka w pokoju śladów zapachu Isabel, że kładzie się na podłodze i tuli twarz do tego miejsca, którego dotykały zapewne jej stopy każdego ranka, gdy wstawała z łóżka, że wygląda przez to samo okno co ona, kładzie się na jej łóżku, że szukając jej śladów, wacha nawet szafę, której trzymała się woń kulek przeciwmolowych, a wszystkie te próby przywołania w pamięci Isabel, te gorączkowe marzenia o niej, wpędzają go – o czym sam nie wiedział – w chorobę.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wąż strachu skoczył do gardła Margaret Gore, która dopiero po chwili zdołała go połknąć i wyjść do sieni. Otworzyła drzwi i poczuła nagle wilgotny, rześki oddech jesieni. Ojciec Noel przepuścił powiew nocy, a potem spytał, czy może wejść. Margaret z lękiem zamknęła za nim drzwi; czuła się tak, jakby zamykała się w jednym pomieszczeniu z Najwyższym Sędzią, a grzech, jaki popełniła, mszcząc list miłosny, palił jej rumieńcem lewą połowę twarzy. Kiedy ksiądz usiadł w kuchni, Margaret ustawiła się do niego prawym profilem.

– Przyszedłem zobaczyć, jak się miewacie – rzekł ksiądz.

– Świetnie, ojciec – odparła Margaret, mając nadzieję, że kłamstwo nie zabarwi drugiego policzka.

– A wasz gość?

– Też dobrze.

– Zostaje na długo?

– Na jakiś czas, ojciec.

– Rozumiem – odrzekł ksiądz, nie dostrzegając ani nie wykrywając niczego. Z pewnością nie dosłyszał mamrotania, które zaczęło nagle rozbrzmiewać w dalszej sypialni i zostało od razu rozpoznane przez Margaret jako imię córki powtarzane w kółko do poduszki.

– Jest zadowolony?

– Tak, ojciec.

– Właściwie jeszcze nie porozmawialiśmy o...

– Może szklaneczkę...

– Co? Nie, nie, dziękuję, Margaret.

Wystawiała połowę twarzy na pokaz, podpierając się jedną ręką o poręcz krzesła i zastanawiając się, czy zacząć pokasływać, żeby zagłuszyć westchnienia i jęki dobiegające z sypialni Isabel. Drzwi kuchni były lekko uchylone.

– Myślałem, że...

– Najlepiej o tym zapomnieć, ojciec.

– No właśnie. Jeżeli obie strony... – Zabrakło mu słów akurat, gdy dochodził do tego, co chciał powiedzieć. – Nie uważa się za... nie zamierza chodzić po domach, kłaść ręce i hm... No tak. – Urwał i milcząc, wymownie spojrział w sufit.

– Nie, ojciec.

– Nie – rzekł stanowczo, jakby zamykał sprawę, i zabębnił palcami w stół. Wstał w momencie, gdy przywoływanie Isabel nasiliło się, przynajmniej w uszach Margaret. – A jak sobie radzi... radzą nowożeńcy?

– Ach – powiedziała Margaret, wyprowadzając księdza z kuchni, i zaczęła ostro, urywanie kaszleć, gdy szedł przez sień. Dopiero gdy znalazł się przed domem, pod omiatanymi przez wiatr gwiazdami, dokończyła: – Świetnie, ojciec. Dziękuję.

– To dobrze – odparł i znikł w nieprzeniknionych ciemnościach.

Przez cały wieczór Nicholas napelniał dom niepokojem swojego stęsknionego ducha. Kręcił się, chodził w tę i z powrotem, kładł się na łóżku, stał w całkowitym bezruchu, mając nadzieję, że choć trochę ulży choremu z miłości sercu. Czasami złażał sobie ostro i udawało mu się wyrwać na kilka minut ze stanu upojenia, odzyskiwał łączność z rzeczywistością – widział dziewczynę zaledwie pięć dni, była mężatką, nic z tego wyjść nie mogło; oddychał nieco lżejszym bólem, a potem znów zapadał w tęsknotę, wspomnienia, dotkliwe pragnienie, które nie były niczym nowym w jego stanie. Około północy Margaret nadal słyszała, jak się kręci, a kiedy przeszła koło jego pokoju, żeby położyć się u siebie, choć i tak nie mogła zasnąć, wydawało jej się, że przez szparę w drzwiach mignęły jej białe ptaki, fruujące w lekkim jak puch powietrzu.

Na drugi dzień Nicholas był chory. Nie przyszedł na śniadanie i Muiris poszedł do jego pokoju, żeby zobaczyć, co się z nim dzieje. Margaret wyłowila z garnuszka dwa ugotowane jajka, położyła na talerzu Seana i wstrzymując oddech, czekała, czy prawda wyjdzie na jaw.

– Nie wstanie z łóżka – oznajmił Muiris po powrocie. – Widocznie wczoraj się przeziębił, kiedy chodził po wyspie.

– Na pewno – przytaknęła z ulgą żona.

– Żołądek mu chyba dokucza. Kiedy wspomniałem o jajkach, odwrócił się tylko i jęknął.

Margaret była zdziwiona, a nawet nieco rozczerowana, że Muiris nie rozpoznał tak nieomylnego znaku. Popijając herbatę, patrzyła na męża ponad stołem i zastanawiała się, jak daleko odszedł od rozumienia natury miłości i rozpoznawania drżącego bicia serca, które rozlegało się w całym domu. Czy był nie tylko ślepy, ale i głuchy? Czy nie czuł zapachu swojej córki, słodkiego aromatu rozartych róż, który snuł się nocą przez wszystkie pokoje, sprowadzony przez natężenie marzeń zakochanego? Jakże on mógł tego nie wiedzieć? Popijała herbatę i przyglądała mu się uważniej niż zwykle. A tu nic, ani śladu, że ma jakiegokolwiek pojęcie o nieszczęściu dziejącym się kilka kroków od niego. Kawał drewna, który zwie się moim mężem, myślała, beznadziejny pijus. To już jej syn wiedział więcej. Sean na pewno się orientował, musiał wiedzieć, co działo się w Galway. Jest współnikiem Isabel, wywnioskowała i podała mu kolejne dwie grzanki.

Nicholas nie wstał z łóżka tego dnia. Ani następnego. Czekał na pocztę i powiedział Margaret, że spodziewa się listu. Czy listonosz będzie wiedział, że ma go przynieść tutaj? – niepokoił się. Może list czekał na niego na poczcie? Czy coś już dzisiaj przyszło?

Nie przyszło. Margaret patrzyła, jak ta odpowiedź układa się w zmarszczki wokół oczu Nicholasa, który padł z powrotem na łóżko i czekał dalej. Był coraz bardziej chory. Doktor Doherty, nowy doktor rejonowy dla wyspy, przyplłynął we wtorek i wciągnął Nicholasa na listę swoich pacjentów, których odwiedzał w domach.

– Gorączkuje – powiedział do Margaret przed drzwiami pokoju.

– Jest chory z tęsknoty – odparła, zdumiona, że jeszcze jeden mężczyzna nie zauważa w pokoju ciężkiego, duszącego aromatu róż, nasilającego się przy otwartym oknie. – Włosy mu wypadają – dodała Margaret, jakby na potwierdzenie swojej diagnozy.

Łysy doktor spojrzał na nią z przekąsem.

– Będę w przyszły wtorek – rzekł. – O ile się nie pogorszy.

Pogorszyło się. Trzy dni później Nicholas nadal leżał w łóżku. List nie przyszedł i Nicholas pograżył się w jeszcze głębszej tęsknocie, gdzie miłość wydawała się niemożliwa do spełnienia, a obraz ukochanej był bardziej rzeczywisty od realnego świata. Isabel była przy nim. On jeden ją widział, leżała przy nim w jego rozgorączkowanej, delirycznej wyobraźni, dotykał jej i czuł jej smak, obejmował ją i nie wypuszczał z uścisku, kiedy w pokoju nikogo nie było. Marzenie

przyplýwało i odpływało, a on – najszcześliwszy z ludzi – chętnie padał jego ofiarą, szeptał do Isabel, żeby wróciła, a tymczasem Margaret odnosiła do kuchni nietkniętą zupeę.

Po pięciu dniach, w przeblýsku przytomności, kiedy wiatr zionął ze wschodu wielkimi zachłystującymi się oddechami i sypał na wyspę zarazki suchego kaszlu, który opanował już prawie całe Galway, Nicholas napisał do Isabel drugi list. Nie czuł się na siłach, żeby donieść go na pocztę, więc powierzył jego nadanie Seanowi.

Ale Sean w ciągu tygodnia od powrotu z lądu tak się rozleniwił, że nie chciało mu się chodzić, i gdy matka zaproponowała, że go wyręczy, chętnie oddał jej list. Tego wieczoru, wypchnąwszy męża i syna z domu do Comana, Margaret usiadła w kuchni przy otwartych drzwiczkach piecyka i zabrała się do czytania listu.

*Droga Isabel,*

*Nie dostałem listu od Ciebie. Nie mogę dłużej czekać, muszę dziś znowu do Ciebie napisać. To jakieś szaleństwo, wiem, nieustający zew krwi. Przepływa przez moje żyły i tętnice, czuję to każdą cząstką ciała, pragnę nawiązać z Tobą kontakt, napisać słowa, które będziesz odczytywała. Kiedy na chwilę zatrzymuję dłoń na kartce, robię to, aby poczuć twój oddech, wstrzymany tuż nad kartką papieru, która jest tu przy mnie. Tu. W tym miejscu, gdzie przez chwilę łączy nas cisza i spokój. Twoja matka chyba myśli, że odchodzę od zmysłów. Widzę, jak na mnie patrzy, jakby spodziewała się, że lada moment wskoczę na stół i zacznę krzyczeć wniebogłosy. Wydaje mi się, że wciąż myśli o Seanie, o tym, co się stało, i szuka dowodu albo czegoś ukrytego, co mogłoby ujawnić inną prawdę.*

*Nic w moim życiu nie przygotowało mnie na to, że będę Ciebie kochał. Nawet nie myślę o tym jak o miłości. Muszę Cię zobaczyć. Ta potrzeba piecze mnie jak ogień pod skórą. Rozumiesz? Wiesz, jak to jest? Piszę te słowa i słyszę głosy, które mówią: Ona już o tobie zapomniała. Jesteś już dla niej niczym więcej jak pyłkiem kurzu, zdmuchniętym w przeszłość. Byłeś tamtego dnia na drodze do Oughterard, ale teraz jesteś niczym, zniknąłeś.*

*Nie wierzę. Nie ma zupełnego przypadku. Wszystko gdzieś do czegoś pasuje. Musi tak być. Gdybyś знаła historię mojego ojca, gdybyś znała, wiedziałabyś, że wszystko ma jakąś przyczynę. Była jakaś przyczyna. Musiała być, był także powód, dla którego jechałaś tamtego dnia drogą do Oughterard. Prowadziłaś samochód środkiem drogi, zygzakiem, i dopiero po trzydziestu milach przyznałaś, że właściwie nie umiesz prowadzić. A potem pozwoliłaś spróbować Seanowi i oglądałaś się z uśmiechem na mnie.*

*Tracę rozum. Jestem. Wciąż tam jestem. Jestem wciąż w samochodzie na skraju drogi, Sean poszedł przez bagniste łąki, a ty śmiejesz się i mnie całujesz. A twój pocałunek jest jak ten słodki ogień. Jak ten słodki ból, którego nie mogę dotrzeć, gdzieś we mnie. Jak to głupio i banalnie brzmi. Boże, nie potrafię tego opisać. Nie mogę zbliżyć się do tego. Och Isabel. Isabel, is a bel. Proszę. Pragnę. Pragnę...*

*Proszę, proszę, proszę napisz do mnie napisz do mnie proszę.*

N.

List trafił do ognia, a choroba Nicholasa nie ustępowała. Zagubił się w otchłani między dwoma światami, nie mógł ani poruszać się po tym świecie, ani całkiem powrócić do tego, który opuścił. Czekał w bolesnej męce na list, który nie nadchodził. Co godzina wymyślał tuzin różnych wytłumaczeń, dlaczego list nie przyszedł, leżał w łóżku i miotał się w pościeli przez całe popołudnie, oddając się słodkim torturom rozterek i wspomnień. Jego umysł ożywiały zwielokrotnione postacie Isabel, a kiedy był sam w pokoju, przyzywał je: oto Isabel o wspaniałych włosach opadających na jedną stronę, gdy schyliła się, aby go pocałować; oto Isabel, która mówi mu, że nigdy kogoś takiego nie spotkała; oto ta, która podnosi jego rękę i całuje go w palce, śmiejąc się, gdy widzi niedowierzanie na jego twarzy; oto ta, która przytula jego głowę do swoich piersi w domku gościnnym, w przeddzień ich powrotu na wyspę, jej dłoń głaszcze go po włosach, a gdy uniósł twarz, jej palec przyciska mu usta, żeby nic nie mówił, gdy ona powiedziała, że nie zasługuje na prawdziwą miłość. Wszystkie te chwile przepływały przez umysł Nicholasa jak najśłodsze fantazje, ale teraz rozbiły się jak okręty o skały i ich wraki tułają się po przyprawiających o mdłości odmętach odrzucenia. Nie napisała i teraz jego żołądek burzył się, a twarz bladła jak kreda. Usilnie próbował przełknąć szare gule rozczarowania i rozpacz, ale cokolwiek zjadł, to zwracał. Wędrówki przez dom do łazienki stały się codziennym rytuałem; nasilenie uczuć odmierzał każdego dnia odstęp czasu między przyjęciem posiłku a jego odrzuceniem. Jeżeli wizja ukochanej była dostatecznie wyraźna, utrzymywał jedzenie przez dwie godziny, lecz gdy rozbrzmiewał mu w uszach głos rozsądku, kładąc do głowy mądre słowa i perswadując, że miłość taka nie jest, że ta kobieta nie dba o niego, a poza tym nic nie mogło z tego wyjść, wówczas posiłek utrzymywał się w żołądku najwyżej przez pięć minut. Po każdym ataku mdłości Nicholas, dziwnie wyciszony, wracał do łóżka z błogim uśmiechem, jakby bunt wnętrza był ważnym testamentem, bukietem, jaki ofiarowywał ciszy.

Chociaż cała wieś na wyspie zaczęła podejrzewać, że coś jest nie tak, a zapach różanych łodyg wyraźnie unosił się nad wymiocinami, Margaret Gore usilnie starała się wszystko zatuszować i przez cały dzień paliła w łazience święcone świece z pszczelego wosku. Powiedziała mężowi, że to gorączka umysłowa, którą już raz widziała, i że na pewno przejdzie za jakiś tydzień. Kiedy Muiris zaproponował, żeby przewieźć Nicholasa do szpitala rejonowego w Galway, popatrzyła na niego, jakby miał siedem par oczu, i nie wiedziała, w które ma patrzeć. Nie, nie, po co. Wyzdrowieje, zapewniła i otworzyła szeroko usta, chcąc wypuścić balon winy, który uciskał ją pod zębami.

Po wyzdrowieniu Sean stał się wioskową osobliwością, ale dość szybko znużyło go odpowiadanie na zapytania o samopoczucie, więc spędzał całe dnie, leniuchując w domu albo wybierając się na długie spacerunki na drugi kraniec wyspy. Jeszcze o tym nie wiedział, ale dojrzywała w nim decyzja, żeby opuścić wyspę i wyjechać do Anglii, podążając za przeznaczeniem, które było niejasne i pełne ryzyka jak lot much, nie wiedział, że będzie musiał



zmierzyć się z trudnym powołaniem – po części wymarzonem, po części dosłyszonym – na księdza. Na razie, nieświadom piętrzących się przed nim niebezpieczeństw, chodził w grubym płaszczu zadumy nawet wtedy, gdy błękitne powietrze połyskiwało wysokim lotem mew. Na razie zarzucił muzykę i kiedy szedł do pokoju chorego, nie przynosił Nicholasowi ani pocieszenia, ani rozrywki.

Dni snuły się jak wełniana przędza, ani za luźna, ani za gęsta. Nic się nie działo; nastaly dni oczekiwania na podjęcie wątku. Nicholas wciąż chorował, niepomny na cały świat, a Margaret robiła wszystko, żeby jego stan nie rzucał się w oczy. Gdy z sypialni dobiegał wysoki sopranowy śpiew i płynął przez dom, podkreślała głośniejsze radio i zagłuszała miłosne szaleństwo dziennikiem o pierwszej.

Kiedy Nicholas w nocy wołał imię Isabel i mógł obudzić domowników, to ona wymykała się z pokoju i otwierała drzwi, żeby go uciszyć, gdy stał nagi, trzymał nabrzmiały członek pod niepełnym księżycem i z zamkniętymi oczami całował miękkie piersi zwielokrotnionej Isabel, unoszącej się w powietrzu.

Nie było innej rady, jak to przetrzymać i przeczekać. Margaret Gore wiedziała, czym jest miłość. Wiedziała, że wrogiem miłości jest czas, że marzenia dostają zmarszczek szybciej niż skóra, a gdy nic się nie dzieje, gdy nie nadchodzi list, nie ma pieszczoty, pożądanie przepada z kretelem. Wiedziała, że jest taka pora, kiedy brak pocałunku jest silniejszym napojem miłosnym niż prawdziwe pocałunki. Ale potem nastaje pora, gdy brak pocałunku rodzi czczość i ponurość, która się rozrasta, aż wypełni całkowicie miliony mil duszy. Pustka wypełniająca po brzegi. Margaret Gore codziennie czekała i wypatrywała, kiedy ta pustka zacznie wypełniać Nicholasa Coughlana. Kiedy posadziła go na fotelu w kuchni i zmieniała mu pościel, wyczuła w niej, jak jej się zdawało, nikły aromat jagód jałowca, a był to zapach pojawiający się zawsze po śmierci ukochanej osoby. (W chacie po drugiej stronie drogi wdowa Liathain omal nie spadła z krzesła, gdy też poczuła ten aromat. Podeszła do okna i wystawiła na wiatr wysuszoną jak śliwka twarz. Wywąchawszy, że zapach płynie z domu nauczyciela, natychmiast rozpuściła pogłoskę o rychłym zgonie gościa i zaczęła szykować się na pogrzeb).

Cztery dni po drugim liście Nicholas napisał trzeci. Zrobił to za dnia, po południu, wcale się nie kryjąc. Skończył mu się papier, więc poprosił Margaret o kartkę i kopertę.

– Chcę napisać do Isabel – wyjaśnił.

Margaret na chwilę odjęła mowę. Bała się spojrzeć mu w oczy.

– To bardzo miło – powiedziała do zasłonki, z zainteresowaniem przyglądając się podwiniętemu brzegowi, i czekając, aż odzyska zwykły wyraz twarzy, aby z niczym się nie zdradzić. – Zaraz przyniosę papier. – Urwała i odważyła się spojrzeć na Nicholasa. Ogarnęła spojrzeniem bezradną, bladą, wysoką postać, wysokie czoło, jarzące się oczy, zsiniałe usta, które za często przygryzał i pocierał wierzchem dłoni. – Ja też mam list do wysłania. Mogę nadać oba – powiedziała i wyszła z pokoju, zdumiona, jak łatwo jej przyszło nagiąć bieg wydarzeń. Doprawdy, jakby działało jakieś błogosławieństwo. To ją zachęciło, przyjęła to bowiem jako

dowód, że postępowała słusznie, nie zrobiła nic złego. W końcu ile on mógł napisać listów, nie otrzymując odpowiedzi? Chyba już się prawie wypalił?

Przyniosła mu papier i usiadła w kuchni, nasłuchując wiele mówiących odgłosów pisania listu miłosnego, jęków zawodu i westchnień, ledwie przebijającego się przez wrzask mew zawodzenia skrzypiec. Lecz tym razem nie było nic słychać. Pisał tak cicho. W wyciszonym pokoju głośno zadzwieczał zegar, karząc nadejście godziny czwartej wyjątkowo gwałtownym biciem.

Może usnął? Może nadszedł ten moment, gdy pożądanie zsunęło się z niego jak za ciepły koc i wreszcie był wolny? Margaret wstała i wyszła po kamiennych płytach z kuchni. Przyzwyczaiła się do najrozmaitszych wybryków Nicholasa i była przygotowana na wszystko: może czołgał się po podłodze, szukając starych ścinków z paznokci u nóg Isabel – to by wcale jej nie zdziwiło. Może leżał nagi na łóżku i przyciskał kartkę papieru do przyrodzenia, a aromat róż doprowadzał do szaleństwa ekstazy jego obłąkany mózg. Cokolwiek by to było, nie byłaby wstrząśnięta. Kiedy jednak przybliżyła brązowe oko do szpary w drzwiach, nachyliła się i zajrzała do środka, widok, jaki ujrzała, wstrzymał bicie jej serca.

Nicholas siedział na brzegu łóżka odziany w biel tak świetlistą, że Margaret nie była pewna, czy to ubranie czy jego własna skóra. Wyglądał jak światło, nie człowiek, tak mocno płonął w nim żar pożądania. Powietrze w pokoju było jak biała satyna, jakby wyprzedło się z siebie i wisiało luźnymi fałdami spod sufitu, powiewając lekko, trącane przez setki gołębic, które trzepotały skrzydłami i wprawiały powietrze w drzenie jak najdelikatniejsze koronkowe wachlarze. Nicholas świecił, ale obok był ktoś, kto wyglądał jak nieco wyższy sobowtór. W pierwszej chwili Margaret myślała, że to jakaś sztuczka z lustrami albo może widzi podwójnie po tym syropie od kaszlu, który Muiris kazał jej rano zażyć. Przyłożyła drugie oko, ale obraz pozostał taki sam; byli tam dwaj mężczyźni, skapani w bajecznej bieli, jeden siedział na krześle, drugi na łóżku, ale żaden nic nie mówił. Wpatrywali się przed siebie. Kiedy przycisnęła twarz do szpary i starała się przebić wzrokiem jasność, dojrzała, że ten drugi mężczyzna jest starszy i się uśmiecha.

Ale nic nie mówi. Kiedy wreszcie wstał i podszedł do Nicholasa, biel wypełniająca pokój jeszcze bardziej się rozjaśniła. Margaret poczuła ciepło bijące od podłogi, zupełnie jakby światło było płynne i wsączało się w jej ciało. Kiedy doszło do głowy, poczuła, że jej stopy odrywają się od podłogi, zobaczyła białe ptaki wylatujące z własnych ust i wtedy zemdląca.

Złapało ją coś podobnego do przypadłości Nicholasa. Tak uznał Muiris i położył żonę do łóżka, z którego nie wstawała cały dzień, wyczerpana wizją, jaką ujrzała. Nie odważyła się spytać męża, czy spostrzegł coś dziwnego w Nicholasiu, i przez resztę dnia leżała w śmiertelnym strachu, co dzieje się w pokoju Isabel. Puściła wodze wyobraźni i pozostając przez wiele godzin w łóżku, poznała całą galerię duchów i zjaw, aniołów i diabłów. Kiedy o ósmej zapukał do jej drzwi Nicholas, który przyszedł spytać, jak się czuje, Margaret nie dostrzegła w nim żadnej zmiany, prócz alarmującego zniknięcia włosów. Zapewnił ją, że jest mu lepiej. Czuł się lżejszy i pierwszy raz od przyjazdu z Galway widział jasno i wyraźnie. Był osłabiony, to oczywiste, ale za parę dni, rzekł, stanie na nogi.

– Napisałem ten list – powiedział.

– List?

– Do Isabel.

– Ach tak.

– Czy mam poprosić Seana, żeby go nadał, skoro pani jest chora? Mogłaby pani dać swój list, to naszykuję mu oba.

O nie. Nie, nie, nie. Margaret podparła się wyżej na poduszce, demonstrując powrót sił. Zapewniła, że do jutra wyzdrowieje. Przedawkowała syrop na kaszel, to wszystko. Przeprosiła go, że napędziła mu strachu, mdlejąc pod jego drzwiami. Nie, nie, weźmie ten list. Nada jutro oba listy do Isabel.

Nicholas Coughlan oddał jej więc swój trzeci list miłosny do Isabel; po raz trzeci Margaret Gore wrzuciła go do ognia, kiedy mąż i syn wyszli wieczorem z domu.

Tym razem było inaczej. Kosztowało ją to więcej wysiłku. Gdy leżała w łóżku, trzymając kopertę, przebiegł ją zimny dreszcz. Poczula gęsią skórę na łydkach i potarła o siebie stopy. W jej umyśle rozgorzał nowy spór: jej córka była zdolna do wszystkiego; wyszła za głupca, który wcale nie nadawał się na męża dla niej, a teraz jeszcze ten człowiek, płonący jak wielka świeca, traci dla niej wszystkie włosy. Wyszła za mąż za niewłaściwego człowieka, ale skoro to zrobiła, klamka zapadła. Nie ma odwrotu, nie można cofnąć czasu i choć Margaret wyobrażała sobie, że jej córkę czeka u boku Peadera monotonia i rozczarowanie, sądziła z pełnym przekonaniem, że nie może postąpić inaczej. Przecież miała rację. Te listy mogły przynieść tylko nieszczęście. Cóż mogło z nich wynikać?

Przytknęła kopertę do dolnej wargi, czekając, aż pojawi się jakiś argument, potwierdzający jej rozumowanie. Kiedy tak się stało, uszczęśliwiona, że postępuje właściwie, włożyła list do kieszeni szlafroka i zaniósła do kuchni, zatrzymując się w sieni na chwilę, gdyż wydawało jej się, że z pokoju Isabel dobiega skrzypienie pióra na papierze.

Uchyliła drzwiczki kuchenki, gdzie na metalowej kracie płonął pomarańczowym ogniem torf, i gdy rzęśisty deszcz bębnił o blaszany dach kuchni, otworzyła kopertę. W pierwszej chwili

myślała, że się pomyliła, strona była czysta. Ale nie, u dołu białej kartki cała treść trzeciego listu zawierała się w jednym słowie:

Kocham.

I nic więcej. Ani jej imienia, ani jego imienia. Najmniejszej skazy czy plamki atramentu na całej stronie. Margaret pomyślała, że może coś w tym liście jest ukryte, jakaś tajna wiadomość, dająca się odczytać w świetle albo przed lustrem, że jest coś ponadto. Ale jeśli było, nie mogła tego znaleźć. Tylko jedno słowo. Tylko „Kocham” i nic więcej.

Usiadła z listem na kolanach, oparła głowę o fotel i, zaskoczona, poczuła łzy spływające po skroniach do uszu. Jakie to żałosne, wysłać coś takiego, stroniczkę z jednym słowem. Beznadziejna tęsknota tchnęła z tej kartki i napełniała usta Margaret smakiem kwaśnym jak cytryna, aż wszystko zaczęło ją piec, jakby ukłuto wszystkie rany świata i nie było na nie balsamu. To jedno słowo na kartce papieru, rozpaczliwy, niesłyszalny krzyk, zarazem stwierdzenie i pytanie, oznajmienie faktu i aspiracji, teraźniejszość i przyszłość stopione w jednej nucie, kilka liter składających się na deklarację miłości. Tego było dla niej za wiele; co on sobie myślał? Przestanie używać ludzkiej mowy, pogrzeży się w ponurym milczeniu, w bezsłownych przestworzach, które zżerają miłość i pozostawiają puste tęskne echo odbijające się od gwiazd? Margaret odsunęła list od siebie i spojrzała w ogień. Boże, myślała, co robić?

Nie oczekując odpowiedzi, mrugając załzawionymi oczyma, uniosła stronę ze słowem „Kocham” i rzuciła w ogień.

Wszystko, zapewniał Muiris, wróci niebawem do normy. Minęły dwa dni i Margaret Gore stanęła na nogi. Nicholasa opuściła gorączka i pierwszy raz wybrał się na spacer po wyspie. Sean poszedł razem z nim, a Margaret patrzyła zza firanki w oknie od frontu, jak spokojnym krokiem idą na brzeg morza i spotykają wychodzące im naprzeciw stado osiołków.

– Wygląda, jakby czuł się dobrze – rzekł Muiris. Była sobota i oddawał się największej przyjemności na świecie, siedzeniu w fotelu. – Przynajmniej nie jest już chory z tęsknoty – dodał.

– Co?

– Nie powiesz, że nie wiedziałas.

– O czym?

– O tym, o czym mówię. Oczywiście, że wiesz.

– Nie.

– Więc nie jesteś moją żoną. Moja żona wie.

– A ty skąd wiesz?

– Musisz pytać? Czy to nie rzuca się w oczy? Nie poznałaś się na tym, ledwie od niej wrócił i zsiadł z promu? – Urwał i świadomie rozkoszował się wygodą fotela: jak to jest, że jeden fotel robi się taki wygodny? – Na pewno się poznałaś.

– Dlaczego nic nie mówiłaś?

– A niby o czym? Nie mieliśmy tu nic do roboty. Wszystko było w rękach bogów. Nie możesz tak myśleć, niech będą tacy, jacy są, musisz im na to pozwolić.

– Głupi jesteś, wiesz? – Głos Margaret załamał się i rozpadł na szklane okruchy, a kiedy spojrzała na Muirisa, ujrzał w jej oczach ból, który jej zadał. – Bogowie! Tak myślisz? Naprawdę tak myślisz? – Strzeliła w niego tym pytaniem i wyszła, nim zaczął wyjmować z twarzy ostre odłamki.

No cóż, pomyślał, zabolalo ją bardziej, niż się spodziewałem. Zagłębił się w fotelu, nakrył powiekami rozmarzone oczy i zaczął rozmyślać, ile to już lat minęło i w kim jego żona kiedyś potajemnie się kochała.

Miłość nie przemija, miłość tylko zmienia kształt. Przybiera inną postać, gdy napotyka przeszkodę nie do usunięcia. Przeszkodą, którą napotkał Nicholas, było milczenie Isabel, brak jakiegokolwiek odpowiedzi, najdrobniejszego znaku, że choć przez chwilę o nim myśli, nie mówiąc już o odwzajemnieniu uczuć. To już nie był kamień na środku drogi, tylko cała góra; to była przytłaczająca, wdzierająca się do uszu podpowiedź, że powinien natychmiast przestać myśleć o widzeniu się z Isabel, powinien opuścić wyspę i odjechać na drugi koniec kraju w nadziei, że odległość oszuka pamięć, a upływ czasu zgasi pożądanie. Ta nicość, w której budził się co rano, ten brak wieści, to zdecydowane, ciągle odrzucanie, które go spotykało, gdy otwierał oczy w jej sypialni i instynktownie wiedział, że listu nie ma – zwyciężyłyby inne uczucie. Ale nie tę miłość.

Była zbyt ślepa, żeby się poddać.

Trzy tygodnie po powrocie na wyspę i tydzień po napisaniu trzeciego listu Nicholas Coughlan zaczął pisać o swoim ojcu. Miało to być wyjaśnienie, podpowiedziane przez ojca. Usiadł przy stoliku, który wniósł do sypialni, a gdy przetarł ręką czoło, poczuł pod dłonią połyskliwą czaszkę starego Williama. Z początku Margaret myślała, że zabrał się do pisania kolejnego listu, ale po upływie tygodnia, kiedy czujne obserwowanie, czy ktoś nie idzie na pocztę, nie przyniosło rezultatu, zrozumiała, że chodzi o coś innego. Nie ośmieliła się podejść do drzwi i zajrzeć do środka z obawy, że jej oczom ukaże się jakiś dziwny widok, pocieszała się więc myślą, że miłość zamiera. Nie rozmawiała więcej z Muirisem o chorowaniu z tęsknoty, ponieważ bała się, że może go coś olśnić, przejrzy ją na wylot i dowie się, że spaliła listy. Wstrzymywała się z podjęciem nowych działań i oddalała od siebie lęk, że plamy, które pojawiły się na jej dłoniach, to wychodzące na jaw grzechy.

Po kilku nieprzerwanie ciepłych dniach na wyspie zaroilo się od much. Wylatywały spomiędzy skał i frunęły jak brudna gaza przez letnie powietrze. Było ich pełno na łodziach rybackich w zatoce i mieszkańcy wyspy zaczęli nosić w rękę czapki i chustki, którymi oganiali się od natrętnych owadów, modląc się o wiatr, który by je przegonił. Ale morze uspokoiło się, słońce prażyło, więc muchy haftowały niebieskie tło nieba, wlatywały niekończącymi się chmurami przez okna i drzwi do wszystkich chat prócz domu nauczyciela.

Zauważyła to, oczywiście, Margaret. Usłyszała w sklepie i na poczcie, jak ludzie mówią o muchach, widziała je wszędzie i machała zeszytem jakiegoś ucznia, żeby się od nich opędzić. Kiedy jednak weszła przez furtkę do ogrodu, a potem do domu, muchy nie wleciały za nią. Ona jedna nie musiała zamykać okien, ale zrobiła to w nadziei, że nikt inny nie zauważy, jak czysta miłość odstrasza muchy. Może to zapach umierającej miłości tak na nie działa, próbowała sobie tłumaczyć. Może to stukanie starej maszyny do pisania, którą Muiris przyniósł dla Nicholas. Stukanie dobiegało przez cały dzień z sypialni na tyłach domu, choć słońce tak pięknie świeciło. Powodów mogło być wiele, lecz w głębi ducha Margaret знаła ten prawdziwy.

Tego wieczoru, gdy spostrzegła nieobecność plagi much, Margaret powiedziała Muirisowi, że Nicholas powinien wyjechać. Nie bała się już, że kiedy puści go z wyspy, Nicholas pojedzie prosto do Isabel. Uczucie wygasało, uznała. Tęsknota przemijała, jak to bywa z najsilniejszymi namiętnościami mężczyzn, i Margaret pocieszała się ponurą rzeczywistością, jakby wymacała kamienie w butach. Trzymanie Nicholasu dłużej mogło przynieść pecha.

– Daj mu obraz i niech wraca do Dublina – powiedziała do męża nagle szeptem, gdy usiadł na łóżku i ściągał skarpetki.

– Dlaczego tak raptem o tym mówisz? – spytał. – Nie mógłby zostać tak długo, jak zechce?

– Powinien odjechać. Co on ma tu do roboty? Nic go tu nie trzyma. Powiedz mu o tym rano.

Muiris wyczuł w jej głosie ołowiane kule, które trafiły go w kark. Zamknął oczy.

– Słyszysz mnie, Muiris?

Położył się na wierzchu pościeli, nie odpowiadając, i złożył ręce na piersi jak do modlitwy. Kiedy znów rozległ się szept, zaczął się zastanawiać, czy pora się postawić, czy grzęznąć dalej w zdradliwym małżeńskim bagnie.

– Muiris?

Udał, że śpi, choć targała go za ramię, i wycofał się do oazy osobnego, prywatnego spokoju łoża. Leżeli w wilgotnych ciemnościach, nie nękani przez muchy, i oboje udawali teraz, że śpią, a maszyna wciąż stukała i stłumiony klekot rozchodził się po wyspie.

Rano Muiris wyszedł do szkoły, nim żona zdążyła go zagadnąć w wiadomej sprawie. Pobiegł rozkołysanym krokiem i do utraty tchu tłukł miliony much, które weszły mu w drogę. Zostawił za sobą swoje dziwne życie i wydawał westchnienia ulgi, że może schronić się w szkole i świecie, gdzie wszystko ma sens.

Margaret uznała, że to mąż powinien powiedzieć Nicholasowi, żeby wyjechał. Mógł to zrobić wieczorem; tak postanowiła i ogarnęła ją słodycz, jaka wypełnia pokój pełen tulipanów. Starła się tego dnia być jak najmilsza dla gościa. Przed południem przyniosła mu na tacy herbatę i bułeczki z masłem. Chociaż ledwie ją spostrzegł i na moment tylko przerwał pracę, nie dopuściła, żeby to lekceważenie zepsuło jej humor, nie zamartwiała się też wzdychaniem kartek porozrzucanych wokół stołu. Przecież on niedługo stąd wyjedzie, a ona dobrze wywiązała się ze swego zadania. Dopiero po południu, kiedy zaniósł mu pieczonego kurczaka, ziemniaki, kończącą się marchewkę z własnego ogródka i pasternak, kiedy przestała czytać magazyn i poczuła jak dłoń na ramieniu nagłą ciszę, która wypełniła dom, gdy ucichła maszyna do pisania – dopiero wtedy usłyszała dzwonek na alarm. Nasłuchiwała tyle czasu, ile trzeba było, aby wkręcić nową kartkę, ale czas płynął, a maszyna nie stukała. Przestał pisać; wszystko się zatrzymało; zupełnie jakby wyspa wsunęła się przez szczelinę Czasu, nawet mucha nie zabręczała ani fala nie uderzyła o brzeg, gdy Margaret przycupnęła w końcu chaty i wstrzymywała oddech, ogarnięta nagłym przeczuciem, a Nicholas Coughlan zbierał wszystkie kartki ostatniego listu do Isabel.

Kiedy stanął w drzwiach kuchni, serce Margaret omal nie przestało bić. Trzymał w ręku plik

papierów, a z różanych rumieńców na policzkach odgadła, że wciąż myśli o Isabel. Zrobiło się gorzej niż przedtem; to już nie było szaleństwo ani zakochanie, to nie były marzenia i fantazje, rozkopane łóżko pożądania i odbierająca sen tęsknota za pieśczęcią. To było działanie stanowcze i przemyślane i Margaret przelykała z trudem ślinę, żeby uporać się ze świadomością, że Nicholas wygląda jak święty. Powiedział, że idzie na pocztę. Czy chciała coś dołączyć do jego listu?

- Ja pójdę – usłyszała własny głos.
- Nie, chcę zaczerpnąć świeżego powietrza.
- Ale te muchy...
- Czyżby przeszkadzały?

Chciała wstać, ale siedział jej na kolanach wysoki biały mężczyzna. Pachniał tak słodko eukaliptusem, że przez chwilę zapomniała o całym świecie i wdychała z zachwytem niebiański aromat. Siedział na niej, wysuwając długie nogi przed siebie, i choć przygwaźdżał ją do miejsca, ważył tyle co nic. Margaret spróbowała unieść ręce, spoczywające na poręczach, ale nie mogła nimi poruszyć, ledwie drgnęła. Otworzyła usta, chcąc powiedzieć Nicholasowi, żeby nie wysyłał niczego Isabel, wyznać, że wie o jego namiętności i że może ona zburzyć komuś życie i sprowadzić rozpacz, ale do jej otwartych ust wleciał tuzin białych ptaków i nie mogła wydobyć ani słowa. Nie mogła ani wstać, ani mówić, więc siedziała w swojej kuchni i patrzyła na wysokiego łysawego młodzieńca, promieniejącego światłem.

Dopiero kiedy Nicholas zamknął za sobą drzwi i ruszył dróżką przez ogród, starzec także znikł i Margaret nagle odzyskała swobodę, mogła wstać i wyrzeć za nimi. Odsunęła zasłonkę w oknie i przekonała się naocznie o zмовie natury ze światem ponadnaturalnym – wyspa była wolna od plagi much.



Nicholas zaniósł wielostronicowy list na pocztę. Kupił kopertę przy jednym okienku, a potem podszedł do kontuaru, przy którym obsługiwała niespieszna Aine Hurley. Czekał cierpliwie, aż zechce do niego przyjść.

– To będzie dużo kosztowało – orzekła, biorąc pakiet i odczytując adres bez dalszego komentarza. Zważyła najdłuższy z czterech listów miłosnych i powiedziała do Nicholas Coughlana, że musi zapłacić cztery funty za dostarczenie go do Galway.

– Kiedy dojdzie? – spytał.

Przyjęła to pytanie jak osąd swojej pracy, krytykę swoich starań, i ściągnęła usta.

– We wtorek – odparła, po czym dodała z najłżejszym ładunkiem ironii ze swego arsenału: – Jak Bóg da.

– Ale jest dopiero piątek – zaproponował Nicholas.

– Doprawdy? Dziękuję za informację – odrzekła pani Hurley, najeżając drobny wąsik nad wargą.

– Nie mógłby dojść jutro?

Spojrzała na niego jak na najnowszy okaz Marsjanina, przybyły na wyspę, i potrząsnęła głową.

– Nie.

– Przecież jest dopiero...

– Nie.

Zadzwoił dzwonek nad drzwiami, Nicholas odwrócił się i zobaczył Margaret Gore. To był ułamek sekundy, najmniejsza drobina czasu, gdy nie przepływa ani jedna myśl, a fabuła życia skacze w pustkę; a może podpowiedział coś niewidoczny wysoki człowiek stojący obok Nicholas, może to on pchnął rękę syna, bo w mgnieniu oka Nicholas sięgnął do kontuaru i przyciągnął do siebie ostemplowaną i opłaconą przesyłkę do Isabel. Wziął ją, przygarnął do piersi, obrócił się i wyszedł.

Sam nie był pewien, dlaczego to zrobił. Nie miał poczucia zagrożenia, ale pobudzało go ciągle szturchanie, które kazało wyjść szybko z poczty, nie zważając na zdumienie i rozczarowanie obu kobiet. Szedł w stronę brzegu, nim się zorientował, dokąd idzie, nim zebrał myśli i zastanowił się, co robić dalej, jakie działanie wybrać spośród niezliczonych nieprawdopodobieństw, jakie rządziły teraz jego życiem. Poczuł, że buty ślizgają mu się po białym piasku, ziemia jakby rozstępowała się pod nim i choć nie był pewien, dlaczego – szedł dalej w stronę wody. Stojąca w drzwiach poczty Margaret Gore obserwowała go i wstrzymała oddech, gdy zorientowała się, że ten zakochany wariat gotów jest iść przez morze do Galway.

Buty piły wodę na brzegu zimnego morza milionami ust i Nicholas spojrzął pod nogi ze zdziwieniem, że piana nie podtrzymuje jego ciężaru. Zapiekły go kostki u nóg, choć zrobił zaledwie krok w wodę, i szedł teraz nad samym brzegiem, tuląc do piersi gruby list miłosny.

Popatrzył w stronę lądu i poczuł, jak wylatuje mu z serca tuzin motyli na widok słońca przesywającego spiętrzone chmury. Czy cały świat był przeciwko niemu czy razem z nim? Kto go teraz prowadził? I dokąd? Zbierało mu się na mdłości. Słone powietrze paliło powieki i dopiero po chwili spostrzegł mewy gromadzące się za jego plecami, podlatujące i siadające na ziemi wraz z podpływającymi i cofającymi się falami – to oznaczało coś głęboko niezrozumiałego. Szedł dalej skrajem wyspy, ani po lądzie, ani po morzu.

Margaret Gore po wyjściu z poczty zeszła na brzeg i pilnowała go z niewielkiej odległości w obawie, że w każdej chwili może się utopić.

Gdzie on szedł? Co zamierzał zrobić z czwartym listem? Czy wiedział, że poprzednie spaliła? Była pewna, że o tym wie, i nagle chciała go zawołać. Ale wtedy dostrzegła kątem oka, że Nora Liathain wychodzi ze swojej chaty na ulicy Lond i idzie na dół, żeby zobaczyć, co się dzieje, więc już nie chciała wołać.

Nicholas przeszedł czterysta jardów brzegiem wyspy z mokrymi nogawkami spodni, na które chlapało morze, ale z listem uniesionym wysoko, żeby nie dosięgły go bryzgi fal. Zdawać by się mogło, że idzie bez celu, ale Margaret dobrze знаła kręte ścieżki miłości i nie odstępowała go na krok; mogła sobie wyobrazić, że ta miłość obdarzyła nagle Nicholasa zdolnościami wszytkowiedzącego jasnowidza, aby utrzymać samą siebie przy życiu. Nie zdziwiłaby się nawet, gdyby uzyskał zdolność jednoczesnego przebywania w dwóch miejscach i gdyby ten Nicholas, za którym szła, nie był wcale tym Nicholasem, który napisał list. Przytłaczały ją te możliwości i zostawiając ślady na mokrym piasku, wypuściła przed siebie warczące psy matczynej troski, by ocalić Isabel. Lecz gdy zobaczyła, że Nicholas brodzi w wodzie, podchodząc do musztardowej łodzi Seamusa Bega, *de Blaca*, poczuła się ostatecznie pokonana. Piasek nie zapadał jej się pod nogami, mogła iść, ale nie mogła się ruszyć – tak jak tragiczni kochankowie we snach. Widziała, jak Nicholas kiwa na łódź, która właśnie wypływała w morze, a potem, stojąc po pas w wodzie, rozmawia przez chwilę z Seamusem Begiem i wręcza mu przesyłkę. Łódź odpłynęła, Margaret szła w miejscu, a Nicholas rzucił się z ulgą na wodę.

A potem było zakończenie.

Gdyby były możliwe zakończenia. Gdyby nadchodził taki moment, kiedy nie ma już tęsknoty, a historia nieruchomieje poza zasięgiem smutku, rozczarowania, starości i śmierci. Ale najważniejsze są sploty wydarzeń, nie zakończenie. Bo przecież świat, tak naprawdę, jest prosty. Nawet najbardziej zawiła fabuła, najmniej prawdopodobne przypadki, szalone zbiegi okoliczności, pasują jak odmierzone kołki do ogromnego koła, które ogarnia wszystko.

Wszystko ma znaczenie, wszystko ma sens, myślał Nicholas, kiedy wydostał się na brzeg i obciekał z wody na białym piasku. Wszystko pasuje do siebie idealnie, powiedział na głos i wybuchł śmiechem, wcale się nie dziwiąc, że śmiech uleciał z jego ust wstępami białej satyny.

Spojrzał w morze, a łódź, która wiozła jego list do Isabel, zmalowała w oddali. Czwarty list miłosny. „Amor” – powiedział, napełniając tym słowem powietrze, myśląc o tym, jaką podróż odbywał ostatni list, i nie wiedząc, że poprzednie trzy spłonęły, śmiał się głośno, odprowadzając spojrzeniem list, nie słysząc basowego śmiechu ojca, który leżał obok. Jeżeli nie przyjedzie po tym liście, to jestem w błędzie, pomyślał Nicholas. Ale na pewno przyjedzie.

– Przyjedzie, bo taka jest jej wola – rzekł ojciec poza zasięgiem słuchu Nicholasa, ale na tyle wyraźnie, że Margaret Gore usłyszała te słowa z bezradnym przerażeniem, stojąc na piasku sto jardów dalej.

– Przyjedzie – rzekł na głos Nicholas. – Przyjedzie.

Nagle zdał sobie sprawę, że stanie się tak z prostego powodu, ponieważ świat jest tak urządzony, wszystko do siebie w końcu pasuje, nie toczy się, jak chcemy, nie przybiera obmyślonego przez nas kształtu, ale biegnie swoimi szalonymi ścieżkami, przez kłopoty i smutki codziennego dnia, aż do tego momentu, gdy leżał tu na piasku, wiedząc, że będzie ją kochał, a drogi miłości i Boga są jednym i tym samym. Ona przyjedzie.

Leżał na plaży obok ojca i patrzył na zachodnie niebo, przesuujące się powoli ponad nim, na płaszczyzny niebieskiego powietrza, nieustannie dopasowujące się do siebie i tak miękko się rozdzielające. Potem przyszła jego matka i usiadła razem z nimi. Siedzieli zatem we troje w miejscu, którego właściwie nie wybrali, ale z jakiegoś powodu właśnie to miejsce widział Muiris Gore, gdy stanął na małym stołku i odkręcał śrubokrętem jedną z dwu śrub, przytwierdzających obraz Williama Coughlana do ściany. Śruba obracała się, ale nie poluźniała, i Muiris przez piętnaście minut kręcił i kręcił na próżno, aż nogi pod nim zdrętwiały, i nie mógł zrozumieć, że istnieje jakiś powód wykraczający poza prawa fizyki. Dopiero kiedy zrezygnował z odkręcania i zszedł ze stołka, aby oprzeć się o ławkę, zauważył – czego przedtem nie dostrzegł – że obraz przedstawia ogromną podobiznę starca. Zamrugał oczami, żeby pozbyć się złudzenia, a ponieważ nie znikło, musiał usiąść. Wtedy się roześmiał. Śmiał się i śmiał. Właśnie ten śmiech usłyszała Margaret Gore, wracając do domu, a gdy spojrzała na budynek szkoły na skalistym pagórku, spostrzegła ze zdumieniem, że się świeci. Kiedy jej mąż stanął w progu, wyglądał, jakby ubyło

mu dwadzieścia lat, a gdy patrzyła na niego z oddalenia, płynęła ku niej jakaś świetlistość. Wszystko było rozświetlone. Latały złote ptaki, a kiedy mieszkańcy wyspy podchodzili do otwartych drzwi, wyczuwali biały zapach eukaliptusa nadlatujący z Afryki umysłu. Nawet łodzie rybaków przyplływały wieczorem z tym zapachem. Wszystkie poduszki na wyspie pachniały eukaliptusem – nieomylnie rozpoznawalnym aromatem miłości.

Nikt wówczas nie wiedział, ale nie miało to znaczenia, że sztorm porwie Seamusa Bega w swoje łapy i ciśnie ostatni list miłosny do Atlantyku, że Isabel nigdy go nie dostanie, podobnie jak pozostałych, że czekanie na odpowiedź przedłuży się do trzech tygodni i dwóch dni. Powietrze było nasycone rzadkim poczuciem uzdrowienia, poczuciem, że wszystko się unosi i zespała, że historia posuwa się raptownym skokiem naprzód, jak na wielkiej fali, na której wszystko nagle podnosi się i opada, a ty wiesz, że gdzieś w górze spogląda na to wielki duch.

To wszystko unosiło się w tej chwili w powietrzu i właśnie w tej chwili, odkrywając na nowo swoją miłość do Muirisa Gore'a, Margaret Looney poczuła łzy płynące jej z oczu wraz z nagłym przeczuciem, ponieważ teraz już wiedziała, że Isabel przyjedzie do domu, żeby powiedzieć Nicholasowi, że się w nim zakochała, że oczekuje dziecka, którego ojcem jest Peader, którego nie chce oglądać do końca życia, że odkąd Nicholas odjechał, nie mogła ani razu odetchnąć, żeby nie pomyśleć o nim, że nie wiedziała, jaka czeka ją droga, ale wiedziała na pewno, że będą szli po niej razem, że zamierzenia Boga i Miłości zeszyły się i są tożsame, że Nicholas Coughlan urodził się po to, by kochać Isabel Gore.